



RACHEL CUSK

KONTURY



Czy możliwa jest przyjaźń
kobiety z mężczyzną?

Wydawnictwo
ab
two

Rachel Cusk

KONTURY

przełożył Jacek Żuławnik



Tytuł oryginału: *Outline*

Copyright © 2014, Rachel Cusk

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Jacek Żuławnik, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

Spis treści

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

Przypisy

I

Przed wylotem dostałam zaproszenie do londyńskiego klubu na lunch z miliarderem o liberalnych, jak mnie zapewniono, poglądach. Przyszedł ubrany w koszulę rozpiętą pod szyją i opowiedział, nad czym obecnie pracuje: nad nowym oprogramowaniem dla firm, typującym z dużym prawdopodobieństwem pracowników mogących w przyszłości dopuścić się kradzieży bądź ujawnienia sekretów przedsiębiorstwa. Mieliśmy omówić kwestię magazynu literackiego, do którego założenia się przymierzał; niestety, musiałam wyjść, zanim zdążyliśmy poruszyć ten temat. Nalegał, że zapłaci za taksówkę na lotnisko. Zgodziłam się, bo byłam spóźniona i miałam ciężką walizkę.

Miliarder palił się do przedstawienia mi zarysu historii swojego życia, które rozpoczęło się mało obiecująco, po czym – rzecz jasna – osiągnęło etap, w którym dziś naprzeciwko mnie siedział rozluźniony majątny mężczyzna. Przyszło mi do głowy, że może tak naprawdę zapragnął zostać pisarzem, a magazyn literacki miał być jego przepustką do kariery. Wiele osób chciałoby zacząć parać się pisarstwem; dlaczego by nie wkupić się w tę profesję? Mój rozmówca wielokrotnie torował sobie drogę pieniędzmi – i ratował się nimi z opresji. Wspomniał, że pracuje nad projektem zmierzającym do odsunięcia prawników od sfery osobistej ludzkiego życia. Oprócz tego tworzył plany pływającej farmy wiatrowej, na tyle okazałej, by pomieściła całą społeczność, personel niezbędny do obsługi urządzeń; gigantyczna platforma znajdowałaby się w tak dużej odległości od lądu, że z wybrzeża – na którym miał nadzieję przeprowadzić program pilotażowy i na którym nawiasem mówiąc, znajdował się jego dom – nie byłoby widać szpetnych turbin. W niedzielę grywał na perkusji w zespole rockowym – ot, dla przyjemności. Czekał na narodziny swojego jedenastego potomka,

co nie przeraża aż tak bardzo, kiedy weźmie się pod uwagę, że kiedyś z żoną adoptowali gwatemalskie czworaczki. Z trudem przyswajałam wszystko, o czym mi opowiadał. Kelnerki wciąż donosiły nowe potrawy: ostrygi, sosy, odpowiednie wina. Łatwo się rozpraszał, jak dziecko, które dostało zbyt wiele prezentów pod choinkę. Odprowadzając mnie do taksówki, powiedział: „Miłego pobytu w Atenach”, choć nie przypominam sobie, żebym zdradziła, że tam właśnie się wybieram.

Pasażerowie w kabynie samolotu stojącego na pasie lotniska Heathrow w milczeniu czekali na wzbicie się maszyny w powietrze. Stewardesa stała w przejściu i za pomocą rekwizytów i gestów ilustrowała instrukcje wypowiedane przez głos z taśmy. My zaś, zbiorowisko obcych sobie ludzi, siedzieliśmy przypięci pasami w ciszy takiej jak ta, w której pogrążają się wierni podczas liturgii. Stewardesa pokazała kamizelkę ratunkową z gwizdkiem, wyjścia awaryjne i maski tlenowe z długimi przezroczystymi rurkami. Omówiła prawdopodobieństwo katastrofy i śmierci, tak jak ksiądz wprowadza parafian w zagadnienia czyśćca i piekła. I nikt z nas nie rzucił się do ucieczki, choć miał na to czas. Słuchaliśmy jednym bądź obojgiem uszu, myśląc o innych rzeczach, jak gdyby to połączenie formalności i czarnowidztwa przydawało nam jakiejś wyjątkowej hardości. Cisza pozostała niezmacona, nawet kiedy głos w nagraniu poruszył temat masek tlenowych; nikt nie zaprotestował, nikt nie wyraził sprzeciwu wobec przykazania, które mówi, że w pierwszej kolejności należy zatroszczyć się o siebie, a dopiero potem o innych. Nie byłam jednak pewna, czy to do końca prawda.

Siedziałam pomiędzy rozwalonym w fotelu śniadym chłopcem, który grubymi kciukami przebierał po ekranie przenośnej konsoli do gier, a drobnym, mocno opalonym mężczyzną z siwą grzywą, ubranym w jasny lniany garnitur. Za oknem nad pasem startowym gasło nabrzmiące letnie popołudnie. Niewielkie pojazdy lotniskowe przemieszczały się raźnie po płaskiej, rozległej przestrzeni, pomykały, obracały się i krążyły niczym zabawki, a dalej widać było srebrną nitkę autostrady, która biegła i połyskiwała jak okolony jednostajnymi wzgórzami potok. Samolot ruszył i toczył się tak, że

widok, jakby nagle wyrwany z bezruchu, zaczął się przesuwać za oknem, najpierw powoli, potem szybciej, aż w końcu miało się wrażenie obarczonego pewnym wysiłkiem, niezdecydowanego wznoszenia, kiedy maszyna oderwała się od ziemi. Był taki moment, w którym wydawało się, że rzecz jest niewykonalna. A jednak udało się.

Mężczyzna siedzący po prawej odwrócił się do mnie i zapytał o powód mojej podróży do Aten. Odparłam, że lecę do pracy.

– Mam nadzieję, że zamierza pani zatrzymać się gdzieś blisko wody – skomentował. – W Atenach będzie bardzo gorąco.

Odpowiedziałam, że raczej nie, na co uniósł siwe brwi, wyrastające z czoła zaskakująco chaotycznymi i zgrzebnymi kępkami, niczym trawa na kamienistym podłożu. Osobliwość ta, nic innego, skłoniła mnie do udzielenia mu odpowiedzi. To, co nieoczekiwane, czasem bowiem sprawia wrażenie zachęty od losu.

– W tym roku wczesnie zaczęło być gorąco – powiedział. – Normalnie fala upałów przychodzi dużo później. Potrafi mocno dać się we znaki, jeżeli człowiek jest nieprzyzwyczajony.

W trzęsącej się kabinie co pewien czas migotały światła. Słysząc było odgłos otwieranych i zatraskiwanych drzwi, ciągły stukot i brzęk, ludzie wierzili się, rozmawiali, wstawali. W interkombie odezwał się męski głos; rozniósł się zapach kawy i jedzenia; stewardesy w szeleszczących nylonowych pończochach pewnym krokiem przemierzały tam i z powrotem wąski, wyłożony wykładziną korytarz. Mój sąsiad poinformował mnie, że odbywa tę podróż raz albo dwa razy w miesiącu. Kiedyś miał mieszkanie w Londynie, w Mayfair.

– Ale teraz – dodał z nonszalancką miną – wolę nocować w Dorchesterze.

Posługiwał się elegancką, oficjalną angielszczyzną, która jednak wydawała się nie do końca naturalna, jak gdyby w pewnym momencie starannie naniesiono na nią ten język pędzlem, niczym farbę. Zapytałam go o pochodzenie.

– Kiedy miałem siedem lat, posłano mnie do angielskiej szkoły z internatem – odparł. – Można zatem powiedzieć, że nawyki mam

angielskie, ale serce greckie. Podobno – dodał – w drugą stronę byłoby znacznie gorzej.

Oboje rodzice byli Grekami, mówił dalej, ale na pewnym etapie życia cała rodzina – matka, ojciec, czterech synów, dziadkowie, a także liczni wujowie i ciotki – przeniosła się do Londynu i zaczęła prowadzić wzorem angielskich wyższych sfer: czterech chłopców posłano do szkół, z domu uczyniono zaś forum służące zadzierzgiwaniu użytecznych więzi społecznych; przez jego próg zaczął się przelewać niewysychający strumień arystokratów, polityków i biznesmenów. Zapytałam, w jaki sposób rodzina uzyskała dostęp do tego obcego środowiska. Mój rozmówca wzruszył ramionami.

– Pieniądze stanowią państwo samo w sobie – powiedział. – Moi rodzice byli armatorami. Przed przenosinami do Londynu mieszkaliśmy na małej wyspie, na której oboje się urodzili i o której z pewnością pani nie słyszała, pomimo jej śliskiego położenia względem znanych kurortów – a mimo to prowadzili międzynarodowe przedsiębiorstwo.

– Bliskiego, zauważyłam. Chyba miał pan na myśli bliskie położenie.

– Najmocniej przepraszam – odrzekł. – Oczywiście, chodziło mi o bliskie położenie.

Ale podobnie jak wszyscy zamożni ludzie, ciągnął, jego rodzice dawno przerośli własne pochodzenie i przenieśli się do niemającej granic sfery, by zamieszkać pośród ważnych i bogatych. Utrzymywali, rzecz jasna, okazały budynek na wyspie, który do osiągnięcia przez dzieci dojrzałości służył jako dom rodzinny. Kiedy jednak nadeszła pora wysłania synów do szkół, przenieśli się do Anglii, gdzie mieli wielu znajomych, wśród nich zaś kilku takich, dodał tonem niepozobawionym dumy, dzięki którym mogli się choć trochę zbliżyć do pałacu Buckingham.

Ich rodzina zawsze zajmowała wysoką pozycję na wyspie; zaślubiny przyszłych rodziców mojego sąsiada połączyły dwa miejscowe arystokratyczne rody i co więcej, scaliły dwie armatorskie fortuny. Wyspa wyróżniała się tym, że panował na niej matriarchat.

Nie mężczyźni bowiem, ale kobiety dzierżyły tam władzę. Własność przechodziła zatem nie z ojca na syna, lecz z matki na córkę. Zwyczaj ten, powiedział mój sąsiad, przyczyniał się do powstawania napięć w łonie rodziny przeciwnych do tych, z którymi zetknął się po przyjeździe do Anglii. W świecie jego dzieciństwa narodziny syna budziły rozczarowanie. On sam, ostatni z długiej serii zawodów, traktowany był ze szczególną ambiwalencją, jego matka pragnęła bowiem wierzyć, że urodziła córeczkę. Włosy układano mu w długie pukle; ubierano go w sukienki i zwracano się do niego dziewczęcym imieniem, które rodzice wybrali w nadziei, że nareszcie zostaną obdarzeni spadkobierczynią. Korzenie tego nietypowego obyczaju, wyjaśnił, sięgają starożytności. Otóż od najdawniejszych czasów gospodarka wyspy opierała się na wydobywaniu z morskiego dna gąbek, w związku z czym młodzi mężczyźni członkowie lokalnej społeczności nabywali umiejętność nurkowania na pełnym morzu. Zajęcie należało jednak do niebezpiecznych, toteż przeżywalność poławiaczy gąbek była nadzwyczaj niska. W tej sytuacji, w obliczu wysokiej śmiertelności mężów, kobiety przejęły nadzór nad kwestiami finansowymi, a także, co istotne, zaczęły przekazywać tę rolę swoim córkom.

– Trudno sobie wyobrazić – powiedział – jak wyglądał świat w najlepszych latach życia moich rodziców; pod pewnymi względami musiał być przyjemny, pod innymi – bezlitosny. Dam pani przykład: otóż moim rodzicom urodziło się piąte dziecko, chłopiec, ale podczas porodu jego mózg uległ uszkodzeniu. I kiedy cała rodzina przeprowadzała się do Anglii, najmłodszego syna zwyczajnie pozostawiono na wyspie pod opieką niań, których referencji – w tamtych czasach i na taką odległość – nikt, jak sądzę, nie kwapił się wnikliwie sprawdzać.

Nadal tam mieszkał, starzejący się mężczyzna z umysłem małego dziecka, niezdolny, naturalnie, do przedstawienia własnej wersji zdarzeń. Tymczasem mój sąsiad i jego bracia wypłynęli na chłodne wody angielskiego szkolnictwa prywatnego, uczyli się myśleć i mówić jak angielscy chłopcy. Mojemu sąsiadowi obcięto pukle, ku jego uldze, i po raz pierwszy w życiu doświadczył okrucieństwa,

a wraz z nim nieszczęścia w nowej postaci: samotności, tęsknoty za domem i rodzicami. Pogrzebał w górnej kieszeni marynarki i wydobyl portfel z miękkiej czarnej skóry, z którego wyjął zmięte czarno-białe zdjęcie matki i ojca. Przedstawiało stojącego sztywno mężczyznę, ubranego w dopasowany, zapięty pod samą szyję strój przypominający surdut; czerń jego włosów z przedziałkiem, gęstych, prostych brwi oraz grubych, zawiniętych wąsów była tak intensywna, że emanował niezwykłą srogością. Obok niego stała kobieta o pozbawionej uśmiechu twarzy, okrągłej, surowej i nieprzeniknionej jak moneta. Zdjęcie zrobiono pod koniec lat trzydziestych dwudziestego wieku, powiedział mój sąsiad, i dodał, że było to przed jego narodzinami. Małżeństwo już wtedy było nieszczęśliwe, zaciekłość ojca i nieprzejednanie matki wykraczały poza przyjęte konwenanse. Między rodzicami toczyła się zażarta bitwa woli, w której nigdy nikomu nie udało się rozdzielić walczących – stało się to możliwe, na krótko, dopiero po ich śmierci. To jednak, powiedział z bladym uśmiechem, temat na odrębną opowieść.

Przez cały ten czas stewardesa powoli przesuwiała się korytarzem, pchając metalowy wózek, z którego rozdawała plastikowe tacki z jedzeniem i napoje. Dotarła do naszego rzędu: podała nam tacki z białego plastiku, jedną przekazałam chłopcu siedzącemu po mojej lewej stronie, ten zaś bez słowa uniósł konsolę obiema dłońmi, tak bym mogła położyć tackę na składanym stoliku przed nim. Sąsiad po prawej i ja podnieśliśmy wieczka naszych pojemników, żeby można było wlać herbatę do białych plastikowych kubeczków, które dostaliśmy razem z tackami. Zaczął zadawać mi pytania, jak gdyby kiedyś uczono go, że należy to robić, i teraz przypomniał sobie tę lekcję. Zastanawiałam się, kto lub co go tego nauczyło, wielu ludzi nigdy bowiem tej wiedzy nie nabywa. Odparłam, że mieszkam w Londynie i że całkiem niedawno przeniosłam się do miasta ze wsi, z domu, który przez siedem lat zajmowałam razem z moimi dziećmi i ich ojcem, potem zaś jeszcze przez trzy lata z samymi tylko dziećmi. Był to, innymi słowy, nasz dom rodzinny, który na moich oczach zamienił się w grób czegoś, czego nie potrafiłam

jednoznacznie nazwać ani rzeczywistością, ani złudzeniem.

Zapadło milczenie. Wykorzystaliśmy je, żeby napić się herbaty i zjeść rozdawane razem z nią biszkopty. Za oknem fiolet nieba przechodził w czerń. Silniki ryczały miarowo. W kabinie też zrobiło się ciemniej, mrok rozpraszały jedynie promienie światła z zainstalowanych nad siedzeniami lampek punktowych. Nie widziałam wyraźnie twarzy sąsiada, spostrzegłam jednak, że w przecinanej smugami światła ciemności zamieniła się ona w pejzaż wybruszeń i bruzd, pośrodku którego wznosił się niezwykle hak nosa, rzucający po obu stronach cienie głębokie jak wąwozy, tak że ledwie widziałam oczy mężczyzny. Wargi miał wąskie, ale usta szerokie i niedomykające się; odcinek pomiędzy nosem a górną wargą był długi i mięsisty, często go dotykał, tak że nawet przy uśmiechu jego zęby pozostawały niewidoczne. Nie sposób, powiedziałam w odpowiedzi na jego pytanie, podać przyczyn, z których rozpadło się moje małżeństwo; małżeństwo to bowiem cały system wierzeń, układ zdarzeń, i choć przejawia się ono w rzeczach jak najbardziej realnych, to jednak wciąż nie wiadomo, jaki impuls nim kieruje. Tym zaś, co w moim przypadku okazało się realne, była utrata domu, który stał się po prostu miejscem na mapie, lokalizacją tego, co nieobecne, i chyba odzwierciedleniem nadziei, że pewnego dnia rzeczy te powrócą. Wyprowadzka z domu była w pewnym sensie deklaracją, że przestaliśmy czekać; nie można nas już odnaleźć pod dawnym numerem, pod starym adresem. Mój młodszy syn, powiedziałam sąsiadowi, ma wyjątkowo irytujący zwyczaj polegający na tym, że kiedy zjawia się tam, gdzie się z tobą umówił, a ciebie nie ma na miejscu, nie czeka, lecz zaczyna cię szukać, po czym gubi się i denerwuje. Nie mogłem cię znaleźć! – krzyczy potem wściekły. Ale przecież jedyną nadzieją na odnalezienie czegokolwiek jest pozostanie dokładnie tam, gdzie się jest, w umówionym miejscu. Rzecz sprowadza się do tego, jak długo jesteś w stanie wytrzymać.

– Czasem wydaje mi się, że moje pierwsze małżeństwo – odparł mój sąsiad po chwili milczenia – rozpadło się z najgłępszej przyczyny, jaką można sobie wyobrazić. Kiedy byłem mały,

przyglądałem się powracającym z pola wozom z sianem, wyładowanym tak, że tylko cudem się nie wywracały. Telepały się i niebezpiecznie kołysały, ale jakimś sposobem zawsze zachowywały równowagę. Aż pewnego dnia to się stało: zobaczyłem wóz leżący na boku, porozrzucane siano, poruszonych i krzyczących ludzi. Zapytałem jakiegoś mężczyznę, co się wydarzyło, i usłyszałem, że koło wozu wjechało w wybój na drodze. Pamiętam dobrze – ciągnął – że wydało mi się to zarazem nieuchronne i głupie. Tak samo było z moją pierwszą żoną i ze mną – dodał. – Trafiliśmy na wybój na drodze i wywróciliśmy się.

Był to, właśnie sobie uświadomił, szczęśliwy związek, najbardziej harmonijny w całym jego życiu. Poznali się z żoną i zaręczyli jako nastolatki. Nigdy się nie kłócili, aż do awantury, która zniszczyła wszystko, co było między nimi. Dochowali się dwojga dzieci, zgromadzili znaczny majątek: mieli duży dom na przedmieściach Aten, mieszkanie w Londynie i jeszcze lokum w Genewie. Hodowali konie, wakacje spędzali na nartach i na dwunastometrowym jachcie zacumowanym na wodach Morza Egejskiego. Oboje byli na tyle młodzi, by wierzyć, że rozwój nadal będzie postępował geometrycznie; że życie może się tylko rozszerzać – i rozbijali kolejne naczynia mogące powstrzymać życie w dalszym dążeniu do owego rozszerzania się. Po kłótni, nie chcąc ostatecznie wyprowadzać się z domu, mój sąsiad zamieszkał na jachcie. Było lato, jacht zaś należał do luksusowych jednostek, mój sąsiad mógł pływać w morzu, łowić ryby i podejmować znajomych. Przez kilka tygodni żył złudzeniem, będącym w istocie otępieniem takim jak to, które następuje po urazie, zanim ból rozpocznie penetrację i powolne, lecz niepowstrzymane przedzieranie się przez gęstą mgłę znieczulenia. Pogoda się załamała, mieszkanie na jachcie zrobiło się zimne i niewygodne. Ojciec żony mojego sąsiada wezwał go do siebie i zażądał, by ten zrzekł się wszelkich roszczeń do wspólnego majątku małżonków. Mój sąsiad się zgodził. Był przekonany, że stać go na wspaniałomyślność i że odrobi stratę. Miał trzydzieści sześć lat, wciąż czuł krążącą w żyłach energię pomyślniej koniunktury i życia usiłującego rozbić naczynie, w którym zostało zamknięte.

Mógł ponownie wejść w posiadanie wszystkiego, co utracił, z tą różnicą, że tym razem zdobywałby tylko to, co odpowiadało jego pragnieniom.

– Przekonałem się jednak – powiedział, dotykając mięsistej górnej wargi – że to trudniejsze, niż się wydaje.

Nie stało się, rzecz jasna, tak, jak to sobie wyobrażał. Wybój spowodował nie tylko zachwianie się podstaw małżeństwa; sprawił, że mój sąsiad zjechał na zupełnie inną drogę, drogę będącą długim, bezcelowym objazdem, taką, którą w ogóle nie powinien podążać i którą nawet dziś czasem miał wrażenie, że nadal podróżuje. Luźny ścieg sprawia, że tkanina się pruje, dlatego też trudno było odtworzyć łańcuch zdarzeń i cofnąć się do pierwotnego błędu. Wydarzenia te złożyły się wszakże na większą część dorosłego życia mojego sąsiada. Minęło niespełna trzydzieści lat od rozpadu jego pierwszego małżeństwa i im bardziej oddalał się od tamtego życia, tym stawało się ono dla niego bardziej prawdziwe. Albo właściwie nie całkiem prawdziwe, powiedział – to, co wydarzyło się potem, było bowiem wystarczająco rzeczywiste. Słowo, którego szukał, brzmiało: autentyczny. Pierwsze małżeństwo mojego sąsiada było autentyczne w sposób, jakiego za nic nie udało się powtórzyć. Z wiekiem postrzegał je jako rodzaj domu, miejsce, do którego pragnął powrócić. Gdy jednak wspominał je uczciwie, a zwłaszcza kiedy rozmawiał ze swoją pierwszą żoną – co ostatnio zdarzało się rzadko – dawne poczucie ograniczenia wracało. Tak czy inaczej, wydawało mu się teraz, że wiódł tamto życie niemal nieświadomie, że zagubił się w nim, pogrążył, tak jak lektura książki pochłania człowieka do tego stopnia, że zaczyna wierzyć w opisywane zdarzenia i żyć wraz z jej postaciami. Potem już nigdy nie był w stanie aż tak się zaangażować; nigdy nie potrafił tak uwierzyć. Być może właśnie to – utrata wiary – wywołało tęsknotę za dawnym życiem. Bo mimo wszystko razem z żoną zbudował coś, co rozkwitło, razem z nią powiększył całość tego, czym wspólnie byli i co mieli. Życie ochoczo im się poddawało, nie odmawiało dostatku, i to – dziś to rozumiał – zrodziło w nim przekonanie, że należy wszystko zniszczyć, rozbić z niebywałą – jak to teraz postrzegał – beztrząsą,

ponieważ wydawało mu się, że dalej będzie coś więcej.

– Więcej czego? – spytałam.

– Więcej... życia – powiedział, otwierając dłonie. – I więcej uczucia – dodał po chwili. – Pragnąłem więcej uczucia.

Włożył fotografię rodziców z powrotem do portfela. Za oknem było już całkiem ciemno. Pasażerowie czytali, spali, rozmawiali. Mężczyzna w workowatych szortach chodził przejściem tam i z powrotem, kołysząc na ramieniu dziecko. Wydawało się, że samolot trwa niemal w bezruchu; kontakt pomiędzy wnętrzem a tym, co znajdowało się poza kabiną, był tak nikły, tarcie tak małe, że trudno było uwierzyć, iż maszyna posuwa się do przodu. Przy panującej na zewnątrz ciemności sztuczne światło wydobywało z ludzi całą ich cielesność i realność, podkreślało szczegóły i czyniło je bezdusznymi i nieskończonymi. Ilekroć mijał mnie mężczyzna z dzieckiem, dostrzegałam sieć zagnieceń na jego szortach, piegowate ręce pokryte szorstkimi rudawymi włoskami, bladokóry wzgórek na brzuchu w miejscu, gdzie podjechała koszulka, a także delikatne, pomarszczone stópki spoczywającego na ramieniu ojca niemowlęcia, jego małe zgarbione plecy, miękką główkę i zawijas z włosów.

Sąsiad ponownie zwrócił się do mnie i zapytał, jakie zajęcie sprowadza mnie do Aten. Po raz drugi poczułam, że jego pytanie wynika ze świadomego wysiłku, jak gdyby wyszkolił się w umiejętności odzyskiwania przedmiotów, które wymykają mu się z rąk. Przypomniało mi się, jak moi synowie, kiedy byli mali, siedzieli w wysokich krzeselkach i celowo rzucali różne rzeczy na podłogę po to tylko, by się przyglądać, jak spadają. Czynność ta zachwycała ich w takim samym stopniu, w jakim jej konsekwencje przerażały. Wpatrywali się w leżący na podłodze przedmiot – niedojedzony sucharek, plastikową piłeczkę – i narastało w nich wzburzenie, ponieważ ów odmawiał powrotu na górę. W końcu wybuchali płaczem i odkrywali, że dzięki temu rzecz, która upadła, do nich wraca. Zawsze zdumiewało mnie, że ich reakcją na ten ciąg zdarzeń było powtarzanie wszystkiego od nowa: jak tylko przedmiot z powrotem trafiał do ich rączek, wypuszczali go i znów się

wychylali, by popatrzeć, jak spada. Ich radość nigdy nie słabła, podobnie jak rozpacz. W pewnym momencie, mówiłam sobie, pojmą, że mogą uniknąć bólu, i zaczną to robić – tak się jednak nie działo. Wspomnienie cierpienia nie miało żadnego wpływu na ich decyzje, przeciwnie: zmuszało ich do powtarzania wszystkiego po raz kolejny, albowiem właśnie cierpienie było tą magią, która sprawiała, że przedmiot wracał, i umożliwiała ponowne czerpanie przyjemności z upuszczania go. Gdybym nie podniosła za pierwszym razem tego, co upuścili, pewnie nauczyliby się zupełnie innej rzeczy, jakiej – tego jednak nie wiedziałam.

Powiedziałam sąsiadowi, że jestem pisarką i wybieram się do Aten na kilka dni, by poprowadzić tam zajęcia w letniej szkole. Kurs nosił nazwę „Jak pisać” i w jego ramach wykładać miało kilku literatów, a ponieważ nie istnieje jeden uniwersalny sposób pisania, uznałam, że studenci usłyszą od nas sprzeczne rady. Powiedziano mi, że większość kursantów to Grecy, którzy na potrzeby zajęć będą pisali po angielsku. Niektórzy moi koledzy byli sceptycznie nastawieni do tego pomysłu, ale ja nie widziałam w nim nic złego. Studenci mogli pisać w dowolnym języku, dla mnie nie miało to żadnego znaczenia. Czasem, powiedziałam, rezygnacja z przekształcenia przekłada się na korzyść w postaci prostoty. Nauczanie to tylko sposób zarabiania na życie, dodałam. Miałam kilkoro znajomych w Atenach, których mogłam odwiedzić przy okazji pobytu w tym mieście.

Pisarka, rzekł mój sąsiad, pochylając głowę w geście mogącym oznaczać zarówno szacunek dla profesji, jak też zupełną ignorancję. Kiedy siadałam obok niego, zauważyłam, że czytał mocno sfatygowany egzemplarz książki Wilbura Smitha, co, jak dopiero teraz zaznaczył, nie do końca odzwierciedla jego czytelnicze gusta, choć to prawda, że brakuje mu rozeznania, jeśli chodzi o prozę. Interesuje się bowiem literaturą niebeletrystyczną, ciekawią go fakty oraz interpretacje tychże, i w tym – o czym jest przekonany – orientuje się znakomicie. Potrafi rozpoznać dobry styl prozatorski; jednym z jego ulubionych pisarzy jest na przykład John Julius Norwich. Ale rzeczywiście, na literaturze pięknej się nie zna. Wyjął Wilbura Smitha z kieszeni w fotelu, gdzie ten nadal spoczywał,

i umieścił go w stojącej na podłodze teczce, tak by zniknął z oczu, jak gdyby mój rozmówca nie chciał się do niego przyznać albo może sądził, że zapomnę, iż go widziałam. Tak się akurat składało, że literatura przestała mnie interesować jako forma snobizmu, a nawet samookreślenia – nie miałam ochoty udowadniać, że jedna książka jest lepsza od drugiej; było wręcz odwrotnie: ilekroć przeczytałam coś, co mnie zachwyciło, czułam rosnącą niechęć do jakiegokolwiek wspomnienia o tym. To, co osobiście odbierałam jako prawdę, zaczęło mi się wydawać czymś niezwiązanym z procesem przekonywania innych. Nie chciałam już przekonywać kogokolwiek do czegokolwiek.

– Moja druga żona – odezwał się sąsiad – przez całe życie nie przeczytała ani jednej książki.

Była całkowitą ignorantką, ciągnął, nie posiadała nawet podstawowej wiedzy z historii i geografii, w towarzystwie zdarzało jej się wygłaszać najbardziej krępujące opinie bez cienia zażenowania. Złościło ją natomiast, kiedy ktoś mówił o rzeczach, o których nie miała pojęcia: na przykład kiedy odwiedził ich znajomy z Wenezueli, nie uwierzyła, że istnieje taki kraj – ponieważ nigdy o nim nie słyszała. Była Angielką, w dodatku o tak wyjątkowej urodzie, że doprawdy nie sposób było nie przypisywać jej wewnętrznej wytworności, lecz mimo iż jej charakter rzeczywiście skrywał pewne niespodzianki, nie należały one do najprzyjemniejszych. Mój sąsiad często zapraszał rodziców żony, jak gdyby sądził, że przyglądając się im, zdoła rozwikłać zagadkę ich córki. Przyjeżdżali na wyspę, na której wciąż znajdowało się gniazdo rodzinne mojego sąsiada, i spędzali tam kilka tygodni z rzędu. Nigdy mój sąsiad nie miał do czynienia z ludźmi tak niebywale nijakimi, aż tak bardzo pozbawionymi wyrazu: pomimo wysiłków, jakie podejmował, aby ich pobudzić, oboje reagowali na bodźce z obojętnością fotela. W końcu bardzo ich polubił – sympatią, jaką darzy się fotel; upodobał sobie zwłaszcza ojca, którego bezkresna powściągliwość okazała się tak głęboko zakorzeniona, że z czasem zięć doszedł do wniosku, iż człowiek ten musi cierpieć z powodu jakiegoś urazu psychicznego. Wzruszał go widok kogoś tak

głęboko zranionego przez życie. W młodości niemal na pewno nie zwróciłby uwagi na tego człowieka, a tym bardziej nie zastanawiałby się nad przyczynami jego milkliwości; tym sposobem, dostrzegłszy cierpienie teścia, zaczął uświadamiać sobie własną udrękę. Brzmi to banalnie, ale można wręcz powiedzieć, że za sprawą tego olśnienia poczuł, że jego świat obraca się wokół własnej osi, i historia własnego uporu ukazała mu się, poprzez zmianę perspektywy, jako moralna podróż. Popatrzył za siebie tak jak alpinista, który niepochlōnięty już wspinaczką, odwraca się i spogląda w dół zbocza, przypatruje się trasie, jaką właśnie pokonał.

Dawno temu – tak dawno, że zapomniał nazwisko autora – przeczytał pamiętne słowa w opowieści o człowieku, który usiłuje przełożyć pewną historię napisaną przez innego, dużo bardziej znanego twórcę. Słowami tymi – które, przyznał mój sąsiad, na dobre utkwiły mu w pamięci – tłumacz wyraża myśl, iż zdanie, rodząc się, nie jest ani dobre, ani złe i że ustalenie jego charakteru polega na dokonywaniu najdelikatniejszych modyfikacji i jest zasadzającym się na wyczuciu procesem, w którym przesada i nadmierna siła mogą mieć zgubne skutki. Słowa te dotyczyły wprawdzie sztuki pisania, ale wkroczywszy w wiek średni, mój sąsiad rozejrzał się dokoła i stwierdził, że mają one zastosowanie również w sztuce życia. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzeł, widział ludzi jakby zniszczonych przez skrajność ich własnych doświadczeń, czego jego nowi teściowie byli doskonałym przykładem. W każdym razie stało się jasne, że córka tych ludzi wzięła go za dużo zamożniejszego, niż był w istocie; zwiódł ją nieszczęsny jacht, na którym mój sąsiad skrył się jako uciekinier z małżeństwa i który w owym czasie pozostawał jedynym jego majątkiem. Żona miała silną potrzebę luksusu, toteż mój sąsiad rzucił się w wir pracy jak nigdy dotąd, na oślep, jak szalony, zaczął spędzać cały czas na spotkaniach i w samolotach, negocjować i podpisywać umowy, brać na siebie coraz większe ryzyko po to, aby zapewnić małżonce dostatek, który ta uważała za rzecz oczywistą. Tak naprawdę tworzył złudzenie: nieważne, co robił – przepaści pomiędzy

złudzeniem a rzeczywistością nie dało się zasypać. Stopniowo, powiedział, przepaść, ten rozziw pomiędzy prawdziwą istotą rzeczy a moim wyobrażeniem, zaczął mnie osłabiać. Poczułem, że staję się pusty, jak gdybym do tej pory żył napędzany rezerwami paliwa, które zgromadziłem przez lata i które stopniowo się wyczerpały.

Wtedy to zaczęły się na nim mścić przyzwoitość pierwszej żony, zdrowie i powodzenie jej rodziny, a także głębia ich wspólnej przeszłości. Pierwsza żona, przetrwawszy okres zgryzot, ponownie wyszła za mąż; po rozwodzie z moim sąsiadem sfiksowała na punkcie nart i kiedy tylko mogła, jeździła w góry i na północ Europy. Wkrótce powiedziała „tak” instruktorowi z Lechu, dzięki któremu, jak mówiła, odzyskała pewność siebie. Małżeństwo to, przyznał mój sąsiad, przetrwało do dziś. Jednakże w czasie, kiedy ten związek dopiero się rodził, mój sąsiad uzmysłowił sobie, że popełnił błąd, a następnie podjął próbę nawiązania kontaktu z byłą żoną, nie wiedząc właściwie z jakim zamiarem. Ich dzieci, chłopiec i dziewczynka, nadal były małe, toteż utrzymywanie przez rodziców stałego kontaktu było uzasadnione. Pamiętał jak przez mgłę, że tuż po rozstaniu to żona nieustannie próbowała do niego dotrzeć; przypomniał sobie też, że nie odbierał od niej telefonów, skupiony na pogoni za kobietą, która później została jego drugą małżonką. Był niedostępny, przeniósł się do nowego świata, w którym pierwsza żona istniała zaledwie na marginesie i była jak nedorzeczna postać wycięta z kartonu, w dodatku zachowująca się – jak przekonywał siebie i innych – jak wariatka. Tym razem jednak to ona stała się nieuchwytna: szusowała po zimnych białych zboczach Arlbergu, tam gdzie nie istniał dla niej pierwszy mąż, tak jak ona nie istniała dla niego. Nie odbierała od niego telefonów, a jeśli już, odzywała się szorstkim, nieobecnym głosem i mówiła, że nie może dłużej rozmawiać. Tak jakby przestała go rozpoznawać, co dla niego było bodaj najbardziej zdumiewające ze wszystkiego, sprawiało bowiem, że czuł się zupełnie nierzeczywisty. To przecież przy niej ukształtowała się jego tożsamość. Skoro zatem przestała go rozpoznawać, to kimże był?

Osobliwe, powiedział, jest to, że nawet dziś, gdy te wydarzenia od

dawna należą do przeszłości, a on i była żona utrzymują bardziej regularny kontakt, wystarczy, że posłucha jej dłużej niż minutę i zaczyna czuć rozdrażnienie. Nie miał wątpliwości, że gdyby przerwała pobyt w górach i przyjechała wtedy, kiedy się rozmyślił, wkrótce znów zaczęłaby go irytować, tak że powtórzyłaby się cała historia upadku ich małżeństwa. Zamiast tego zestarzelili się na odległość. Kiedy z nią rozmawia, oczami wyobraźni widzi wyraźnie życie, które dziś mogliby wieść, które mogliby dzielić. To jak przechodzenie obok domu, w którym kiedyś się mieszkało: sam fakt, że ów nadal stoi i wciąż pozostaje solidny, sprawia, że wszystko, co wydarzyło się od tamtej pory, zdaje się w pewien sposób nieistotne. Zdarzenia pozbawione struktury stają się nierzeczywiste: rzeczywistość żony mojego sąsiada, podobnie jak realność domu, miała charakter strukturalny, wskazujący. Miała swoje ograniczenia, z którymi stykał się, rozmawiając z żoną przez telefon. Niemniej życie pozbawione ograniczeń było wyczerpujące, było długą listą prawdziwych i emocjonalnych wydatków, tak jak trzydzieści lat mieszkania w kolejnych hotelach. Ceną jest poczucie tymczasowości i bezdomności. Mój sąsiad wydał wiele, aby pozbyć się tego uczucia i znaleźć dach nad głową. Wciąż jednak widział w oddali swój dom – swoją żonę – stojący tam, gdzie stał, i zasadniczo niezmienny, lecz należący już do kogoś innego.

Powiedziałam, że sposób, w jaki przekazał mi swoją historię, dowodzi słuszności tej obserwacji, ponieważ jego pierwsza żona stała mi przed oczami niemal jak żywa, druga – nie. Nawet nie do końca w nią uwierzyłam. Nadał jej rysy uniwersalnego czarnego charakteru, ale właściwie cóż złego uczyniła? Nie udawała intelektualistki – za to on podawał się za zamożnego człowieka – a skoro jedynym źródłem jej wartości była uroda, to naturalne – niektórzy powiedzieliby, że również rozsądne – że odpowiednio ją wyceniła. Co zaś się tyczy Wenezueli, to kim jest mój sąsiad, by dyktować, co powinno się wiedzieć? Byłam pewna, że sam nie wiedział mnóstwa rzeczy, a o czym nie wiedział, to dla niego nie istniało, tak jak Wenezuela nie istniała dla jego ślicznej żony. Sąsiad tak mocno zmarszczył brwi, że po obu stronach jego podbródka

pojawiły się bruzdy przypominające makijaż klauna.

– Przyznaję – odezwał się po długim milczeniu – że w tej kwestii mogę być nieco stronniczy.

Prawda była taka, że nie mógł wybaczyć drugiej żonie tego, jak traktowała jego dzieci, które spędzały z nimi wakacje, przeważnie w starym rodzinnym domu na wyspie. Szczególną zazdrość budziło w niej młodsze – chłopiec – którego każdy ruch krytykowała. Obserwowała go ze stanowiącym niesamowity widok natręctwem, zawsze wynajdywała mu coś do zrobienia w domu, winiła go za najmniejszą oznakę nieporządku i rościła sobie prawo do karania go za rzeczy, których nikt poza nią nie postrzegał w kategoriach występku. Pewnego razu po powrocie do domu mój sąsiad odkrył, że chłopiec został zamknięty w obszernych, przypominających katakumby i ciągnących się pod całym budynkiem piwnicach, miejscu w najlepszym razie wyjątkowo mrocznym i ponurym, do którego on sam bał się schodzić, gdy był dzieckiem. Roztrzęsiony chłopiec leżał na posadzce. Powiedział ojcu, że został wtrącony do piwnicy, ponieważ nie sprzątnął swojego talerza ze stołu. Jak gdyby reprezentował całe małżeńskie brzemie, jak gdyby stanowił uosobienie jakiejś niesprawiedliwości, którą kobieta czuła się przytłoczona; był też dla niej świadectwem, że nie jest i nigdy nie będzie u męża na pierwszym miejscu.

Mój sąsiad nie potrafił zrozumieć tej potrzeby dominacji, bo przecież nie było jego winą, że zanim ją poznał, żył innym życiem. Z czasem jednak stało się rzeczą oczywistą, że postanowiła wymazać tę historię oraz dzieci, będące jej niezatartym śladem. Wtedy mieli już własne dziecko, też chłopca, ale jego narodziny wcale nie uspokoiły sytuacji, przeciwnie: zazdrość drugiej żony zdawała się jeszcze rosnąć. Oskarżyła męża, że ten nie darzy najmłodszego syna miłością tak silną jak starsze dzieci; nieustannie go obserwowała, szukając oznak specjalnych względów dla starszego potomstwa. Własnego syna faworyzowała w sposób ewidentny, często jednak złościła się na malca, jak gdyby czuła, że inne dziecko wygrałoby tę bitwę za nią. I stało się tak, że w końcu właściwie porzuciła syna. Spędzali lato na wyspie, byli tam też jej rodzice – fotele. Mój sąsiad

darzył ich wówczas wyjątkową sympatią, postrzegał bowiem ich bezbarwność – odbieraną życzliwie – jako dowód na cykloniczną naturę swojej żony. Byli niczym kraina wiecznie nawiedzana przez tornada; żyli w stanie trwałego częściowego spustoszenia. Żona wbiła sobie do głowy, że chce wrócić do Aten. Przypuszczał, że nudzi się na wyspie, zapewne brakuje jej przyjęć i zajęć, męczy ją wieczne spędzanie wakacji na wyspie, w rodzinnym mauzoleum męża, poza tym jej rodzice planowali rychły powrót do siebie, samolotem z Aten, mogą więc, powiedziała, zostawić starsze dzieci pod opieką gospodyni i polecieć wszyscy razem. Mój sąsiad odparł, że nie ma mowy o powrocie do Aten. Nie mógł przecież zostawić dzieci na wyspie – miały być u niego jeszcze przez dwa albo trzy tygodnie. Jakże mógłby je opuścić, kiedy miał jedyną okazję, by spędzić z nimi nieco czasu? Wobec tego, skoro nie chce jechać, oświadczyła żona, może śmiało uznać ich małżeństwo za zakończone.

Doszło zatem do starcia: mój sąsiad został poproszony o dokonanie wyboru i oczywiście, poczuł, że nie ma żadnego wyboru. Uznał sytuację za całkowicie niedorzeczną, wobec czego wywiązała się straszna kłótnia, zakończona tym, że żona zabrała ich wspólnego synka oraz swoich rodziców, wsiadła na prom i wróciła do Aten. Przed wypłynięciem teść podjął rzadką próbę zabrania głosu. Powiedział mianowicie, że rozumie punkt widzenia zięcia. Wtedy to mój sąsiad po raz ostatni widział rodziców żony i długo też nie miał okazji spotkać się z nią samą, ponieważ wróciła z matką i ojcem do Anglii i rozwiodła się z nim na odległość. Wynajęła bardzo dobrego prawnika i mój sąsiad po raz drugi w życiu znalazł się na krawędzi ruiny finansowej. Sprzedał jacht i kupił niewielką motorówkę, dużo precyzyjniej odzwierciedlającą jego stan posiadania. Ich wspólny syn zaczął powracać na wyspę, kiedy jego matka ponownie wyszła za mąż; znalazła sobie angielskiego arystokratę, oczywiście bajecznie bogatego – i odkryła, że w drugim małżeństwie dziecko przeszkadza jej tak samo, jak dzieci mojego sąsiada przeszkadzały w pierwszym. W tym ostatnim szczególnie krył się dowód, jeśli nie wyjątkowej wytrwałości byłej żony mojego sąsiada, to przynajmniej jej osobliwej konsekwencji.

Tak wiele się traci, powiedział, kiedy statek rozbija się o skały. Pozostają szczątki, które jeśli się ich nie wyłowi, też przepadną w morzu. Mimo to, dodał, nadal wierzę w miłość. Miłość naprawia niemal wszystko, a gdy czegoś nie może naprawić, przynajmniej koi ból. Na przykład pani, zwrócił się do mnie, w tej chwili jest pani smutna, ale gdyby była pani zakochana, smutek by pani minął. Znow pomyślałam o swoich synach i ich odkryciu, że cierpienie w magiczny sposób pozwala odzyskać przedmiot. W tej samej chwili poczułam, jak w ciemności samolot bierze pierwszy, delikatny przechył ku ziemi. Odezwał się głos w interkomie, stewardesy ruszyły przejściem, prosząc pasażerów o zajęcie miejsc w fotelach. Mój sąsiad zapytał, czy mogłabym podać mu swój numer telefonu; może wybralibyśmy się na kolację podczas mojego pobytu w Atenach.

Byłam rozczarowana historią jego drugiego małżeństwa. Brakowało w niej obiektywizmu, zbyt opierała się na skrajnościach, a właściwości moralne przypisywane tym skrajnościom często były niewłaściwe. Nie ma, przykładowo, nic złego w zazdrości o dziecko, choć w tym wypadku rzeczywiście okazała się ona bardzo bolesna dla wszystkich zainteresowanych. Niektóre elementy opowieści wydawały mi się nieprawdziwe, na przykład nie wierzyłam, że żona mojego sąsiada rzeczywiście zamknęła jego syna w piwnicy, nie przekonały mnie również uwagi o jej urodzie, które też odebrałam jako błędnie nacechowane. Nie ma nic złego w zazdrości, a już na pewno nie ma nic niewłaściwego w byciu pięknym; złem było posługiwanie się fałszem i w pewnym sensie, kradzież piękna przez narratora. Rzeczywistość można określić mianem nieustannej równowagi pomiędzy tym, co pozytywne i negatywne, ale w narracji mojego sąsiada harmonia tych skrajności uległa zaburzeniu i zostały im przypisane osobne, sprzeczne tożsamości. W opowiadaniu niektóre postaci – narrator i jego dzieci – nieodmiennie były ukazywane w dobrym świetle, natomiast żona pojawiała się jedynie wówczas, gdy należało przypisać jej dalsze przewiny. Na przykład: podstępne próby narratora skontaktowania się z pierwszą żoną zostały ukazane

pozytywnie jako świadczące o wrażliwości, zaś poczucie zagubienia drugiej małżonki – mające, jak już wiemy, solidne podstawy – potraktowano jako niezrozumiałe przestępstwo. Jedynym wyjątkiem było uwielbienie narratora dla nudnych, targanych tornadami teściów, gorzko-słodki szczegół, w którym powracała równowaga pomiędzy tym, co pozytywne i negatywne. Poza tym jednak była to opowieść, w której jak wyczuwałam, narrator poświęcił prawdę dla zdobycia nagrody.

Sąsiad roześmiał się i stwierdził, że pewnie mam rację. Moi rodzice walczyli ze sobą przez całe życie, powiedział, i żadne z nich nie wygrało. Ale też żadne nie zrejęterowało. Uciekły za to dzieci. Mój brat żenił się pięć razy, a teraz w Boże Narodzenie siedzi samotnie w mieszkaniu w Zurychu, liczy pieniądze i je kanapki z serem. Niech pan powie prawdę, poprosiłam: czy rzeczywiście żona zamknęła pańskiego syna w piwnicy? Przechylił głowę.

– Zawsze temu zaprzeczała – odparł. – Twierdziła, że Takis sam się zamknął, żeby przysporzyć jej kłopotów.

Przyznaje wszakże, dodał, że miała powód, by nalegać, żeby pojechał z nią do Aten. Nie powiedział mi wszystkiego. Otóż matka żony zachorowała. Sytuacja nie była poważna, ale teściowa musiała udać się do szpitala na stałym lądzie, a znajomość greckiego jego żony pozostawiała nieco do życzenia. Wydawało mu się jednak, że żona i teść poradzą sobie sami. Wypowiedziana na odchodnym uwaga teścia okazała się zatem bardziej ambiwalentna niż w pierwszej wersji opowieści. Zapięliśmy pasy, posłuszni instrukcji z interkomu, a kiedy maszyna z drżeniem skierowała dziób w dół, po raz pierwszy ujrzałam światła na ziemi, ogromny las świateł, tajemniczo wznoszący się i opadający w ciemności.

W owym czasie, powiedział mój sąsiad, stale bardzo martwiłem się o dzieci. Nie potrafiłem myśleć o naszych, moich i żony, potrzebach; sądziłem, że bardziej potrzebują mnie dzieci. Jego słowa przypomniały mi o maskach tlenowych, z których w czasie lotu, rzecz jasna, nie skorzystaliśmy. Swego rodzaju wzajemny cynizm, powiedziałam, sprawił, że wyposażono samolot w maski tlenowe przy milczącym porozumieniu, że i tak nigdy nie będą potrzebne.

Mój sąsiad odparł, że jego zdaniem prawda ta obejmuje wiele aspektów życia, lecz zarazem prawo średnich nie jest czymś, na czym warto opierać swoje oczekiwania.

II

Zauważyłam, że kiedy szliśmy wąskim chodnikiem tuż obok ryczących aut, Ryan zawsze zajmował miejsce z dala od krawężnika.

– Czytałem statystyki dotyczące śmiertelnych wypadków na ateńskich drogach – powiedział. – Traktuję te informacje bardzo poważnie. Muszę dotrzeć do domu w jednym kawałku, jestem to winien mojej rodzinie.

W wielu miejscach na chodniku leżały wielkie kudłate psy. Trwały nieruchomo i wyglądałyby w tym upale na nieożywione, gdyby nie lekkie wznoszenie się boków poruszanych oddechem. Z pewnej odległości niektóre z nich przypominały zamroczone alkoholem kobiety w futrach.

– Przechodzisz nad psem? – spytał z wahaniem Ryan. – Czy go okrążasz?

Powiedział, że upał mu nie przeszkadza, a nawet mu się podoba. Czuł się, jakby wysychała nagromadzona przez lata wilgoć. Żałował jedynie, że dotarł tu dopiero w wieku czterdziestu jeden lat, ponieważ to miejsce wydawało mu się naprawdę fascynujące. Szkoda, że żona i dzieci nie mogą tego zobaczyć, ale nie zamierzał psuć sobie nastroju poczuciem winy. Żona niedawno wybrała się z przyjaciółkami na weekend do Paryża, zostawiając go samego z dziećmi, uznał więc, że zasłużył sobie na wyjazd. Poza tym, mówiąc całkiem szczerze, dzieci spowalniają człowieka. Dziś rano, zanim upał stał się zbyt uciążliwy, wybrał się pieszo na Akropol – nie udałoby mu się tego dokonać, gdyby włożył ze sobą dzieci, prawda? A nawet gdyby, to przez cały czas martwiłby się, czy nie dostaną oparzeń od słońca albo czy się nie odwodnią, i nawet kiedy ujrzałby Partenon niczym kruszejącą złoto-białą koronę na szczycie wzgórza, na tle groźnego, pogańskiego, błękitnego nieba, to nie poczułby go tak, jak poczuł tego ranka, wietrząc ocienione szczeliny swojej duszy. Wspinając się, z jakiegoś powodu przypomniał sobie,

że w jego dziecięcej sypialni pościel zawsze pachniała pleśnią. Kiedy otwierało się szafę w domu rodziców, często widziało się wodę ciekącą po tylnej ścianie mebla. Kiedy wyjeżdżał z Tralee do Dublina i chciał zdjąć książki z półek, okazało się, że te do nich przywarły. Beckett i Synge zbutwieli i zamienili się w klej.

– Co sugeruje, że kiepski był ze mnie czytelnik – powiedział. – Dlatego nie chwalebę się tym zanadto.

Nie, nigdy wcześniej nie był w Grecji ani w żadnym innym kraju, w którym słoneczna pogoda jest czymś oczywistym. Zresztą i tak jego żona była na nie uczulona – to znaczy na słońce. Podobnie jak on wychowywała się w wilgoci i cieniu, od słońca robiły się jej na skórze sine plamki i pęcherze; w ogóle nie radziła sobie z upałami, reagowała na nie migreną i wymiotami. Na wakacje zabierali dzieci do Galway, gdzie rodzice żony mieli dom, a jeśli nachodziła ich rozpaczliwa chęć wyrwania się z Dublina, zawsze mogli pojechać do Tralee. To przypadek domu jako miejsca, „w które, kiedy musisz przyjść, to muszą cię tam wpuścić”¹, powiedział. I jego żona we wszystko to wierzyła: w powiązania rodzinne, w niedzielne lunche i w to, że dzieci powinny mieć dziadków zarówno ze strony matki, jak i ojca, ale gdyby to od niego zależało, prawdopodobnie nigdy więcej nie przekroczyłby progu domu swoich rodziców. Nie chodzi o to, że wyrządzili mi jakąś szczególną krzywdę, zaznaczył, oboje są miłymi ludźmi, po prostu sądzę, że nie przyszłoby mi do głowy, żeby to zrobić.

Minęliśmy kawiarnię ze stolikami w cieniu rozłożystej markizy. Siedzący przy nich ludzie wyglądali na lepszych od nas, chłodnym i czujnym spojrzeniem spod płótna chroniącego ich przed słońcem obrzucali naszą dwójkę, nie wiadomo po co brnącą przez skwar i zgiełk ulicy. Ryan powiedział, że usiadłby i napił się czegoś; dodał, że był tu już wcześniej, przyszedł raz na śniadanie, i lokal wydał mu się przyjemny. Nie bardzo wiedziałam, czy chce, żebym z nim usiadła. W istocie dobrał słowa tak starannie, że odniosłam wrażenie, iż wolałby uniknąć mojego towarzystwa. Później obserwowałam go pod kątem tej cechy i zauważyłam, że kiedy inni coś planowali, Ryan, zamiast zobowiązać się do stawienia się

w konkretnym miejscu o konkretnej porze, mówił: „Może dołączę do was później” albo „Może się tam spotkamy”. O tym, co robił, opowiadał jedynie po fakcie. Kiedyś spotkawszy go przypadkiem na ulicy, zauważyłam, że włosy, które zwykle zaczesywał do tyłu, ma mokre, i zapytałam go wprost, gdzie był. Przyznał, że poszedł popływać do Hiltona, bo mają tam duży odkryty basen; podał się za gościa hotelowego i zrobił czterdzieści długości pośród rosyjskich plutokratów, amerykańskich biznesmenów i dziewcząt o ciałach poprawionych skalpelem. Był pewien, że ratownicy mieli go na oku, a mimo to żaden nie ośmielił się go zaczepić. Jak inaczej zażywać gimnastyki, zapytał, w środku dławionego korkami miasta w czterdziestostopniowej spiekocie?

Przy stoliku usiadł tak jak inni mężczyźni, to znaczy plecami do ściany, żeby mieć widok na kawiarnię i ulicę. Zajął miejsce po drugiej stronie stolika, a ponieważ w takiej pozycji widziałam tylko Ryana, to właśnie jemu się przyglądałam. Razem ze mną uczył w letniej szkole, z daleka wyglądał na mężczyznę o typowej, rudawozłotej urodzie, z bliska jednak wyczuwało się w jego powierzchowności coś niepokojącego, jak gdyby składał się z niepowiązanych detali, wskutek czego różne elementy jego budowy nie do końca do siebie przystawały. Miał duże, białe i zawsze lekko obnażone zęby, wiotkie ciało, niezbyt umięśnione i niezbyt otłuszczone, do tego małą i wąską głowę, porośniętą rzadkimi, niemal bezbarwnymi włosami, które sterczały z czoła niczym kolce, oraz pozbawione koloru rzęsy, chwilowo schowane za ciemnymi okularami. Natomiast brwi miał gęste, proste i czarne. Kiedy zjawiała się kelnerka, zdjął okulary i wtedy zobaczyłam jego oczy: dwa małe jasnoniebieskie odpryski w lekko zaczerwienionych białkach. Czerwoną barwę miały też obwódki wokół tęczówek, jak gdyby go bolały albo przypaliło je słońce. Zapytał, czy mają piwo bezalkoholowe, na co kelnerka, nie rozumiejąc, nachyliła się w jego stronę i dłonią osłoniła ucho. Sięgnął po kartę dań i wspólnie zaczęli ją studiować.

– Czy któreś z tych piw – powiedział powoli, protekcyjnym gestem przesuwając palcem w dół listy napojów i często spoglądając

na kelnerkę – jest bezalkoholowe?

Pochyliła się jeszcze mocniej i wpatrzyła w miejsce, które wskazywał jego palec, on zaś utkwiał spojrzenie w jej twarzy, młodej i pięknej, otoczonej długimi puklami włosów, które wciąż zakładała za uszy. Jej konsternacja trwała długo, jako że Ryan pokazywał coś, czego nie było, aż w końcu stwierdziła, że będzie musiała pójść po kierownika, na co Ryan zamknął kartę gestem nauczyciela kończącego lekcję i powiedział, że nie ma sprawy, niech już będzie zwykłe piwo. Ta zmiana decyzji jeszcze bardziej zamąciła jej w głowie: menu zostało ponownie otwarte i cała lekcja powtórzona, ja zaś przeniosłam uwagę na ludzi siedzących przy sąsiednich stolikach, na jezdnię, pełną samochodów, i na chodnik, na którym w blasku słońca leżały psy wyglądające jak sterty futer.

– Obsługiwała mnie dziś rano – rzucił Ryan, kiedy kelnerka odeszła. – Ta sama dziewczyna. Piękni ludzie, prawda? Szkoda tylko, że nie mają piwa bezalkoholowego. U nas kupisz je wszędzie.

Powiedział, że poważnie stara się ograniczyć picie. Praktycznie cały poprzedni rok spędził na zdrowym odwyku, codziennie chodził na siłownię i jadał sałatki. Trochę sobie odpuścił, kiedy urodziły się dzieciaki, a poza tym przecież trudno utrzymać zdrowe nawyki w Irlandii, staje im bowiem na przeszkodzie cała tamtejsza kultura. W młodości miał dużą nadwagę, tak jak wielu mieszkańców Tralee, łącznie z jego rodzicami i starszym bratem, który nadal uważa, że jedząc frytki, stosuje się do zasady spożywania pięciu porcji warzyw dziennie. Cierpiał też na liczne alergie, miał egzemę i astmę, których domowa dieta z pewnością nie pomagała zwalczyć. Kiedy chodził do szkoły, istniał obowiązek noszenia krótkich spodenek i wełnianych podkolanówek, te zaś boleśnie przywierały do dotkniętych egzemą kończyn. Pamiętał doskonale, jak wieczorami odlepiał skarpety od ciała, a wraz z nimi z nóg schodziły płaty skóry. Dziś, co oczywiste, rodzice czym prędzej zaprowadziliby takie dziecko do dermatologa albo homeopaty, ale w tamtych czasach musiało ono radzić sobie samo. Kiedy miał trudności z oddychaniem, rodzice kazali mu siedzieć w samochodzie. Co zaś się tyczy wagi, powiedział, to rzadko oglądało się samego siebie – już nie mówiąc o innych – bez ubrania.

Pamiętał poczucie oddzielenia od własnego ciała, które snuło się po wilgotnym, pełnym zarodników domu; pamiętał zatłoczone płuca i swędzącą skórę, żyły pełne cukru i tłuszczu, rozchwiane i okryte niewygodnym ubraniem ciała. Jako nastolatek był nieśmiały i nieruchawy, unikał wystawiania na widok publiczny własnej fizyczności. Potem wyjechał na rok do Ameryki, w ramach programu twórczego pisania, i odkrył, że wysiłkiem woli może całkowicie odmienić swój wygląd. Na terenie uczelni znajdował się basen i siłownia, a w uniwersyteckiej stołówce podawano jedzenie, o jakim nigdy nie słyszał: kiełki, produkty pełnoziarniste i soję. Co więcej, otaczali go ludzie, którzy pojęcie przemiany samego siebie traktowali jak dogmat. Ryan zaraził się tą ideą błyskawicznie, niemal z dnia na dzień: oto mógł zdecydować, jaki chce być, i dopiąć swego. Nie istniało nic narzuconego z góry; poczucie własnego ja jako zarazem złego i dobrego losu, które wisiało niczym obłok nad całym jego życiem, mógł, jak sobie uświadomił, pozostawić w Irlandii. Podczas pierwszej wizyty w siłowni zobaczył śliczną dziewczynę, która ćwiczyła na jakimś przyrządzie, jednocześnie czytając leżącą przed nią na stojaku grubą książkę o filozofii – i nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Okazało się, że wszystkie sprzęty w siłowni wyposażono w stojaki na książki. Ta konkretna maszyna nazywała się stepper i pozwalała symulować czynność wchodzenia po schodach. Od tamtej pory Ryan zawsze korzystał z tego urządzenia, zawsze z otwartą książką przed oczami, ponieważ obraz dziewczyny – której ku swemu niewielkiemu rozczarowaniu nigdy więcej nie zobaczył – utrwalił się w jego głowie. W ciągu roku akademickiego pokonał wiele kilometrów schodów, nie ruszając się z miejsca, i tak właśnie wyglądał obraz, który sobie przyswoił: nie dziewczyny, lecz urojonej klatki schodowej i samego siebie wspinającego się po stopniach z książką dyndającą przed oczami jak marchewka przed osłem. Musiał się wspinać, ażeby oddalić się od miejsca, z którego pochodził.

Wyjazd akurat do Ameryki okazał się czymś więcej niż tylko uśmiechem losu: stał się decydującym wydarzeniem w całym jego życiu, a myśl o tym, kim by się stał i co by robił, gdyby do tego nie

doszło, w pewnym sensie go przerażała. Nauczyciel angielskiego w college'u opowiedział mu o programie twórczego pisania i namówił do złożenia podania. Zanim przyszła odpowiedź, Ryan zdążył skończyć szkołę i wrócić do Tralee, ponownie zamieszkać z rodzicami, znaleźć pracę w zakładzie przetwórstwa drobiu i wdać się w romans z dużo od siebie starszą kobietą z dwójką dzieci, którym, Ryan nie miał co do tego wątpliwości, musiałyby ojcować. Z listu dowiedział się, że na podstawie załączonej do podania próbki tekstu zaproponowano mu bezpłatne stypendium z opcją przedłużenia nauki na drugi, płatny rok, jeżeli zechciałby zdobywać uprawnienia nauczycielskie. Czterdzieści osiem godzin później znajdował się już na pokładzie samolotu; zabrawszy tylko kilka książek i ubranie, które miał na sobie, po raz pierwszy w życiu opuszczał Wyspy Brytyjskie, w dodatku nie mając tak naprawdę pojęcia, dokąd zmierza – wiedział jedynie, że wznosząc się ponad chmury, czuje się jak w niebie.

Tak się złożyło, powiedział, że mniej więcej w tym samym czasie do Ameryki wyjechał również jego starszy brat. Nigdy nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia, toteż nie znał planów Kevina, natomiast teraz uważa, że był to niezwykle zbieg okoliczności. Tym, co zwabiło Kevina za ocean, nie był uśmiech losu, ale piechota morska USA. Niewykluczone, że w tym czasie, gdy Ryan dreptał w miejscu na stepperze, Kevin na obozie dla rekrutów pozbywał się tłuszczu z Tralee. Ryan nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że Kevin stacjonuje dosłownie tuż za rogiem, choć Ameryka to przecież ogromny kraj i było to mało prawdopodobne. Oczywiście, praca wymaga od niego częstego podróżowania, dodał z pozorną szczerością. Zupełnie przypadkowo bracia wrócili do Irlandii w tym samym czasie, trzy lata później, i spotkali się, obaj szczupli i wysportowani, w salonie w domu rodziców; Ryan zdobył uprawnienia nauczycielskie, miał w kieszeni umowę na książkę i spotykał się z tancerką baletową; Kevin miał ciało pokryte groteskowymi tatuażami i cierpiał na chorobę umysłową, która odbierała mu panowanie nad własnym życiem. Wyglądało zatem, że wyimaginowane schody wiodły zarówno w górę, jak i w dół: Ryan

i jego brat wyraźnie należeli teraz do dwóch różnych klas społecznych, i podczas gdy Ryan wyjechał do Dublina, by tam przyjąć posadę nauczyciela akademickiego, Kevin powrócił do swojego wilgotnego pokoju z dzieciństwa, w którym wyjąwszy nieregularne pobyty w szpitalach psychiatrycznych, pozostał na dobre. Najzabawniejsze, powiedział Ryan, że rodzice tak samo nie czuli dumy z jego osiągnięć, jak nie brali na siebie winy za zapaść Kevina. Próbowali się go pozbyć, umieścić w szpitalu na stałe, lecz wiecznie niechcianego Kevina wciąż odsyłano do domu. Jednocześnie do Ryana, pisarza i wykładowcy, który mieszkał w uroczym domku w Dublinie i wkrótce miał się ożenić – nie z tancerką, ale z Irlandką, przyjaciółką ze studiów, jeszcze sprzed wyjazdu do Ameryki – odnosili się z lekką pogardą. Nauczyło to Ryana, że porażki stale powracają do człowieka, w sukcesach zaś musi zawsze sam się utwierdzać.

Utkwił spojrzenie wąskich niebieskich oczu w młodej kelnerce, która niosła nasze napoje.

– Ucieknij ze mną, proszę – powiedział, kiedy się pochyliła, żeby postawić przed nim szklanę. Wydawało mi się, że musiała go usłyszeć, ale Ryan precyzyjnie ocenił sytuację i jej wspaniałe, kojarzące się z posągami oblicze nawet nie drgnęło. – Ależ to są ludzie! – powiedział, wiodąc za nią wzrokiem, gdy odchodziła. Spytał, czy choć trochę znam kraj, na co odparłam, że trzy lata wcześniej spędziłam z dziećmi w Atenach dość pamiętne wakacje.

– Piękni ludzie – powtórzył. Po chwili dodał, że chyba łatwo to wytłumaczyć, biorąc pod uwagę klimat, styl życia i oczywiście tutejszą dietę. Kiedy patrzysz na Irlandczyków, widzisz stulecia deszczu i zgniłych ziemniaków. Nadal musiał z tym walczyć, z tym wrażeniem zepsutego ciała. Jakże mu było trudno poczuć się czystym w Irlandii, tak jak czuł się w Ameryce albo tutaj, w Grecji. Zapytałam, dlaczego więc wrócił po uzyskaniu dyplomów, na co odpowiedział, że było wiele powodów, przy czym żadnego wyraźnego. Po prostu wszystkie przyczyny nawarstwiły się i zmusiły go do powrotu. Jedną z nich było to, co od razu na początku tak bardzo spodobało mu się w Ameryce, mianowicie poczucie, że nikt

tak naprawdę znikąd nie pochodzi. To znaczy, sprostował, oczywiście, że każdy musiał skądś przyjechać, ale nie wyczuwało się tego przeświadczenia, że gdzieś czeka twoje rodzinne miasto i rości sobie do ciebie prawa; tego poczucia istnienia czegoś narzuconego z góry – którego pozbył się w cudowny sposób, kiedy po raz pierwszy wzniósł się ponad chmury. Inni studenci skupiali się na jego irlandzkości, powiedział, toteż starał się im przypochlebić, mówił z akcentem i tak dalej, aż niemal przekonał samego siebie, że bycie Irlandczykiem samo w sobie stanowi tożsamość. Zresztą jaką inną tożsamością mógł się pochwalić? Nieco przerażała go ta myśl o niepochodzeniu z żadnego miejsca, zaczął postrzegać siebie nie jako przekłętą, lecz błogosławioną, zaczął niemal rozbudzać na nowo poczucie istnienia czegoś ustanowionego zawczasu, a przynajmniej widzieć je w nowym świetle. A pisanie, cała idea przeobrażonego bólu – strukturą tego była Irlandia, jego własna przeszłość w Tralee. Nagle odczuł, że może sobie nie poradzić z programową anonimowością Ameryki. Mówiąc całkiem szczerze, wcale nie był najbardziej utalentowanym spośród studentów biorących udział w programie – przyznanie tego nie stanowiło dla niego problemu – i uznał, że jedną z przyczyn, o których mowa, było to, iż nie zmagął się z anonimowością, za to borykali się z nią jego koledzy. Brak tożsamości, na której można się oprzeć, czyni cię bowiem lepszym pisarzem, prawda? Spoglądasz wówczas na świat mniej zatroskanym wzrokiem. On zaś był w Ameryce Irlandczykiem bardziej niż kiedykolwiek w swoim rodzinnym kraju.

Zaczął odbierać Dublin takim, jakim widział go oczyma duszy, kiedy był uczniem, na przykład odzianych w czarne szaty profesorów na rowerach, sunących ulicami niczym ciemne łabędzie. Czy jest możliwe, że to siebie widział przed laty? Ciemny łabędź, pływający po bezpiecznym mieście, wolny w jego murach – nie amerykańską wersją wolności, rozległą, płaską i bezgraniczną niczym preria. Powrócił w niezbyt jasnym blasku chwały, z posadą nauczyciela, dziewczyną tancerką i umową na książkę pod pachą. Baletnica wróciła do siebie pół roku później, książka zaś – zbiór opowiadań, dobrze przyjęty – okazała się jedyną, którą wydał.

Nadal utrzymuje kontakt z Nancy, nawet niedawno rozmawiali na Facebooku: już nie tańczy, została psychoterapeutką, choć mówiąc szczerze, sama jest odrobinę szalona. Mieszka razem z matką w Nowym Jorku i Ryana uderza to, że choć ma czterdzieści lat, nic się nie zmieniła, jest mniej więcej tą samą osobą, którą była, kiedy miała dwadzieścia trzy lata. Za to on: żona, dzieci, dom w Dublinie – jest pod każdym względem innym człowiekiem. Opóźniona w rozwoju – tak czasem o niej myśli, wiedząc, że to okrutne. Ona za każdym razem pyta go, czy już napisał nową książkę, na co Ryan ma ochotę – ale rzecz jasna, nigdy tego nie robi – zapytać ją, czy już się wyszumiała.

Jeśli chodzi o opowiadania, to Ryan nadal je lubi, wraca do nich czasem, czyta na nowo. Zdarza się, że trafiają do jakiejś antologii; jakiś czas temu jego agent sprzedał licencję wydawnictwu z Albanii. W pewnym sensie przypomina to oglądanie własnych starych zdjęć. Nadchodzi taki moment, kiedy trzeba uaktualnić zapis, albowiem zerwało się zbyt wiele więzów łączących człowieka z dawnym sobą. Ryan nie bardzo wie, jak to się stało, pewien jest tylko tego, że nie rozpoznaje już siebie w tych opowiadaniach, mimo iż pamięta zryw towarzyszący pisaniu, pamięta, jak coś się w nim gromadziło, narastało i przemożnie parło na zewnątrz. Od tamtej pory nigdy nie doświadczył tego uczucia, myśli wręcz, że aby wciąż być pisarzem, najpierw musiałby się nim znów stać, a przecież równie łatwo mógłby zostać astronautą albo rolnikiem. Jak gdyby nie do końca potrafił przypomnieć sobie, co właściwie pchnęło go przed laty ku słowom, choć przecież nadal się nimi zajmuje. Trochę to przypomina małżeństwo, powiedział. Wznosisz całą konstrukcję na bazie jednego, niepowtarzalnego okresu intensywności. Jest on fundamentem twojej wiary, czasem wątpisz, ale nigdy się go nie wyrzekasz, ponieważ stoi na nim zbyt duża część twojego życia. Aczkolwiek pokusa bywa bardzo silna, dodał, kiedy młoda kelnerka mijała nasz stolik. Chyba rzuciłam mu cokolwiek ganiące spojrzenie, bo zaraz powiedział:

– Moja żona, kiedy wieczorem wychodzi z przyjaciółkami, ogląda się za facetami. Czuję się zawiedziony, gdyby tego nie robiła.

Patrz do woli, mówię. Rozglądaj się. Odpowiada mi tym samym: śmiało, napatrz się.

Przypomniał mi się wtedy pewien wieczór sprzed kilku lat, który spędziłam w barze z grupą ludzi. Było wśród nich nieznane mi małżeństwo. Kobieta wyłuskiwała z tłumu atrakcyjne dziewczyny i pokazywała je swojemu mężowi. Siedzieli przy stoliku i omawiali zalety różnych dziewczyn, i gdyby nie grymas skrajnej rozpacz, który zauważyłam na twarzy kobiety, kiedy wydawało jej się, że nikt na nią nie patrzy, pewnie bym uwierzyła, że obojgu sprawia to przyjemność.

Ryan powiedział, że on i żona są zgraną parą. Dzielą się obowiązkami związanymi z opieką nad dziećmi i domem – żona Ryana, w odróżnieniu od jego matki, nie jest męczennicą. Wyjeżdża na wakacje z przyjaciółkami i oczekuje, że pod jej nieobecność mąż wszystkim się zajmie. Dając drugiej osobie swobodę, oboje robią to ze świadomością, że należy się ona również im samym. Wiem, że może się to wydawać nieco wykalkulowane, powiedział Ryan, ale w ogóle mi to nie przeszkadza. Prowadzenie domu ma w sobie coś z zarządzania firmą. Jeśli nie chcemy doprowadzić do upadku, najlepiej będzie, jeśli wszyscy na samym początku uczciwie powiedzą, czego potrzebują.

Odezwał się mój leżący na stoliku telefon. Wiadomość od syna: „Gdzie moja rakietka do tenisa?”. Nie wiem jak ty, powiedział Ryan, ale ja tak naprawdę nie mam czasu na pisanie, bo rodzina, bo praca. Zwłaszcza to drugie – nauczanie wysysa z ciebie życie. A kiedy już dostaję tydzień wolnego, zapełniam go prowadzeniem dodatkowych kursów, takich jak ten, zwyczajnie dla pieniędzy – jeżeli jest to kwestia wyboru pomiędzy splatą kredytu hipotecznego a napisaniem opowiadania, które ukaże się wyłącznie w jakimś magazynie literackim o mikroskopijnym nakładzie; wiem, że niektórzy ludzie czują pewną potrzebę, a przynajmniej tak utrzymują, ale myślę, że wielu raczej po prostu lubi takie życie, lubi mówić, że są pisarzami. Nie twierdzę, że tego nie lubię, ale dla mnie nie to jest najważniejsze. Jeśli mam być szczery, to wolałbym napisać jakiś thriller. Pójść za prawdziwymi pieniędzmi – kilkoro

moich studentów, powiedział, tak właśnie zrobiło, rozumiesz, napisało rzeczy, które potem cieszyły się popularnością na całym świecie. Żona mi powiedziała: „Przecież sam ich tego nauczyłeś, prawda?”. Nie do końca zrozumiała, na czym polega cały ten proces, to oczywiste, ale w pewnym sensie miała rację. Jedno, co wiem, to że pisanie bierze się z napięcia – z napięcia pomiędzy tym, co w środku, a tym, co na zewnątrz. Napięcie powierzchniowe – zgrabnie powiedziane, i całkiem niezły tytuł, prawda? Usiadł wygodnie i popatrzył w zamyśleniu na ulicę. Ciekawe, przyszło mi do głowy, czy już postanowił, że ten jego thriller będzie miał tytuł *Napięcie powierzchniowe*. W każdym razie, ciągnął, kiedy sięgam myślami do okoliczności, które pchnęły mnie do napisania *Powrotu do domu*, uświadamiam sobie, że nie ma sensu, abym próbował wrócić do tego miejsca, bo to niemożliwe. Nie potrafiłbym odtworzyć w sobie tego napięcia. Życie pcha cię w jakimś kierunku, ale ciebie przecież ciągnie w drugą stronę, jak gdybyś nie zgadzał się z własnym przeznaczeniem, jak gdyby istniała rozbieżność pomiędzy tym, kim jesteś, a tym, kim mówią, że jesteś. Buntuje się cała twoja dusza. Tymczasem dziś – przeciwko czemu protestuję? Trójka dzieci, kredyt hipoteczny i praca, której wolałbym mieć mniej – przeciwko temu.

Ponownie odezwał się telefon. Wiadomość od mojego sąsiada z samolotu. Napisał, że wybiera się na wycieczkę motorówką, i zapytał, czy nie miałabym ochoty do niego dołączyć. Mógłby przyjechać po mnie za jakąś godzinę, a potem odwieźć z powrotem do mieszkania. Zastanawiałam się nad tym, słuchając Ryana. Tęsknię, powiedział, za dyscypliną. W pewnym sensie nie dbam o to, co piszę – po prostu brakuje mi tego poczucia zgrania ciała i umysłu. Wiesz, o co mi chodzi? Kiedy mówił, wyobraziłam sobie schody, które znów przed nim wyrastają i wiodą wysoko, aż znikają z oczu, i wspinającego się po stopniach Ryana z książką, drażniącą zawieszoną w powietrzu tuż przed jego oczami. Granica cienia przesunęła się, zbliżył się skwar ulicy, siedzieliśmy prawie na styku tych dwóch zjawisk. Tuż za moimi plecami panował upalny rozgardiasz; przysunęłam krzesło bliżej stolika. Zgodzisz się, że kiedy

tam jesteś, znajdujesz na to czas, powiedział Ryan, tak jak ludzie wysupłują czas na romansowanie. Bo przecież nikt nie powie, że ma ochotę na romans, ale brakuje mu czasu, prawda? Nie ma znaczenia, jak bardzo jesteś zajęty, nieważne, ile masz dzieci i zobowiązań – tam gdzie jest namiętność, znajduje się też czas. Parę lat temu wysłali mnie na półroczny urlop naukowy, sześć miesięcy wyłącznie na pisanie, i wiesz co? Przytyłem cztery i pół kilo i poświęciłem większość tego czasu na wożenie dziecka w wózku po parku. Nie spłodziłem nawet jednej strony. Oto całe pisanie: jeśli zrobisz miejsce dla namiętności, ona nie przyjdzie. Pod koniec urlopu rozpaczliwie pragnąłem wrócić do pracy, choćby po to, żeby przełamać domową rutynę. Ale z pewnością czegoś mnie to nauczyło.

Spojrzałam na zegarek: od mieszkania dzielił mnie kwadrans piechotą, musiałam już iść. Myślałam o tym, co trzeba zabrać na wycieczkę łodzią; czy będzie gorąco, czy zimno i czy powinnam wziąć ze sobą coś do czytania. Ryan wpatrywał się w krążącą pomiędzy cieniem a słońcem dumną i wyprostowaną kelnerkę, której włosy były doskonale nieruchome. Schowałam swoje rzeczy do torebki i przesunęłam się na krawędź krzesła, co przyciągnęło uwagę Ryana. Obrócił głowę w moją stronę. A ty, odezwał się, pracujesz nad czymś?

III

Mieszkanie należało do kobiety imieniem Clelia, która na lato wyjechała z Aten. Znajdowało się przy wąskiej uliczce, będącej jak ocieniony wąwóz pomiędzy domami. Na rogu, naprzeciwko wejścia do budynku Clelii, działała kawiarnia z dużą markizą, osłaniającą stoliki, przy których o każdej porze siedziało kilka osób. Lokal wyposażono w wychodzące na wąski chodnik szerokie okno, na którym na całej długości naklejono fotografię przedstawiającą siedzących na zewnątrz przy stolikach ludzi, co tworzyło bardzo przekonujące złudzenie optyczne. Na zdjęciu było widać kobietę, która podnosiła filiżankę do uszmkowanych ust i śmiała się, odrzucając głowę do tyłu, i przystojnego, opalonego mężczyznę siedzącego naprzeciwko niej, który pochylał się nad stolikiem; jego palce spoczywały lekko na jej nadgarstku, miał na ustach speszony uśmiech kogoś, kto właśnie powiedział coś zabawnego. Ta fotografia była pierwszą rzeczą, którą widziało się po wyjściu z budynku Clelii. Widniejący na niej ludzie mieli rozmiary nieznacznie większe od naturalnych i nieodmiennie, na krótko, kiedy opuszczało się mieszkanie, wydawali się przerażająco prawdziwi. Ich widok na moment dławił poczucie rzeczywistości patrzącego, tak że przez kilka niepokojących sekund wierzył on, iż ludzie są więksi, szczęśliwsi i piękniejsi, niż mu się wydawało.

Mieszkanie Clelii znajdowało się na najwyższym piętrze, szło się do niego krętymi marmurowymi schodami, po kolei mijając lokale mieszczące się na niższych kondygnacjach. Dotarcie do mieszkania Clelii wymagało pokonania trzech biegów schodów i minięcia trzech par drzwi. Na samym dole klatka była ciemniejsza i chłodniejsza od ulicy, ale im wyżej, tym robiła się jaśniejsza i cieplejsza za sprawą okien zamontowanych na korytarzu na wyższych piętrach. Przed drzwiami Clelii, pod samym dachem, gorąco i móżół wspinaczki sprawiały, że z trudem łapało się oddech. Ale miało się też poczucie

uzyskania dostępu do prywatnej przestrzeni, ponieważ marmurowe schody kończyły się w tym miejscu i już nie można było pójść dalej. Na podeście przed drzwiami Clelia umieściła dużą abstrakcyjną rzeźbę z wyrzuconego na brzeg drewna i sama obecność tego przedmiotu – przy pustych podestach na niższych kondygnacjach – poświadczająca, że oprócz Clelii i jej znajomych nikt inny nie zapuszcza się tak wysoko. Oprócz rzeźby stała tam w czerwonej ceramicznej donicy roślina przypominająca kaktus, a na cynowej kołatce wisiał amulet w formie kolorowej plecionki.

Clelia, jak się okazało, była pisarką, która pozwalała korzystać ze swojego mieszkania autorom prowadzącym gościnnie zajęcia w ramach szkoły letniej, mimo iż byli dla niej zupełnie obcymi ludźmi. Pewne elementy wystroju mieszkania wyraźnie wskazywały, że gospodyni uznaje pisanie za zawód godny najwyższego zaufania i szacunku. Na prawo od kominka znajdowało się szerokie przejście, prowadzące do ustronnego pomieszczenia na planie kwadratu, będącego gabinetem Clelii. W nim, tyłem do pojedynczego okna, stało duże biurko z drewna wiśniowego i skórzany obrotowy fotel. Oprócz tego w pokoju zgromadzono obszerny zbiór książek i kilka pomalowanych drewnianych modeli łodzi, które zawieszono na ścianach. Makiety stanowiły przykład pięknej i misternej roboty, bogatej w szczegóły: miniaturowe zwoje lin i tycie mosiężne przyrządy na wyszlifowanych pokładach, większe zaś egzemplarze miały białe żagle, wybrzuszone w tak kunsztowne i pełne napięcia kształty, że istotnie miało się wrażenie, jakby dał w nie wiatr. Z bliska dostrzegało się niezliczone maleńkie liny, tak cieniutkie, że niemal niewidoczne, biegnące od żagli i utrzymujące je w odpowiedniej pozycji. Wystarczyło zrobić kilka kroków, żeby przejść od wrażenia wiatru wydymającego żagle okrętów do widoku płataniny sznureczków, co, byłam przekonana, stanowiło metaforę, którą Clelia chciała zilustrować związek pomiędzy złudzeniem a rzeczywistością, choć być może nie spodziewała się, że jej gość pójdzie krok dalej, tak jak ja to zrobiłam, i wyciągnie rękę, by dotknąć białej tkaniny żagli, która wcale nie okazała się tkaniną, lecz zwykłym papierem, zaskakująco suchym i kruchym.

Kuchnia Clelii była funkcjonalna i świadczyła o tym, że gospodyni nie spędza w niej zbyt wiele czasu. Jedną z szafek w całości wypełniały osobliwe gatunki whisky, inną – rzeczy rzadko używane: zestaw do fondue, garnek do gotowania ryb, wykrawaczka do ravioli, w dodatku nadal w opakowaniach; kilka pudeł było pustych. Jeżeli na blacie zostawiło się choćby okruszek chleba, ze wszystkich stron nadciągały zastępy mrówek i rzucały się na niego niczym wygłodniałe sępy. Z okna w kuchni roztaczał się widok na zaplecze sąsiednich budynków, na rury, przewody i sznury do wieszania bielizny. Samo pomieszczenie było małe i ciemne. Ale za to znajdowało się w nim wszystko, co mogło się okazać niezbędne podczas przyrządzania posiłku.

W salonie Clelii mieściła się ogromna kolekcja płyt z muzyką klasyczną. Należący do gospodyni zestaw hi-fi składał się z mnóstwa zagadkowych czarnych skrzynek, smukłych i niepozornych, które zaskakiwały słuchacza mocą wydobywającego się z nich dźwięku. Clelia gustowała w symfoniach, miała komplet dzieł symfonicznych wszystkich najważniejszych kompozytorów. Wyraźnie stroniła od kompozycji gloryfikujących solowe głosy bądź pojedyncze instrumenty, miała niewiele płyt z muzyką fortepianową, a z operową – prawie żadnej; jedynym wyjątkiem był Janáček i jego operowe dzieła zebrane, wydane w eleganckim pudełku. Nie wiem, czy miałabym ochotę słuchać tylu symfonii jedna po drugiej, tak jak pewnie nie zdecydowałabym się na spędzenie popołudnia na lekturze *Britanniki*. Przyszło mi do głowy, że być może w wyobrażeniu Clelii obie te rzeczy odzwierciedlały to samo zjawisko: pewnego rodzaju bezstronność, która pojawia się, kiedy skupiamy się na sumie ludzkich elementów, to zaś, co indywidualne, ulega zamazaniu. Niewykluczone, że był to rodzaj dyscypliny, niemal ascetyzmu, chwilowe odsunięcie własnej jaźni i jej głosu – w każdym razie na półkach Clelii dominowały zwarte szeregi symfonii. Kiedy włączało się jedną z nich, mieszkanie raptem powiększało się dziesięciokrotnie i zdawało się mieścić całą orkiestrę, sekcję dętą, smyczkową i tak dalej.

Sypialnie Clelii – miała dwie – wyglądały zaskakująco spartańsko.

Były niewielkimi pomieszczeniami, pudełkowatymi i pomalowanymi na bładoniebiesko. W jednej znajdowało się łóżko piętrowe, a w drugiej – podwójne. To pierwsze jasno dowodziło, że Clelia nie ma dzieci, albowiem jego obecność w pokoju niebędącym dziecięcym zdawała się wskazywać na coś, o czym w innych okolicznościach można by zapomnieć. Innymi słowy, piętrowe łóżko symbolizowało raczej ogólną ideę dziecka, nie zaś jakieś konkretne. W drugiej sypialni jedną ze ścian zajmowała duża szafa z lustrami, do której ani razu nie zajrzałam.

Serce mieszkania Clelii stanowiła duża jasna przestrzeń, przedpokój, z którego prowadziły drzwi do wszystkich pozostałych pomieszczeń. Stał w nim na cokole lśniący terakotowy posąg. Był wysoki, miał około metra – więcej, jeśli doliczyć cokół – i przedstawiał kobietę we frapującej pozie: z twarzą zwróconą ku górze, lekko uniesionymi rękami i otwartymi dłońmi. Rzeźbiarz ukazał ją w prostej, pomalowanej na białe szacie i z okrągłym, płaskim obliczem. Czasem wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, a czasem, jakby była zrozpaczona. Niekiedy sprawiała wrażenie, jakby odmawiała modlitwę dziękczynną. O zmierzchu jej biały strój rzucał poświatę. Przechodząc z pokoju do pokoju, często się ją mijało – i zaskakująco łatwo zapominało o jej istnieniu. Białe widmo, te uniesione dłonie i szeroka, płaska twarz o zmiennym wyrazie zawsze nieco przerażały. W odróżnieniu od ludzi widniejących na fotografii naklejonej na kawiarnianej szybie na dole kobieta z terakoty sprawiała, że przez chwilę rzeczywistość wydawała się mniejsza i głębsza, bardziej osobista i trudniejsza do wyrażenia.

Część mieszkania stanowił też duży taras, ciągnący się wzdłuż całej fasady budynku, wysoko nad chodnikiem. Można było z niego zobaczyć suche i nierówne dachy sąsiednich domów, dalej zaś spowite smogiem odległe wzgórza przedmieść. Wychodził na tarasy i okna mieszkań znajdujących się po drugiej stronie wąwozu ulicy. Czasem w tym czy innym oknie pojawiała się czyjaś twarz. Kiedyś na swój taras wyszedł mężczyzna i cisnął czymś przez barierkę. Wybiegła za nim młoda kobieta, wychyliła się i spojrzała w dół za

tym, co wyrzucił. Taras Clelii był osłonięty i pełen zieleni, rosły na nim wielkie splecione rośliny w terakotowych urnach, a na ścianach wisały nieduże szklane latarnie. Pośrodku stał długi drewniany stół, przy którym, jak można sobie wyobrazić, przyjaciele i współpracownicy Clelii siadali w gorące wieczory. Osłaniała go od słońca rozrośnięta winorośl, w której siedząc pewnego ranka przy stole, zauważyłam gniazdo zbudowane w rozwidleniu, pomiędzy twardymi, sękatymi łodygami. Siedział w nim ptak, bladoszara gołębica. Była tam zawsze, dniem i nocą, ilekroć spojrzalam. Jej blada główka, w której tkwiły ciemne, przypominające paciorki oczy, poruszała się niespokojnie; gołębica czuwała bez ustanku. Raz usłyszałam szelest nad głową, popatrzyłam w górę i zobaczyłam, że wstała. Wystawiła głowę ponad baldachim z liści i rozejrzała się po dachach okolicznych budynków, a następnie zatrzepotała skrzydłami i już jej nie było. Patrzyłam, jak przelatuje nad ulicą, zatacza koło i ląduje na dachu po drugiej stronie. Została tam krótką chwilę, nawołując, po czym odwróciła się i spojrzala tam, skąd przyleciała. Napatrzywszy się, ponownie wzbiła się w powietrze i wróciła na posterunek przy wtórze szelestu i trzepotu skrzydeł.

Chodziłam po mieszkaniu i przyglądałam się przedmiotom. Otworzyłam kilka szafek i wysunęłam parę szuflad. Wszędzie panował nienaganny porządek. Żadnego nieładu i żadnej tajemnicy: sprzęty były kompletne i znajdowały się w odpowiednich miejscach. Długopisy i materiały biurowe miały własną szufladę, miał ją również sprzęt komputerowy, podobnie jak mapy i przewodniki. Szafa na dokumenty zawierała papiery, starannie poukładane w przegródkach. Była też szuflada apteczka i szuflada na taśmę klejącą i klej; szafka na środki czyszczące i szafka na narzędzia. Szuflady w stojącej w salonie zabytkowej orientalnej sekreterze były puste i wydzielały woń kurzu. Szukałam czegoś jeszcze, jakiejś wskazówki, klucza, czegoś gnijącego bądź mnożącego się, warstwy tajemnicy albo chaosu czy wstydu, ale niczego nie znalazłam. Poszłam do gabinetu i dotknęłam kruchych żagli.

IV

Mój sąsiad z samolotu był o trzydzieści parę centymetrów niższy ode mnie i dwa razy szerszy. Ponieważ poznaliśmy się na siedząco, było mi trudno połączyć w jedną całość jego wymiary i charakter. Punktem odniesienia był dla mnie jego wyjątkowy haczykowaty nos i sterczące niewiele wyżej wydatne brwi, nad nimi zaś zwieńczenie w postaci pióropusza srebrnobiałych włosów – wszystko to nadawało mu lekko zagadkowy wygląd morskiego ptaka. Niemniej dopiero po chwili rozpoznałam go w stojącej w cieniu, w wejściu po drugiej stronie ulicy postaci, ubranej w płowóżółte szorty do kolan i czerwoną, kraciastą, nienagannie wyprasowaną koszulę. Zauważyłam złote dodatki: gruby sygnet na małym palcu, masywny złoty zegarek, okulary na złotym łańcuszku, a nawet złoty błysk, kiedy się uśmiechnął – chociaż wszystkie rzucały się w oczy, na żaden z nich nie zwróciłam uwagi, kiedy dzień wcześniej rozmawialiśmy w samolocie. Tamto spotkanie było, w pewnym sensie, niematerialne, wysoko nad światem przedmioty nie miały istotnego znaczenia, różnice były mniej widoczne. Materialna realność mojego sąsiada, która w powietrzu sprawiała wrażenie bardzo lekkiej, na ziemi skonkretyzowała się i w rezultacie mężczyzna wydał mi się bardziej obcy, jak gdyby kontekst był również swego rodzaju więzieniem.

Byłam pewna, że zobaczył mnie, zanim ja ujrzałam jego, ale pozdrowił mnie, dopiero kiedy pierwsza do niego zamachałam. Wyglądał na zdenerwowanego. Rozglądał się po ulicy. Niedaleko sprzedawca owoców, stojąc za wózkiem wyładowanym brzoskwiniami, truskawkami i kawałkami arbuza, które w słońcu zdawały się szczerzyć w uśmiechu, wykrzykiwał niejasne słowa zachęty. Kiedy ruszyłam w stronę mojego sąsiada, na jego twarzy odmalowało się miłe zaskoczenie. Pocałował mnie, wprawdzie nieco oschle i niedbale, w policzek.

– Dobrze pani spała? – zapytał.

Dochodziła pora lunchu, byłam na nogach cały ranek, ale wiedziałam, oczywiście, że celem mojego sąsiada jest stworzenie sfery intymności, w której nasza wiedza o sobie nawzajem będzie miała ciągły charakter i w której zupełnie nic mi się nie przydarzyło od momentu, gdy dzień wcześniej pożegnaliśmy się na postojach taksówek przed lotniskiem. Spałam w małej niebieskiej sypialni, prawdę mówiąc, dość krótko. Na ścianie naprzeciw łóżka wisiał obraz przedstawiający mężczyznę w filcowym kapeluszu, śmiejącego się z odrzuconą do tyłu głową. Kiedy się spojrzało, widać było, że nie ma twarzy, tylko goły owal z uśmiechniętą pustką ust pośrodku. Czekałam, aż powoli wypełniająca pokój jasność pozwoli wyraźnie zobaczyć jego oczy i nos, ale na próżno.

Sąsiad powiedział, że zaparkował tuż za rogiem, i po krótkim wahaniu objął mnie w pasie i pokierował we właściwą stronę. Miał bardzo duże dłonie, trochę przypominające szpony, porośnięte białymi włosami. Przyznał, że obawiał się, iż nie spodoba mi się jego samochód. Pomyślał, że może spodziewałam się czegoś okazalszego, a jeśli tak, to jest mu wstyd, sam bowiem nie przywiązuje większej wagi do aut. To, którym jeździ, w zupełności wystarcza do poruszania się po Atenach. Nigdy jednak nie wiadomo, dodał, na co liczą inni, po prostu miał nadzieję, że się nie rozczaruję. Dotarliśmy do auta, które było małe i czyste, a poza tym niczym się nie wyróżniało, i wsiedliśmy. Łódkę, powiedział, zacumował w przystani oddalonej o czterdzieści minut jazdy nadmorską szosą. Wcześniej trzymał ją w marinie bliżej miasta, ale ze względu na bardzo wysokie koszty przed kilkoma laty postanowił przenieść się dalej. Zapytałam go o lokalizację jego domu względem centrum miasta, na co machnął wymijająco ręką w kierunku okna i odparł, że mniej więcej pół godziny drogi w tamtą stronę.

Wjechaliśmy na szeroką sześciopasmówkę, którą przez miasto, tam gdzie najgoręcej i najgłośniej, nieprzerwanie pędziły z hukiem auta. Okna samochodu były otwarte, mój sąsiad prowadził, trzymając jedną ręką na kierownicy, a drugą na podokienniku, tak że rękaw jego koszuli jak szalony łopotał na wietrze. Kierowcą był

nieobliczalnym, gwałtownie zmieniał pasy, a rozmawiając, całkowicie odrywał wzrok od drogi, więc czerwone światła i inne pojazdy zauważał w ostatniej chwili. Przestraszona, w milczeniu wpatrywałam się w zakurzone parcele i pobocza, którym ustąpiły wysokie połyskujące budynki centrum. Pośród ryku silników i trąbienia pokonaliśmy rozjazdy betonową estakadą, słońce nagrzewało przednią szybę, przez otwarte okna wlatywał zapach benzyny, asfaltu i ścieków. Przez chwilę jechaliśmy obok mężczyzny na skuterze, który wiozł ze sobą kilkuletniego chłopca. Dziecko siedziało z tyłu i obiema rękami obejmowało mężczyznę w pasie. Na tle aut, metalowych ekranów i wielkich, wyładowanych rupieciami ciężarówek, które prawie się o niego ocierały, chłopiec wyglądał na małego i bezbronno. Miał na sobie tylko spodenki, koszulkę i japonki, popatrzyłam na jego nieosłonięte delikatne, brązowe kończyny i na falujące na wietrze miękkie, złocistobrązowe włosy. Po chwili łuk estakady zaczął opadać i naraz pojawiło się morze, rozbłysło błękitem na drugim planie, tuż za zaroślami w kolorze khaki, między którymi wiły się niedokończone drogi i z których wystawały niskie, opuszczone budynki i szkielety nieukończonych domów z chudymi drzewkami wyrastającymi przez pozbawione szyb okna.

Miałem trzy żony, powiedział mój sąsiad, kiedy jego samochodzik mknął w dół wzniesienia ku połyskującej wodzie. Tak, ma świadomość, że we wczorajszej rozmowie przyznał się tylko do dwóch, ale dziś postanowił być ze mną szczery. Były trzy małżeństwa – i trzy rozwody. Jestem beznadziejny, stwierdził. Kiedy się zastanawiałam, jak na to odpowiedzieć, dodał, że powinien wspomnieć również o swoim synu, który obecnie mieszka w domu rodzinnym na wyspie i którego stan zdrowia pozostawia wiele do życzenia. Jest poważnie zaniepokojony i przez cały ranek wydzwaniał do ojca. Telefony, uprzedził mój gospodarz, będą się powtarzały jeszcze przez kilka godzin i choć on wcale nie ma ochoty ich odbierać, to jednak ma obowiązek. Kiedy zapytałam, co dolega jego synowi, ptasią twarzą mojego rozmówcy przysłonił ponury cień. Czy wiem, co to takiego schizofrenia? Bo właśnie na to cierpi jego

syn. Choroba ujawniła się, kiedy chłopak miał dwadzieścia kilka lat i był już po studiach. Przez ostatnie dziesięć lat kilka razy trafiał do szpitala, a dziś – z wielu powodów, zbyt złożonych, by je wyłuszczać – znajduje się pod opieką ojca. Ten uznał, że na wyspie synowi nic nie grozi, o ile trzyma się z dala od pieniędzy. Mieszkańcy wyspy byli życzliwymi ludźmi, wciąż jeszcze darzącymi rodzinę wystarczająco dużym szacunkiem, by przymykać oko na drobne nieprzyjemności, które zdarzały się wcale nierzadko. Kilka dni temu miał miejsce poważny incydent, wskutek którego mój sąsiad musiał poprosić młodego mężczyznę – zatrudnił go, aby dotrzymywał towarzystwa jego synowi i miał na niego baczenie – o zamknięcie syna jakby w areszcie domowym. Chory źle znosi odosobnienie – stąd nieustanne telefony. A kiedy wydzwania zatrudniony opiekun, to z pretensją, że praca, którą wykonuje, odbiega od warunków określonych w umowie, i domaga się renegocjacji wynagrodzenia.

Zapytałam, czy chodzi o tego syna, którego druga żona mojego sąsiada zamknęła w piwnicy, i usłyszałam, że owszem. Był cudownym dzieckiem, ale potem wyjechał na studia do Anglii i popadł w uzależnienie od narkotyków. Rzucił studia przed dyplomem i wrócił do Grecji, gdzie podjęto szereg prób zmierzających do znalezienia dla niego pracy. Zamieszkał w okazałej posiadłości pod Atenami, którą jego matka zajmowała z mężem instruktorem narciarstwa. Mój sąsiad był przekonany, że uznała syna za obciążenie i zawadę w swojej wolności, ponieważ jego stan pogarszał się z dnia na dzień. Niemniej pierwszy ruch, jaki wykonała: skierowanie syna na leczenie, bez skonsultowania tego z jego ojcem, wydał się mojemu sąsiadowi zbyt zdecydowany. Zaordynowano chłopcu leki, po których się roztył i stał otepiały, niemal jak roślina. Jego matka wraz z mężem wyjechała z Aten, by jak zwykle spędzić zimę w Alpach. Zdarzyło się to wszystko, oczywiście, przed kilkoma laty, ale od tamtej pory sytuacja właściwie się nie zmieniła. Matka chłopaka nie chciała mieć z nim nic wspólnego; jeżeli ojciec zechciał wypisać syna ze szpitala i pozwolić mu żyć między ludźmi, ponosił za to pełną odpowiedzialność.

To zaskakujące, powiedziałam, że pierwsza żona, którą w naszej poprzedniej rozmowie mój sąsiad wręcz idealizował, zachowała się tak nieczule. Nie pasowało to do moich wyobrażeń o niej. Rozważył moje słowa, po czym odparł, że nie była taka, kiedy jeszcze trwało ich małżeństwo, potem jednak zmieniła się, stała się zupełnie inną osobą. Gdy mówił o niej czule, miał na myśli jej wcześniejsze wcielenie. Powiedziałam, że nie wierzę, by ktoś mógł się aż tak zmienić i rozwinąć w sobie całkowicie inne cechy; że moim zdaniem ten aspekt osobowości człowieka znajduje się w stanie uśpiania, z którego wybudzają go okoliczności. Dodałam, że chyba większość z nas nie wie, do jakiego stopnia dobrymi bądź złymi ludźmi jesteśmy, i że większość z nas nigdy nie zostanie poddana na tyle trudnej próbie, aby móc się tego dowiedzieć. Musiały przecież zaistnieć jakieś okoliczności, które choćby mgliście zapowiadały, jaką osobą stanie się jego żona. Nie, odrzekł, raczej nie. Zawsze była doskonałą matką, ogromnie przywiązaną do swoich dzieci. Ich córka odniosła sukces: uzyskała stypendium na Harvardzie, a potem została wyłowiona przez wielką firmę produkującą oprogramowanie i dziś pracuje w Dolinie Krzemowej, która to nazwa na pewno nie jest mi obca. Potwierdziłam i odparłam, że zawsze miałam problem z wyobrażeniem sobie tego miejsca, nigdy nie potrafiłam ustalić, na ile ma ono charakter wyłącznie pojęciowy, a na ile rzeczywisty. Zapytałam, czy odwiedzał córkę w pracy; przyznał, że nie. Nigdy nie był w tamtej części świata, poza tym bałby się zostawić syna samego na tyle czasu, ile wymagałaby wizyta w Dolinie Krzemowej. To prawda, że od kilku lat nie widział się z córką i że nie wróciła ona do Grecji. Widocznie tak już jest, że sukces odciąga cię od tego, co znasz, porażka zaś – skazuje cię na to. Spytałam, czy jego córka ma własne dzieci; odpowiedział, że nie. Jest w związku partnerskim – tak to się nazywa? – z kobietą, poza tym liczy się dla niej wyłącznie praca.

Być może, powiedział po zastanowieniu, jego żona była w pewnym sensie perfekcjonistką. Bo przecież wystarczyła jedna kłótnia, żeby rozpadło się ich małżeństwo. Jeżeli rzeczywiście istniał jakiś znak zapowiadający przemianę żony, niewykluczone, że był

nim jej brak odporności na porażki. Kiedy się rozstali, powiedział, natychmiast znalazła sobie bardzo zamożnego i znanego wielbiciela, armatora, krewnego Onassisów. Był bajecznie bogaty, do tego przystojny, i przyjaźnił się z jej ojcem. Mój sąsiad nigdy się nie dowiedział, dlaczego ich związek dobiegł końca, co jest dziwne, miał bowiem wrażenie, że ten mężczyzna był wszystkim, czego pragnęła. W pewien sposób pomogło mu to zrozumieć klęskę małżeństwa i decyzję podjętą przez żonę: z przegraną z takim przeciwnikiem – przystojnym miliarderem – mógł się pogodzić. Z kolei wybór Kurta, instruktora jazdy na nartach, zbił go z tropu, był to bowiem mężczyzna pozbawiony zarówno uroku, jak i pieniędzy, który ożywał na kilka miesięcy w roku, kiedy w górach leżał śnieg. Ponadto człowiek o fanatycznych poglądach i praktykach religijnych, do których zmuszał żonę i dzieci (póki mieszkali w domu). Dzieci opowiadały mojemu sąsiadowi o wymogu modlitwy i milczenia, o konieczności siedzenia przy stole – nawet kilka godzin, jeśli trzeba – dopóki wszystko, co znajdowało się na talerzu, nie zostanie zjedzone, o dyspozycji zwracania się do Kurta per „ojcze”, o zakazie telewizji i rozrywek w niedziele. Raz mój sąsiad miał czelność zapytać byłą żonę, co też takiego zobaczyła w Kurcie, i w odpowiedzi usłyszał: przeciwieństwo ciebie.

Jechaliśmy wzdłuż wybrzeża, mijaliśmy zaniedbane plaże, na których piknikowały i kąpały się rodziny, mijaliśmy przydrożne sklepy z parasolami, fajkami do nurkowania i kostiumami kąpielowymi. Mój gospodarz powiedział, że już niedaleko; miał nadzieję, że podróż nie dłużyła mi się za bardzo. Powinien zaznaczyć, dodał, w razie gdybym spodziewała się czegoś okazałego, że motorówka jest dość mała. Miał ją od dwudziestu pięciu lat, podczas wichury jest stabilna jak skała, ale nie należy do największych. Ma niewielką kabinę, w której jedna osoba może wygodnie spędzić noc, „albo dwie osoby – dodał – jeśli bardzo się kochają”. Sam często nocuje na łodzi, a w określonych porach roku wypływa w trzy- albo czterodniowe rejsy na wyspę. W pewnym sensie motorówka jest jego pustelnią, azylem – może włączyć silnik, odpłynąć kawałek od lądu, zarzucić kotwicę i pobyć zupełnie sam.

Wreszcie naszym oczom ukazała się przystań. Mój sąsiad zjechał z drogi i zaparkował przy drewnianym pomoście, przy którym cumowało sporo łodzi. Poprosił, abym tam zaczekała, aż zrobi niezbędne zakupy. Poza tym, powiedział, na łodzi brakuje pewnych udogodnień, byłoby więc wskazane, żebym załatwiła wszelkie potrzeby, zanim wyruszymy. Odprowadziłam go wzrokiem do szosy, a potem usiadłam na stojącej w słońcu ławeczce. Łódki kołysały się na połyskującej wodzie. Na drugim planie widziałam wyraźny, zwieńczony blankami zarys wybrzeża, a na trzecim liczne skały i wysepki, leżące dalej na morzu i rozrzucone po całej zatoce. Było chłodniej niż w mieście. Bryza wygrywała suchą, szeleszczącą melodię na splątanych kępach roślin zajmujących pas między morzem a drogą. Spojrzałam na motorówki, zastanawiając się, która z nich należy do mojego gospodarza. Wszystkie wyglądały mniej więcej tak samo. Na przystani kręcili się ludzie, przeważnie mężczyźni w wieku mojego sąsiada, w mokasynach i z nagimi, opalonymi torsami, porośniętymi siwymi włosami. Chodzili po pomoście albo uwijali się na łodziach. Niektórzy przyglądali mi się z otwartymi ustami i wiszącymi wzdłuż ciała długimi i grubymi jak sznur ramionami. Wyjęłam telefon i wybrałam numer swojego doradcy finansowego w Anglii, za którego pośrednictwem tuż przed wylotem do Aten złożyłam wniosek o podwyższenie hipoteki. Moją sprawę prowadziła kobieta imieniem Lydia. Poprosiła o telefon właśnie dziś, ale ilekroć próbowałam się połączyć, zgłaszała się jej automatyczna sekretarka. Lydia nagrała informację, że wyjeżdża na urlop i będzie poza biurem do dnia, który już minął, przez co odniosłam wrażenie, że nieczęsto odsłuchuje wiadomości na swojej poczcie głosowej. Siedząc na ławeczce, ponownie wysłuchałam informacji o nieobecności Lydii, ale tym razem – być może dlatego, że nie miałam nic lepszego do roboty – zostawiłam wiadomość, że dzwonię tak, jak się umawialiśmy, i proszę o telefon. Po tej w gruncie rzeczy bezcelowej czynności rozejrzałam się i zobaczyłam, że mój sąsiad wraca z wypakowaną reklamówką. Poprosił, żebym ją pottrzymała, kiedy on będzie oporządzał łódkę, po czym wszedł na pomost, klęknął, wyciągnął z wody kawał liny i zaczął przyciągać

uczepioną do drugiego końca motorówkę. Była biała, miała drewniane pokrycie i jasnoniebieskie zadaszenie. Z przodu znajdowało się duże, czarne, obszyte skórą koło sterowe, a z tyłu – obite tapicerką siedzenie na całą szerokość łódki. Mój gospodarz dał susa i wylądował ciężko na pokładzie, po czym sięgnął po reklamówkę. Przez chwilę zajmował się utykaniem rzeczy po lukach, a następnie ponownie wyciągnął rękę i pomógł mi wejść na łódź. Z zaskoczeniem stwierdziłam, że nie udało mi się zwinnie wejść na pokład. Siadłam na szerokim tylnym siedzeniu. Sąsiad zdjął osłonę z kierownicy, opuścił silnik do wody i zaczął zawiązywać i rozwiązywać przeróżne liny. Na koniec zajął miejsce za kierownicą, uruchomił silnik, który zawarczał i zabulgotał, i zaczęliśmy powoli odpływać na wstecznym biegu od pomostu.

Podróż trochę potrwa, zawołał, przekrzykując huk silnika. Kiedy dotrzemy do pewnego przyjemnego miejsca, które zna, zatrzymamy się i tam popływamy. Zdjął koszulę i prowadził łódź, zwrócony do mnie gołymi plecami: szerokimi i mięsistymi, szorstkimi od słońca i upływającego czasu, usianymi licznymi pieprzykami, bliznami i kępkami grubych siwych włosów. Patrząc na niego, poczułam, jak ogarnia mnie smutek pomieszany z konsternacją, jak gdyby jego plecy były obcym krajem, w którym się zagubiłam; albo do którego zostałam zesłana, poczuciu zagubienia nie towarzyszyła bowiem nadzieja, iż kiedyś w końcu odnajdę coś dającego się rozpoznać. Te stare plecy jak gdyby zamykały każde z nas w jego własnej, niedającej się odmienić historii. Uświadomiłam sobie, że decyzję o wybraniu się na wycieczkę łodzią z mężczyzną, którego właściwie nie znam, niektórzy mogliby wziąć za głupotę. To jednak, co myśleli inni, nie mogło mi już w żaden sposób pomóc. Myśli te istniały bowiem jedynie w ramach pewnych struktur – które nieodwołalnie opuściłam.

Kiedy wypłynęliśmy na otwarte morze, mój gospodarz włączył wyższy bieg; łódź niespodziewanie skoczyła do przodu, i to tak gwałtownie, że byłabym wypadła za burtę i nawet by tego nie zauważył. Ogłuszający huk silnika wypierał wszelkie inne dźwięki i obrazy. Chwyciłam reling biegnący wzdłuż krawędzi pokładu

i przykleiłam się do niego, kiedy mknęliśmy z rykiem przez zatokę. Dziób motorówki raz za razem podnosił się i opadał z łoskotem, rozpryskując wodę. Zła, że nie uprzedził mnie, jak to będzie wyglądało, nie byłam w stanie się poruszyć ani odezwać: mogłam jedynie trzymać się kurczowo i czuć, jak włosy stają mi dęba, a twarz sztywnieje od pędu wiatru. Łódź huczała, wznosiła się i opadała, a widok obnażonych pleców mojego stojącego za sterem gospodarza budził we mnie coraz większy gniew. W ułożeniu jego ramion dopatrzyłam się pewności siebie: zatem to było przedstawienie, popis. Nie spojrzał na mnie nawet raz, bo ludzie, którzy okazują swoją władzę nad innymi, tracą świadomość ich obecności. Ciekawe, przyszło mi do głowy, jak by się poczuł, gdyby po dotarciu na miejsce odkrył, że zniknęłam. Wyobraziłam sobie, jak kolejnej poznanej w samolocie kobiecie opowiada o swoim najświeższym przypadku niedbalstwa. Namawiałem ją, żeby wybrała się ze mną na wycieczkę, powiedziała by, ale okazało się, że nie ma zielonego pojęcia o pływaniu łodzią. Mówiąc szczerze, dodałby, to było kompletne fiasko: wypadła za burtę i teraz myślę o tym ze smutkiem.

Wreszcie ryk silnika ucichł, motorówka zwolniła i płynęła, pyrkocząc, ku kamienistej wysepce, której stromy brzeg wyłonił się z morza. Zadzwoił telefon mojego sąsiada, ten spojrzał lekko zdziwiony na wyświetlacz i odebrał. Zaczął rozmawiać melodyjnie po grecku, chodząc tam i z powrotem po małym pokładzie i od czasu do czasu palcem korygując kurs łódki. Zbliżaliśmy się do zatoczki, której skaliste cyple obsiadły morskie ptaki i w której połyskująca woda wirowała i cofała się ku piaszczystemu występowi. Wyspa była zbyt mała, by nosić ślad człowieka: nietknięta i pusta, jeśli nie liczyć ptaków. Czekałam, aż mój gospodarz zakończy rozmowę, co zajęło mu dość dużo czasu. Wreszcie jednak się rozłączył.

– Dzwonił ktoś, z kim nie rozmawiałem od wielu lat – wyjaśnił. – Prawdę mówiąc, zaskoczył mnie jej telefon.

Zrobił ponurą minę i zamilkł, trzymając palec na kole sterowym. Właśnie dowiedziała się o śmierci mojego brata, ciągnął, i chciała złożyć kondolencje. Spytałam, kiedy zmarł jego brat. Och, cztery czy

pięć lat temu, odparł. Ale ona mieszka w Stanach i dawno nie odwiedzała Grecji. Dopiero teraz przyjechała z wizytą i dowiedziała się. Gdy tylko skończył zdanie, jego telefon znów zadzwonił – i znów odebrał. Kolejna rozmowa po grecku, równie długa, ale tym razem nieco bardziej rzeczowa. Praca, rzucił, kończąc połączenie, i machnął ręką.

Łódka unosiła się na pluskającej wodzie. Mój sąsiad przeszedł na tył i otworzył schowek mieszczący niedużą kotwicę na łańcuchu. Zamachnął się i cisnął ją za burtę. Doskonałe miejsce do pływania, powiedział, jeśli ma pani ochotę. Patrzyłam, jak w przejrzystej wodzie kotwica spada na dno. Kiedy łódź została umocowana, mój gospodarz poszedł na rufę i wykonał gwałtowny skok do wody. Gdy już zniknął pod powierzchnią, owinęłam się ręcznikiem i niezgrabnie przebrałam w kostium kąpielowy. Wskoczyłam do wody i popłynęłam w przeciwnym kierunku, ku obrzeżom wyspy, żeby móc zobaczyć znajdujące się za nią otwarte morze. Z drugiej strony odległy brzeg był kiwającą się linią upstrzoną maleńkimi kształtami i postaciami. Tymczasem nadpłynęła druga łódź i zakotwiczyła niedaleko naszej. Widziałam ludzi siedzących na pokładzie i słyszałam odgłosy śmiechu i rozmów. To była jakaś rodzina: gromadka dzieci w jaskrawych kostiumach wskakiwała do wody i wychodziła z niej, od czasu do czasu od skał zatoczki odbijał się cichym echem płacz niemowlęcia. Mój sąsiad wrócił na łódkę i stał, dłonią osłaniając oczy od słońca i przyglądając się, jak sobie radzę. Po upale Aten, po napięciu towarzyszącym siedzeniu nieruchomo i spędzaniu czasu z nieznanymi przyjemnie było popływać. Woda była niebywale przejrzysta, spokojna i chłodna, linia brzegowa zaś tak łagodna i pradawna, że pobliska wysepka zdawała się nie należeć do nikogo. Czułam, że mogę pokonać wiele kilometrów, popłynąć aż na ocean; pragnienie wolności, ruchu szarpało mną, jakby było nitką przyszytą do mojej piersi. Dobrze znałam ten impuls i wiedziałam, że to wcale nie jest zew świata, jak dawniej sądziłam, lecz po prostu chęć ucieczki od tego, co mam. Nić prowadziła donikąd, chyba że na wciąż powiększające się pustkowie anonimowości. Mogłam wypłynąć na morze dowolnie daleko – jeżeli

chciałam utonąć. Mimo to nadal nie potrafiłam oprzeć się temu impulsowi, pragnieniu wolności: jakimś sposobem nadal w niego wierzyłam, choć udowodniłam, że jest czystym złudzeniem. Kiedy wróciłam na łódź, mój gospodarz powiedział, że nie lubi, gdy ludzie wypływają zbyt daleko: robi się wtedy nerwowo; zupełnie znikąd i bez żadnego ostrzeżenia może pojawić się motorówka, takie wypadki już się zdarzały.

Zaproponował mi cołę z lodówki turystycznej, którą miał na pokładzie, a następnie podał pudełko chusteczek, wpierw samemu wyjąwszy kilkanaście listków. Zaczął długo i starannie wydmuchiwać nos. Jednocześnie oboje przyglądaliśmy się rodzinie z zakotwiczonej niedaleko łódki. Trójka dzieci – dwóch chłopców i dziewczynka – bawiła się, z piskiem skacząc do morza, by po chwili gęsiego wdrapać się po drabince, ociekając połyskującą w słońcu wodą. Na pokładzie siedziała kobieta w kapeluszu od słońca i czytała książkę, obok niej w cieniu rzucanym przez daszek stał wózek dziecięcy. Mężczyzna w szortach do kolan i okularach przeciwsłonecznych chodził tam i z powrotem po pokładzie, rozmawiając przez telefon. Powiedziałam, że na tym etapie mojego życia bardziej niż kiedykolwiek wcześniej pozory wydają mi się zdumiewające i dręczące. Czułam się, jakbym straciła pewną wyjątkową zdolność filtrowania własnego postrzegania, umiejętność, której istnienie uświadomiłam sobie, dopiero kiedy zniknęła, tak jak brak szyby w oknie sprawia, że wiatr i deszcz bez przeszkód dostają się do środka. W bardzo podobny sposób czułam się niejako wystawiona na to, co widziałam, i skonsternowana tym. Często myślałam o rozdziale *Wichrowych Wzgórz*, w którym Heathcliff i Cathy stoją w ciemnym ogrodzie, zaglądają przez okno do jasno oświetlonego salonu państwa Lintonów i przypatrują się rozgrywającej się tam rodzinnej scenie. Zwodnicze w tym epizodzie jest subiektywne postrzeganie, oboje bowiem, zerkając do środka, widzą co innego: Heathcliff to, czego nienawidzi i czego się lęka, Cathy – to, czego pożąda i czego czuje się pozbawiona. Obojgu umyka prawdziwy obraz rzeczy. Podobnie było ze mną: moje obawy i pragnienia zaczęły się objawiać poza mną, w życiu innych ludzi

zaczęłam dostrzegać komentarz do własnego. Patrząc na rodzinę na łódce, widziałam obraz czegoś, czego już nie miałam; innymi słowy, ujrzałam tam coś, czego wcale nie było. Ci ludzie żyli własną chwilą i choć było to dla mnie jasne, nie potrafiłam do niej powrócić, tak jak nie umiałam przejść po rozdzielającej nas wodzie. Który z tych dwóch sposobów życia: chwilą i poza nią, był prawdziwszy?

Mój sąsiad powiedział, że jego rodzina wysoko ceniła sobie pozory, on jednak nauczył się – być może na własną zgubę – postrzegać je jako narzędzie podstępu i fałszu. W bliskim związku oszustwo musiało być, z oczywistych powodów, największe. Wiedział na przykład, że wielu mężczyzn mających podobne jak on doświadczenia – jego wujów i osób z ich kręgu towarzyskiego – przez całe życie miało tylko jedną żonę, za to liczne kochanki. Nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, że na tej samej zasadzie mogą opierać się stosunki między jego ojcem a matką. Małżeństwo swoich rodziców uważał za jednolite, ale wiedział też, że na przykład wuj Theo jest dwulicowcem, i coraz częściej zastanawiał się, czy tego rodzaju rozróżnienie w ogóle istnieje; innymi słowy, czy przypadkiem nie poświęcił swojego dorosłego życia na dążenie do ideału małżeństwa, będącego w istocie złudzeniem.

Niedaleko szkoły z internatem, do której chodził mój sąsiad, stał hotel. Theo lubił się w nim zatrzymywać, często zjawiał się w towarzystwie coraz to nowej „przyjaciółki” i zabierał siostrzeńca na herbatę. Jego przyjaciółki zawsze ślicznie pachniały i były piękne, w przeciwieństwie do śniadej i przysadzistej ciotki Irini, która miała na twarzy kilka brodawek; wyrastały z nich szorstkie czarne włosy niezwyklej grubości i długości. Mojego sąsiada przez całe życie fascynowała ta cecha jej powierzchowności i nadal miał ją przed oczami, choć ciotka Irini nie żyła od trzydziestu lat; symbolizowała też nieprzemijającą naturę szpetoty, w opozycji do ulotnego piękna. Kiedy ciotka Irini zmarła w wieku osiemdziesięciu czterech lat, po sześćdziesięciu trzech latach małżeństwa, wuj Theo nie pozwolił jej pochować, tylko kazał zamknąć w szklanej trumnie i tę umieścić w krypcie cerkwi greckokatolickiej w Enfield, gdzie odwiedzał ją każdego dnia przez sześć miesięcy, które jeszcze

pozostały mu do przeżycia. Ilekroć mój sąsiad przebywał w towarzystwie Thea i Irini, zawsze był świadkiem niezwykle gwałtownych scen, wystarczyło zresztą zadzwonić do wujostwa, by nieomylnie trafić na kłótnię: kiedy jedno odbierało telefon, drugie podnosiło słuchawkę w innym pomieszczeniu i ubliżało pierwszemu, podczas gdy dzwoniący grał rolę arbitra. Rodzice mojego sąsiada, choć również kłótniwi, nigdy nawet nie zbliżyli się do poziomu reprezentowanego przez Thea i jego żonę – ich wojna była wprawdzie zimniejsza, ale bodaj czy nie bardziej zaciekle. Pierwszy zmarł ojciec; dokonał żywota w Londynie, jego ciało tymczasowo złożono w tej samej krypcie, w której leżała Irini, ponieważ żona uparła się, by wznieść na wyspie rodzinny grobowiec, co okazało się przedsięwzięciem niezwykle ambitnym, tak że budowa przebiegała ze znacznym opóźnieniem i konstrukcja nie była gotowa na przyjęcie ojca, gdy ten odszedł. Matka mojego sąsiada wpadła na ten pomysł, kiedy mąż po raz pierwszy zachorował, i przez ostatni rok jego życia niemal codziennie karmiła go wiadomościami o postępach we wznoszeniu grobowca, w którym miał spocząć. Ta jedyna w swoim rodzaju tortura mogła się wydawać rozstrzygającym ciosem w odwiecznej kłótni rodziców, ale kiedy zmarła również matka – dokładnie w rok, jak zaznaczył, zapewne już wspominał, po mężu – grobowiec nadal był nieukończony. Dołączyła więc do męża w krypcie w Enfield i dopiero kilka miesięcy później ich ciała przewieziono razem na wyspę, na której oboje przyszli na świat. Na barkach mojego sąsiada spoczął obowiązek dopilnowania pochówku, jak również ekshumacji pozostałych członków rodziny – dziadków z obu stron, licznych wujów i ciotek – i przeniesienia ich z kwater zajmowanych na cmentarzu do imponującego rozmiarami nowego grobowca. Udał się w rodzinne strony, wioząc ze sobą ciała rodziców, i spędził cały dzień na załatwianiu z grabarzami cokolwiek makabrycznych spraw związanych z transportem i rozlokowaniem trumien w mogile. Najsilniej wytrącił go z równowagi powrót na powierzchnię dziadka, ojca matki, wielkiego intryganta i sprawcy – aż po kres ich dni – wielu kłótni rodziców, tak wielką moc miało przechowywane

przez córkę wspomnienie o ojcu. Późnym popołudniem jako ostatni w wielkiej marmurowej budowli spoczęli rodzice mojego gospodarza. Czekala na niego taksówka mająca zabrać go na lotnisko, zamierzał bowiem od razu wrócić samolotem do Londynu. Kiedy jednak był już w połowie drogi, naraz zdał sobie sprawę ze strasznej rzeczy. Otóż w całym tym zamieszaniu towarzyszącym układaniu ciał rodziny nie dopilnował, żeby rodzice znaleźli się obok siebie: mało tego, przypomniał sobie nagle z niezwykłą precyzją, pomiędzy trumnami rodziców znalazła się trumna dziadka. Natychmiast kazał taksówkarzowi zawracać i wieźć się z powrotem na cmentarz, a następnie zakomunikował mu, że będzie potrzebował jego pomocy, ponieważ zrobiło się ciemno i grabarze na pewno już poszli do domów. Taksówkarz zgodził się, ale gdy przeszli przez tonącą w mroku cmentarną bramę, przestraszył się i uciekł, zostawiając mojego sąsiada zupełnie samego. Sąsiad powiedział, że nie pamięta, jak zdołał w pojedynkę otworzyć grobowiec. Był wtedy wciąż jeszcze dość młodym człowiekiem, to prawda, ale i tak musiała się w nim tamtej nocy objawić jakaś nadludzka siła. Wgramolił się do środka i przekonał, że faktycznie, pomiędzy jego rodzicami spoczął dziadek. Przesunięcie trumien na właściwe miejsca nie było szczególnie trudne, ale kiedy już to zrobił, uzmysłowił sobie, że ze względu na głębokość grobowca i jego strome ściany nie zdoła wydostać się na zewnątrz. Krzyczał, wrzeszczał, ale na próżno; podskakiwał i próbował się wspiąć po gładkich ścianach krypty, znaleźć jakiś punkt zaczepienia.

Przypuszczam, że jakimś sposobem udało mi się wyjść z grobowca, powiedział, bo jestem pewien, że nie spędziłem tam całej nocy, choć sądziłem, że tak to się skończy. Może wrócił ten taksówkarz – nie pamiętam. Uśmiechnął się i przez chwilę oboje przyglądaliśmy się rodzinie na zakotwiczonej nieopodal łodzi. Powiedziałam, że moi synowie, będąc w wieku tych skaczących do wody chłopców, byli ze sobą bardzo blisko, że niezwykle trudno byłoby rozdzielić ich splątane dusze. Bawili się zawsze razem, bez chwili przerwy, od brzasku do zmierzchu. Ich zabawa przypominała wspólny trans, w którym budowali urojone światy i bez ustanku wymyślali

i wprowadzali w życie projekty, dla nich jak najbardziej rzeczywiste, dla wszystkich innych – niewidoczne. Zdarzało się, że wyrzucałam jakiś z pozoru nieistotny przedmiot po to tylko, by się dowiedzieć, że był to święty obiekt w aktualnej fantazji, niewyczerpanej opowieści płynącej przez nasz dom niczym magiczna rzeka, do której moi synowie mogli wchodzić i wychodzić z niej do woli, przekraczając niewidzialny dla pozostałych ludzi próg oddzielający żywioły. Pewnego dnia rzeka wyschła, wspólny świat wyobraźni przestał istnieć, a przyczyną okazało się to, że jeden z nich – nawet nie pamiętam który – przestał wierzyć. Innymi słowy, nie była to niczyja wina. Tak czy inaczej, uświadomiłam sobie, ile piękna w swoim życiu moi synowie zawdzięczali wspólnej wizji czegoś, o czym nie można powiedzieć, że naprawdę istniało.

Myślę, powiedziałam, że to jedna z definicji miłości, ta wiara w rzecz, którą tylko wy dwoje dostrzegacie; w tym wypadku okazała się nietrwałym fundamentem istnienia. Kiedy się bawili, zabawy odrywały ich od świata i czyniły nieosiągalnymi, czasem przez wiele godzin z rzędu, natomiast pozbawieni wspólnej narracji zaczęli się kłócić, kłótnie zaś sprowadzały ich z powrotem na ziemię. Przychodzili do mnie albo do swojego ojca, prosili o interwencję albo domagali się sprawiedliwości. Zaczęli przywiązywać większą wagę do faktów, do tego, co się robiło i mówiło, oraz zbierać dowody na swoją obronę, a przeciwko bratu. Trudno było, powiedziałam, nie odczytywać tego przejścia od miłości do rzeczowości jako odniesienia do innych rzeczy, które w tamtym czasie działały się w naszej rodzinie. Negatywny potencjał ich dawnej bliskości był wręcz niezwykły: jak gdyby wszystko to, co znajdowało się wewnątrz, przeniosło się na zewnątrz, kawałek po kawałku, niczym meble wynoszone z domu i stawiane na chodniku. Było tego strasznie dużo, ponieważ niewidzialne stało się widzialnym, przydatne stało się zbędnym. Antagonizm między nimi był wprost proporcjonalny do dawnej harmonii, ale podczas gdy zgoda miała charakter ponadczasowy i była pozbawiona ciężaru, konflikt zajmował konkretną przestrzeń i czas. To, co niematerialne, zamieniło się w ciało stałe, wizja się ucieleśniła, prywatne stało się

publiczne. Kiedy pokój przeradza się w wojnę, kiedy miłość zmienia się w nienawiść, pojawia się na świecie siła czystej śmiertelności. Jeżeli miłość czyni nas nieśmiertelnymi, to nienawiść ma działanie przeciwne. Zdumiewa to, jak wiele szczegółów gromadzi ona wokół siebie, tak że wszystko, najmniejszy detal, nosi ślad jej dotyku. Chłopcy usiłowali uwolnić się od siebie, ostatnią wszakże rzeczą, jaką każdy z nich mógł zrobić, było zostawienie drugiego w spokoju. Ścierali się o wszystko, spierali się o własność najbliższych przedmiotów, ze złością łapali się za słowa i rozwścieczeni drobiazgami wybuchali brutalnością, drapali się i bili, co, oczywiście, jedynie cofało ich do szaleństwa niuansów, ponieważ stosowanie przemocy fizycznej pociąga za sobą przewlekłe dochodzenie sprawiedliwości i prawa. Trzeba było opowiedzieć, kto i co komu zrobił, ustalić kwestie winy i kary, co jednak nigdy ich nie zadowalało, a nawet pogarszało sprawę, stanowiło bowiem obietnicę porozumienia, którego nigdy nie udawało się osiągnąć. Kłótnie stawały się tym prawdziwsze i zacieklejsze, im subtelniejsze były szczegóły sporu. Każdemu z chłopców zależało przede wszystkim na tym, aby to jemu przyznać rację, drugiemu zaś wytknąć pomyłkę, ale nie sposób było przypisać całej winy tylko jednemu z nich. W końcu zdałam sobie sprawę, powiedziałam, że nie rozwiążemy tego konfliktu, jeżeli za cel obierzemy ustalenie prawdy, ponieważ nie ma już jednej prawdy i o to w tym wszystkim chodzi. Rozmyła się wspólna wizja, a nawet wspólna rzeczywistość. Każdy z chłopców spoglądał teraz z własnej perspektywy. Istniał jedynie punkt widzenia.

Mój sąsiad przez chwilę milczał, po czym powiedział, że w jego przypadku podczas wszystkich małżeńskich wzlotów i upadków dzieci zawsze były dla niego podporą. I zawsze uważał się za dobrego ojca. Podejrzewa, że swoje dzieci obdarzał większą miłością – i czuł się przez nie kochany – niż ich matki. Lecz jego własna matka powiedziała mu kiedyś – po tym, jak rozpadło się jego pierwsze małżeństwo i kiedy dręczyła go obawa o to, jak rozwód wpłynie na dzieci – że życie rodzinne ma gorzko-słodki smak niezależnie od tego, co robimy. Jeśli nie rozwód, to coś innego,

stwierdziła. Ludzie będą cię przekonywali, że jest inaczej, ale nie słuchaj ich: nie ma czegoś takiego jak nieskazitelne dzieciństwo. Nie istnieje życie bez bólu. Co zaś się tyczy rozvodu, to nawet gdybyś żył jak święty, i tak doświadczałbyś wciąż tych samych rozterek, nieważne, jak usilnie próbowałbyś je usprawiedliwiać. Mogłabym zalać się łzami, że już nigdy nie zobaczę cię takim, jaki byłeś w wieku sześciu lat – oddałabym wszystko, powiedziała, żeby jeszcze choć raz spotkać tego sześciolatka. Ale wszystko się rozpada, choćbyś nie wiem jak usiłował to powstrzymać. Bądź wdzięczny za wszystko, co do ciebie powraca. Zatem starał się być wdzięczny, nawet za syna, który w starciu ze światem poniósł spektakularną porażkę. Jego syna, tak jak wielu bezradnych ludzi, ogarnęła obsesja na punkcie zwierząt, która mojego sąsiada – przez to, że ulegał nieustającym prośbom o uratowanie i przygarnięcie tego czy innego bezbronnego stworzenia – wiele razy, więcej niż potrafił spamiętać, przyprawiała o ból głowy. Psy, koty, jeże, ptaki, a raz nawet niemal rozszarpana przez lisa owieczka, którą mój gospodarz się zaopiekował i przez całą noc wlewał jej łyżeczką ciepłe mleko do pyszczka. Podczas tego czuwania, powiedział, siłą woli zmusił zwierzę do życia, nie ze względu na siebie, lecz jako aprobatę wyboru samotnej drogi w stosunkach z synem, która polegała na traktowaniu go z największą delikatnością i pobłażliwością. Gdyby jagnię przeżyło, jego przetrwanie stanowiłoby swego rodzaju potwierdzenie – nawet jeśli pochodzące tylko z wszechświata – słuszności decyzji, żeby postępować inaczej niż matka chłopca, która najchętniej zamknęłaby syna w szpitalu dla obłąkanych. Ale oczywiście rano musiał pochować owieczkę; zrobił to, kiedy Takis jeszcze spał. Było to tylko jedno z niezliczonych wydarzeń, przez które czuł się jak głupiec z tym, że postanowił obchodzić się z dzieckiem bez uciekania się do okrucieństwa. Wygląda na to, powiedział, że wszechświat sprzyja takim ludziom jak jego była żona, którzy wypierają się tego, co źle o nich świadczy; rzecz jasna, w bajkach złe uczynki mszczą się na nich. Źródłem najnowszego problemu mojego rozmówcy był opiekun, który pewnego wieczoru w zeszłym tygodniu skupił się, żeby popracować nad doktoratem,

a w tym czasie Takis wymknął się pod osłoną ciemności i wziął na siebie misję uwolnienia wszelkich trzymanyh w zamknięciu zwierząt, w tym ekscentrycznej menażerii domowych ulubieńców miejscowego przedsiębiorcy, i w efekcie teraz wałęsały się po wyspie egzotyczne stworzenia: strusie, lamy, tapiry, a nawet stado miniaturowych kucyków, nie większych od zwykłego psa. Właścicielem tego zoo był ktoś nowo przybyły i niemający takiego szacunku dla przodków mojego sąsiada, jaki mieli starzy mieszkańcy wyspy. Zniszczenie mienia i wypuszczenie inwentarza bardzo rozżłościło mężczyznę, według niego Takis był chuliganem, kryminalistą, a mój sąsiad niewiele mógł powiedzieć albo zrobić w obronie syna. Człowiek bardzo szybko się przekonuje, skonstatował, że jego własne dzieci nie podlegają karze wyłącznie w jego wyobrażeniu. Jeśli są poszukiwane, należy je wydać. Ale chyba zawsze to wiedział, bo przecież jego upośledzony umysłowo brat, dziś siedemdziesięcioparoletni mężczyzna, nigdy nawet nie ruszył się poza miejsce, w którym się urodził.

Zapytał, czy mam ochotę jeszcze popływać przed powrotem na ląd, zgodziłam się i tym razem nie oddalałam się od łodzi i zatoczki, od której wysokich skalistych ścian odbijał się płacz niemowlęcia. Ojciec chodził po pokładzie z maleńkim ciałkiem przyklejonym do ramienia, matka wachlowała się książką, a pozostała trójka dzieci siedziała przy niej po turecku. Ich łódź była obwieszona bladymi zasłonkami, dającymi cień i poruszanyh przez wiatr tak, że rodzina to znikwała z oczu, to się pojawiała. Trwali wszyscy na swoich posterunkach, widziałam wyraźnie, czekali, aż najmłodsze się uspokoi i uwolni ich, a świat znów ruszy do przodu. Na drugim końcu zatoczki mój sąsiad popłynął krótką prostą bruzdą i natychmiast zawrócił. Patrzyłam, jak wdrapuje się po drabince z powrotem na łódź. Chodził po pokładzie, lekko się kołysząc i wycierając ręcznikiem mięsiste plecy. Dwa metry ode mnie usiadł na skale czarny kormoran; wpatrywał się nieporuszenie w morze. Niemowlak przestał płakać, czym momentalnie wprowadził członków rodziny w ruch – zaczęli zmieniać pozycje na ograniczonej przestrzeni pokładu, jak gdyby byli zamocowanymi na szkatułce

mechanicznymi figurkami: ojciec pochylił się i położył dziecko w wózku, matka wstała i obróciła się, chłopcy i dziewczynka o lśniących w słońcu ciałach wyprostowali nogi, chwycili się za ręce i zrobili wiatraczek. Naraz przestraszyłam się i poczułam samotna w wodzie, więc wróciłam na motorówkę, gdzie mój sąsiad pakował już rzeczy i otwierał schowek, w którym zamierzał umieścić podniesioną z morza kotwicę. zaproponował, żebym położyła się na kanapie, bo pewnie jestem zmęczona, i spróbowała przespać się podczas drogi powrotnej na ląd. Dał mi chustę, żebym się przykryła – zasłoniłam się nią cała, łącznie z głową, zamazując obraz nieba, słońca i tańczącej wody. Tym razem, kiedy łódź nagle przyspieszyła i wystrzeliła do przodu pośród ogłuszającego ryku silnika, poczułam się odprężona i rzeczywiście zapadłam w półsen. Od czasu do czasu otwierałam oczy na nieznaną tkaninę i znowu je zamykałam; miałam wrażenie, że moje ciało unosi się na oślep w przestrzeni, i towarzyszyło mi poczucie, jakby całe moje życie rozpadało się na atomy i wszystkie jego elementy rozdzielały się, jak gdyby eksplozja posyłała każdy w innym kierunku. Pomyślałam o swoich dzieciach – ciekawe, gdzie teraz są. Przed moimi oczami pojawił się obraz rodziny na łodzi, jaskrawy, obracający się krąg na szkatułce, mechanicznie i nieruchomo skomponowany, a jednak pełen wdzięku i stosowny. Przypomniało mi się z niezwykłą klarownością, że kiedy byłam mała, leżałam w półśnie na tylnym siedzeniu samochodu rodziców podczas niekończących się powrotów z jednodniowych wypadów nad morze, dokąd często jeździliśmy latem. Nie było szosy bezpośrednio łączącej naszą miejscowość z morzem, istniała tylko płatanina wiejskich dróg, które na mapie wyglądały jak ilustracja z atlasu anatomicznego przedstawiająca sieć żył i tętnic, toteż nie miało większego znaczenia, w którą dróżkę się skręciło, o ile poruszało się mniej więcej we właściwym kierunku. Mój ojciec miał jednak swoją ulubioną trasę, która wydawała mu się minimalnie krótsza niż pozostałe, dlatego zawsze jeździliśmy tym samym szlakiem, przecinając raz i drugi te same alternatywne drogi i mijając drogowskazy prowadzące do miejsc, w których już byliśmy albo których nigdy nie mieliśmy odwiedzić. Z czasem wyobrazenie

ojca na temat przebiegu podróży nad morze ugruntowało się w tak niezłomne przekonanie, że poczulibyśmy, iż robimy coś złego, gdyby w istocie przyszło nam do głowy przejechać przez którąś z tych nieznanych miejscowości, choć przecież nie zrobiłoby to żadnej różnicy. My, dzieci, leżeliśmy na tylnym siedzeniu, przysypialiśmy i czuliśmy mdłości od kołysania. Czasem otwierałam oczy i widziałam przesuwający się za zakurzonymi szybami letni krajobraz, tak pełny i dojrzały o tej porze roku, że wydawało się niemożliwe, żeby kiedykolwiek mógł przemienić się w zimowy pejzaż.

Łódź zaczęła zwalniać, silnik ucichł. Kiedy usiadłam, mój gospodarz spytał uprzejmie, czy udało mi się na chwilę zasnąć. Zbliżaliśmy się do przystani, zacumowane motorówki lśniły bielą na niebieskim skwarnym tle, za nimi biegła donikąd przerywana linia drogi, a wszystko zdawało się kiwać nieustannie w górę i w dół, choć tak naprawdę to my się poruszaliśmy. Jeśli jestem głodna, powiedział mój towarzysz, to niedaleko jest takie miejsce, w którym serwują suwlaki. Czy jadłam już kiedyś suwlaki? To proste, ale bardzo smaczne danie. Jeżeli wytrzymam jeszcze chwilę i pozwolę, żeby przycumował łódź i załatwił wszystkie niezbędne formalności, wkrótce pójdziemy zjeść, a potem odwiezie mnie z powrotem do Aten.

V

Umówiłam się na kolację w restauracji w centrum miasta z moim dobrym znajomym Paniotisem. Zadzwoił, żeby mnie poinstruować, jak dotrzeć do lokalu, i przy okazji poinformować, że prawdopodobnie dołączy do nas jeszcze jedna osoba: kobieta, pisarka, o której być może słyszałam. Bardzo jej na tym zależy, powiedział Paniotis; liczył, że nie będę miała nic przeciwko. Dodał, że nie chciałby jej urazić. Za długo mieszkam w Atenach – rzucił. Dwukrotnie szczegółowo opisał drogę. Przyjechałby po mnie, gdyby nie to, że musiał zostać na spotkaniu w pracy. Niechętnie powierzał mi zadanie samodzielnego dotarcia do restauracji, ale miał nadzieję, że wystarczająco klarownie objaśnił trasę. Na pewno się nie zgubię, jeżeli będę liczyła światła, tak jak mi wyjaśnił, i skręcę w prawo między szóstymi a siódmymi.

Wieczorem, kiedy słońce już nie prażyło, powietrze nabrało pewnej lepkości, w której czas zdawał się trwać nieruchomo, labirynt miasta zaś, już nieprzecinany na pół światłem i cieniem i nieporuszany popołudniowym wiatrem, sprawiał wrażenie unoszącego się we śnie, zawieszzonego w wyjątkowo bladej i gęstej atmosferze. W pewnym momencie robiło się ciemno, owszem, ale poza tym wieczory cechował osobliwy brak poczucia przemijania: nie robiło się chłodniej ani ciszej, ani puściej; z jasno oświetlonych tarasów restauracji dobiegały niestłumione odgłosy rozmów i śmiechów, ulice wyglądały jak rzeki trąbiących, rojących się świateł, po chodniku, w żółtym blasku ulicznych latarni, jeździły na rowerkach małe dzieci. Pomimo ciemności tutaj trwał wieczny dzień, gołębie ciągle przepychały się na rozświetlonych neonami placach, kioski na rogach ulic nadal były otwarte, a w zmęczonym powietrzu wokół piekarni wciąż unosił się zapach ciasta. W restauracji wskazanej przez Paniotisa przy stoliku w rogu siedział samotny tłusty gość w grubym tweedowym garniturze, delikatnie kroił nożem

plaster różowego arbuza, nadziewał go na widelec i ostrożnie wkładał do ust. Czekałam, rozglądając się po wnętrzu wyłożonym ciemną boazerią ze wstawkami z fazowanych luster, w których odbijało się i zwielokrotniało morze pustych stolików i krzeseł. To nie jest modne miejsce, przyznał Paniotis, kiedy się zjawił; Angeliki, która niebawem do nas dołączy, z pewnością będzie z tego niezadowolona, ale przynajmniej można tu porozmawiać, wiedząc, że nie spotka się kogoś znajomego, kto mógłby zakłócić konwersację. Pewnie nie podzielam jego odczuć – w gruncie rzeczy ma nadzieję, że tak jest – ale nie interesuje go już podtrzymywanie kontaktów towarzyskich; coraz częściej ludzie go po prostu zdumiewają. Ciekawe osoby są jak wyspy, powiedział, nie wpadniesz na nie na ulicy albo na przyjęciu, lecz musisz wiedzieć, gdzie ich szukać, i chcąc się z nimi zobaczyć, musisz się najpierw umówić.

Poprosił, żebym wstała – będzie mógł mnie wyściskać – a kiedy podniosłam się z krzesła i obesłam stół, spojrzał mi głęboko w oczy. Próbuje sobie przypomnieć, powiedział, ile czasu minęło od naszego ostatniego spotkania; zapytał, czy wiem ile. Myślę, że więcej niż trzy lata, odparłam, a on zaczął kiwać głową, zanim skończyłam mówić. Zjedliśmy lunch w restauracji w Earls Court, dzień był, jak na angielskie standardy, upalny, i z jakiegoś powodu na spotkaniu były też moje dzieci i mąż. Cel naszej podróży był zupełnie inny, zrobiliśmy przerwę, żeby zobaczyć się z Paniotisem, który zawitał do Londynu na targi książki. Wyszedłem z tego lunchu, powiedział, z refleksją, że moje życie jest do niczego. W towarzystwie rodziny wydawałaś się tak bardzo szczęśliwa i spełniona. Patrząc na was, miało się poczucie, że dokładnie tak to powinno wyglądać.

Kiedy się objęliśmy, jego ciało wydało mi się niezwykle lekkie i wątle. Był ubrany w wytartą koszulę w kolorze bzu i dzinsy, które układały się na nim luźnymi fałdami. Odchylił się do tyłu i ponownie wbił we mnie badawcze spojrzenie. Twarz Paniotisa wygląda jak z kreskówki, wszystko w niej jest wyolbrzymione: policzki – bardzo wychudłe, czoło – niezwykle wysokie, brwi –

zakręcone jak znaki zapytania, włosy – każdy w inną stronę; ma się zatem wrażenie, że zamiast na Paniotisa we własnej osobie patrzy się na jego karykaturę. Nawet kiedy jest rozluźniony, ma wyraz twarzy człowieka, który właśnie usłyszał coś zdumiewającego albo otworzył drzwi i zobaczył coś wyjątkowo zaskakującego. Przy tym oczy, osadzone w twarzy jakby zastygłej w grymasie, ma nadzwyczaj żywe i zmienne, często je wytrzeszcza i wtedy wyglądają, jak gdyby któregoś dnia, zdziwione tym, co widziały, mogły wyskoczyć z orbit.

Teraz, odezwał się, widzę, że coś się stało, i muszę powiedzieć, że nie spodziewałem się tego. Nic a nic z tego nie rozumiem. Tamtego dnia, w restauracji, zrobiłem tobie i twojej rodzinie zdjęcie – pamiętasz? Tak, odparłam, pamiętam. Dodałam, że mam nadzieję, że nie zamierza mi pokazywać tej fotografii, i spochmurniał. Jeśli nie chcesz, powiedział. Ale oczywiście wzięłam ją ze sobą; mam ją tutaj, w teczce. Powiedziałam, że z tamtego dnia akurat dobrze zapamiętałam to, jak robił nam zdjęcie. Pomyślałam wtedy, że to niecodzienny pomysł, a przynajmniej mnie nie przyszedłby do głowy; wskazywał na pewną różnicę pomiędzy nami: Paniotis obserwował zdarzenia, ja zaś najwyraźniej byłam całkowicie pochłonięta przeżywaniem ich. To była jedna z tych chwil, powiedziałam, która z perspektywy czasu wydaje mi się prorocza. I rzeczywiście, byłam do tego stopnia zaabsorbowana, że nie zwróciłam uwagi, jak Paniotis wychodzi z naszego spotkania z poczuciem, że jego życie jest do niczego – tak jak góra nie zauważa wspinacza, który traci równowagę i spada w jeden z jej wąwozów. Czasem wydawało mi się, że życie jest ciągiem kar za takie chwile nieuwagi, że człowiek wykuwa własny los rzeczami, których nie zauważa i dla których brakuje mu współczucia; i że to, czego nie wiesz i czego nie starasz się zrozumieć, będzie tym, do czego poznania zostaniesz zmuszony. Mówiąc to, widziałam, jak na twarzy Paniotisa rośnie przerażenie. To okropna myśl, która mogła przyjść do głowy wyłącznie katolikowi, stwierdził. Jest wiele osób, przyznaję, które chciałbym, żeby zostały ukarane w tak rozkosznie okrutny sposób. Są to jednakże ludzie, którzy pozostaną ograniczeni,

nawet jeśli będą cierpieli do końca swoich dni. Jestem o tym przekonany, dodał, sięgając po kartę dań. Odwrócił się i podniósł palec, żeby dać znak kelnerowi ubranemu w długi biały fartuch, ogromnemu siwobrodemu mężczyźnie, który twardo stał na posterunku w kącie niemal pustej sali tak doskonale nieruchomo, że nawet go nie zauważyłam. Podszedł do naszego stolika, stanął z założonymi na piersi potężnymi rękami i kiwał głową, kiedy Paniotis w szybkim tempie składał zamówienie.

Wtedy, w Londynie, ciągnął Paniotis, zwracając się znów do mnie, uświadomiłem sobie, że moje marzenie o założeniu wydawnictwa pozostanie mrzonką, i jednocześnie poczułem nie tyle rozczarowanie sytuacją, co raczej zdumienie samą fantazją. Wydało mi się niewiarygodne to, że w wieku pięćdziesięciu jeden lat wciąż stać mnie na podtrzymywanie, przy całej niewinności tejże, nadziei zupełnie niemożliwej do spełnienia. Najwyraźniej ludzka zdolność do łudzenia się nie ma granic – a skoro tak, to skąd, jeśli nie istnielibyśmy w stanie skończonego pesymizmu, mielibyśmy wiedzieć, że znów się oszukujemy? Wydawało mi się, że ponieważ przeżyłem całe życie w tym tragicznym kraju, to nie ma już nic, w związku z czym mógłbym okłamywać samego siebie, ale jak niestety zauważyłaś, złudne jest to, czego nie widzisz, co uważasz za oczywiste. Orientujesz się, że brałaś coś za pewnik, dopiero kiedy ta rzecz przestaje istnieć.

Zawiśł nad nami kelner z zamówieniem, Paniotis przerwał wywód teatralnym gestem wyrażającym konsternację i odchylił się na krześle, umożliwiając mężczyźnie postawienie potraw na stole. Znalazła się na nim karafka z bladożółtym winem, naczynie pełne maleńkich zielonych oliwek z gałązkami – wyglądały na gorzkie, ale były słodkie i smaczne – oraz półmisek delikatnych, podawanych na zimno małży w czarnych skorupkach. Dla wzmocnienia, powiedział Paniotis, przed przybyciem Angeliki. Angeliki, co sama zobaczysz, stała się wielką damą, dodał, od kiedy za jedną ze swoich powieści otrzymała jakąś europejską nagrodę; uważa się ją teraz – albo przynajmniej sama o sobie tak mówi – za gwiazdę literatury. Pokonawszy własną udrękę – na czymkolwiek polegała – uznała się

za swego rodzaju rzeczniczkę wszystkich cierpiących kobiet, nie tylko w Grecji, lecz także w tych krajach, gdzie publiczność okazała zainteresowanie jej dokonaniem. Chodzi wszędzie, gdzie ją zaproszą. Ta jej powieść, powiedział, traktuje o malarce, której życie artystyczne stopniowo gaśnie, dławione sytuacją w domu: mąż jest dyplomata, rodzina często zmienia miejsce zamieszkania, co uniemożliwia zapuszczenie korzeni, toteż malarka zaczyna czuć, że jej praca jest jedynie fanaberią, rozrywką; ważniejszy jest mąż – uważa tak zarówno on sam, jak i wszyscy pozostali – nie ogranicza się bowiem do komentowania zdarzeń, ale sam nadaje im bieg, a kiedy pojawia się różnica zdań między tymi dwójgiem – to powieść Angeliki, a więc między bohaterami często dochodzi do konfliktów – jego potrzeby zawsze wygrywają. W końcu dzieła malarki stają się mechaniczne, pretensjonalne, brakuje w nich pasji, mimo że autorka nadal odczuwa pragnienie wyrażania siebie. W Berlinie, dokąd przenosi się jej rodzina, poznaje młodego mężczyznę, też malarza, który ponownie rozpala w niej namiętność do malowania i do wszystkich innych rzeczy – ale wtedy okazuje się, że bohaterka czuje się za stara dla tego młodego mężczyzny, poza tym ma żałosne poczucie winy, zwłaszcza w stosunku do swoich dzieci, które wyczuły, że coś jest nie w porządku, i zaczynają się niepokoić. Przede wszystkim jednak kobieta jest zła na swojego męża za to, że postawił ją w tej sytuacji, że przez niego w ogóle straciła zapal i że zrzucił na nią wyłączną odpowiedzialność za następstwa. Młody malarz prowadzi intensywne nocne życie, nie stroni od narkotyków i zachwyca się śladami, które doświadczenie pozostawiło na kobiecym ciele bohaterki, czym tylko utwierdza ją w przekonaniu, że jest dla niego za stara. Nie ma do kogo się zwrócić, nie ma komu się zwierzyć – cóż za samotne miejsce, uśmiechnął się znacząco Paniotis. Tak zresztą brzmi tytuł tej książki: *Samotne miejsce*. Mój spór z Angeliki, wyjaśnił, dotyczy zastąpienia pisania malarstwem, tak jakby to były pojęcia wymienne. Książka, co oczywiste, opowiada o niej samej, dodaje, choć Angeliki nie ma pojęcia o malarstwie. Z mojego doświadczenia wynika, że malarze są ludźmi dużo bardziej niekonwencjonalnymi niż pisarze. Ci drudzy

muszą ukrywać się w mieszczańskim życiu tak, jak kleszcze znajdują kryjówkę w zwierzęcym futrze, to znaczy im głębiej, tym lepiej. Nie wierzę w tę jej malarkę, ciągnął, która niby szykuje dzieciom drugie śniadanie w supernowoczesnej niemieckiej kuchni i jednocześnie fantazjuje o seksie z młodym, umięśnionym androginem w skórzanej kurtce.

Zapytałam, co takiego wydarzyło się w Londynie, że stracił wiarę w wydawnictwo, które niedługo przedtem otworzył i które wkrótce – jak słyszałam – zostało przejęte przez dużą korporację, tak że Paniotis z dyrektora własnej firmy przeobraził się w szeregowego redaktora. Niestety, odparł po chwili milczenia, przewracając smutnymi oczami, które niemal wylewały się z oczodołów, mój szacunek dla wszystkiego, co angielskie, nie został odwzajemniony. Kiedy zaczęły piętrzyć się trudności, ciągnął, nikt nawet nie przypuszczał, że może być jeszcze gorzej. Wyłącznym polem działania oficyny Paniotisa miały być tłumaczenia dzieł autorów anglojęzycznych, nieznanych w Grecji pisarzy, od których komercyjne wydawnictwa stroniły, a których dokonania Paniotis podziwiał i koniecznie chciał przybliżyć swoim rodakom. Tak się jednak złożyło, że akurat w tamtym czasie nie był w stanie wypłacać zaliczek autorom, których książki niejednokrotnie sam przekładał, żeby zaoszczędzić na kosztach. W Londynie nie zostawiono na nim suchej nitki, do krytyki przyłączyli się nawet sami pisarze, zarzucili mu celowe opóźnianie wypłaty pieniędzy, których przecież książki, ściśle mówiąc, nie zdążyły nawet jeszcze zarobić. Wszyscy potraktowali go z głęboką pogardą, grożono mu wstąpieniem na drogę sądową i co najgorsze, Paniotis odniósł wrażenie, że autorzy, których wielbił jako wielkich artystów, okazali się w istocie zimnymi, niewrażliwymi ludźmi, skupionymi na autoreklamie i przede wszystkim na pieniądzach. Wyłożył sprawę jasno: jeśli zostanie zmuszony do wypłaty zaliczek, wydawnictwo upadnie, zanim tak naprawdę zdążyło rozpocząć działalność – i tak też się stało. Książki tych pisarzy korporacja, dla której Paniotis obecnie pracuje, regularnie odrzuca, ponieważ interesuje ją wyłącznie produkowanie bestsellerów. Nauczyło mnie to, powiedział, że nie da

się naprawić sytuacji i że odpowiedzialni za nią są zarówno źli, jak i dobrzy ludzie, i że postęp sam w sobie jest może po prostu prywatną fantazją, w pewnym sensie równie samotną jak samotne miejsce Angeliki. Wszyscy jesteśmy od tego uzależnieni, powiedział, drżącymi palcami wyjmujemy małża ze skorupki i wkładamy go do ust, oto cały postęp, zawładnął on naszym najgłębszym poczuciem rzeczywistości. Udzielił się nawet powieści, choć teraz to pewnie ona przenosi się na nas, tak że oczekujemy od swojego życia tego, czego dotąd oczekiwaliśmy od książek. Ale ja już nie chcę tego poczucia życia jako rozwoju.

Zrozumiał, że w jego małżeństwie zawsze obowiązywała zasada postępu, jej przejawami było wchodzenie w posiadanie domów, przedmiotów, samochodów, dążenie do uzyskania wyższego statusu społecznego, częstszego podróżowania, poszerzania kręgu znajomych i nawet płodzenie dzieci wydawało się obowiązkowym przystankiem w tej szalonej wędrówce. I nieuniknione, teraz już to pojał, było to, że kiedy nie będzie już czego kupować i czego poprawiać, kiedy zabraknie celów do osiągnięcia bądź etapów do zaliczenia, wówczas zapanuje wrażenie, że podróż, zgodnie z naturalną kolejną rzeczy, dobiegła końca, i oboje ich będzie nękało dojmujące poczucie daremności i nieokreślonej bolączki, będącej w istocie wyciszeniem po zbyt intensywnym życiu – uspokojeniem, jakiego doświadczają marynarze, schodząc na ląd po zbyt długim pobycie na morzu – choroby, która obojgu im wyda się oznaką braku miłości między nimi. Gdybyśmy tylko mieli dość zdrowego rozsądku, powiedział, żeby się wtedy pogodzić i zacząć od przyznania uczciwie, że jesteśmy dwojgiem niezakochanych w sobie ludzi, którzy jednak nie chcą się nawzajem krzywdzić. Gdybyśmy, powiedział, a jego oczy znów prawie wyszły z orbit, gdybyśmy tak zrobili, to jestem przekonany, że nauczylibyśmy się kochać i siebie nawzajem, i siebie samych. Ale potraktowaliśmy to jako kolejną okazję do rozwoju, zobaczyliśmy, że otwiera się przed nami następny etap podróży, tyle że tym razem była to droga przez zniszczenie i wojnę, do których podeszliśmy, jak zawsze, z zapalem i znanstwem.

Teraz, powiedział, żyję bardzo prosto. Rano, o wschodzie słońca, jeżdżę w takie jedno miejsce dwadzieścia minut drogi od Aten i pokonuję wpław całą zatokę tam i z powrotem. Wieczorem siedzę na balkonie i piszę. Przymknął oczy i uśmiechnął się. Zapytałam, co takiego pisze, i uśmiechnął się szerzej. Odparł, że o swoim dzieciństwie. Byłem bardzo szczęśliwy jako dziecko, ciągnął, i niedawno zdałem sobie sprawę, że tym, czego najbardziej pragnę, jest przypomnienie sobie tego okresu, kawałek po kawałku, możliwie jak najszczegółowiej. Świat, w którym istniało tamto szczęście, zupełnie zniknął, nie tylko z mojego życia, ale w ogóle z Grecji, ta bowiem, świadoma tego albo nie, stała się krajem, który upadł i umiera powolną, bolesną śmiercią. Jeśli chodzi o mnie, to czasem zastanawiam się, czy owo dziecięce poczucie szczęścia nie było przyczyną, dla której życie musiało nauczyć mnie cierpienia. Wyjątkowo trudno przyszło mi zrozumienie, skąd bierze się ból i jakimi drogami przychodzi. Długo uczyłem się go unikać. Któregoś dnia, powiedział, przeczytałem w gazecie o chłopcu cierpiącym na osobliwe zaburzenie umysłowe, które nakazywało mu podejmować fizyczne ryzyko, a więc robić sobie krzywdę. Ten chłopiec nieustannie wkłada rękę do ognia, skacze z okna, spada z drzewa. Nie ma w jego ciele kości, której by nie złamał, i oczywiście ma pełno skaleczeń i stłuczeń. Gazeta poprosiła jego nieszczęsnych rodziców o komentarz. Problem polega na tym, powiedzieli, że on niczego się nie boi. Ale wydaje mi się, że jest dokładnie odwrotnie: chłopak boi się tak, że zmusza go to do robienia właśnie tej rzeczy, przed którą czuje strach, po to, aby nie zadziałała się sama z siebie. Myślę, że gdybym wiedział jako dziecko, co można osiągnąć w kategoriach bólu, zareagowałbym podobnie. Może pamiętasz z *Odysei*, powiedział, postać Elpenora, jednego z towarzyszy Odyseusza, który spada z dachu domu Kirke, ponieważ przepelnia go takie szczęście, że zapomina, iż schodzi się po drabinie. Później Odyseusz spotyka go w Hadesie i pyta, czemu, u licha, poniósł śmierć w tak głupi sposób. Paniotis się uśmiechnął. Zawsze uważałem, że to ujmujący szczegół, powiedział.

Do restauracji weszła kobieta, która musiała być Angeliki –

ponieważ nie było innych gości, nikt też przez cały ten czas nie przestąpił progu knajpy – i ze swadą wdała się w dyskusję z kelnerem. Wywiązała się długa konwersacja, podczas której oboje wyszli i za chwilę wrócili, rozmawiając z jeszcze większą werwą. Płowe, nienagannie ułożone włosy kobiety falowały i szeleściły, kiedy gwałtownie poruszała głową, a jej piękna szara sukienka – uszyta z cieniutkiego jedwabiu – wirowała, kiedy przestępowała z nogi na nogę, niecierpliwa jak kuc przebierający kopytami. Nosiała rzucające się w oczy srebrne skórkowe sandały na wysokim obcasie, miała dopasowaną do nich torebkę, i byłaby zapewne uosobieniem szyku, gdyby – kiedy odwróciła głowę, żeby podążyć wzrokiem za palcem kelnera, i zobaczyła na jego końcu nasz stolik – nie ukazała się jej twarz, tak przedziwnie pełna niepokoju, że ten udzielał się każdemu, kto na nią patrzył. Zgodnie z przewidywaniami Paniotisa Angeliki była rozczarowana wyborem restauracji. Powiedziała, że w pierwszym odruchu zajrzała tu tylko po to, żeby dopytać o lokalizację miejsca, które wskazał Paniotis, i nie zorientowała się, że to właśnie tu, dlatego kelner, aby ją przekonać, musiał wyjść z nią na ulicę i pokazać jej sztyl; zresztą nawet wtedy nadal była przekonana, że po prostu gdzieś w okolicy pod tą samą nazwą działa bardziej stosowny lokal. Ależ wybrałem tę restaurację specjalnie dla ciebie, powiedział Paniotis, wybałuszając oczy. Szef kuchni pochodzi z twojego rodzinnego miasta, w karcie dań mają wszystkie twoje ulubione bałtyckie potrawy. Proszę mu wybaczyć, odezwała się Angeliki, kładąc wymanikiowaną dłoń na moim ramieniu, po czym zwróciła się do Paniotisa po grecku, besztając go tak, że ten przeprosił, wstał od stolika i zniknął w toalecie.

Najmocniej przepraszam, że nie dałam rady przyjść wcześniej, powiedziała jednym tchem. Musiałam iść na przyjęcie, a potem wrócić do domu i położyć synka spać – ostatnio rzadko go widuję, bo odbywam tournée promujące moją książkę. Miałam cykl spotkań w Polsce, dodała, zanim zdążyłam zapytać, głównie w Warszawie, ale byłam też w innych miastach. Spytała, czy byłam kiedyś w Polsce, a kiedy odparłam, że nie, pokiwała nieco smutnie głową. Tamtejszych wydawców nie stać na zapraszanie wielu autorów,

wyjaśniła, a szkoda, ponieważ pod pewnymi względami pisarze są tam potrzebni bardziej niż tutaj. Przez ostatni rok, powiedziała, wiele miejsc odwiedziłam po raz pierwszy w życiu, albo po raz pierwszy jako ktoś ważny, ale najbardziej poruszyła mnie właśnie trasa po Polsce, bo sprawiła, że zaczęłam postrzegać swoje książki nie tylko w kategoriach rozrywki klasy średniej, ale jako coś niezwykle ważnego, czasem wręcz ostatnią deskę ratunku dla ludzi – przeważnie, trzeba przyznać, kobiet – którzy na co dzień czują się bardzo samotni.

Angeliki sięgnęła po karafkę i melancholijnym gestem naląła sobie naparstek wina, po czym napełniła mój kieliszek niemal po brzegi.

– Mój mąż jest dyplomata – powiedziała – więc dużo podróżujemy, rzecz jasna, ze względu na jego obowiązki. Ale wyjazd w związku z własną pracą, w dodatku samodzielny, to zupełnie inna sprawa. Przyznaję, że czasem się tego obawiam, nawet jeśli znam miejsce, do którego jadę. W Polsce czułam się bardzo nieswojo, ponieważ wiele rzeczy, łącznie z językiem, było mi nieznanymi. Z początku część tego zdenerwowania można było złożyć na karb mojego nieprzyzwyczajenia do samotności. Na przykład, ciągnęła, mieszkaliśmy w Berlinie przez sześć lat, ale kiedy pojechałam tam sama jako pisarka, doznałam poczucia obcości. Po trosze dlatego, że zobaczyłam miasto z nowej perspektywy – kultury literackiej, której nie byłam dotąd częścią – a po trosze pobyt w Berlinie bez męża sprawił, że poczułam się w zupełnie nowy sposób taka, jaka naprawdę jestem.

Odparłam, że nie wiem, czy coś takiego – świadomość, jakim się jest naprawdę, albo raczej oddzielenie tego, jakim się było, od tego, jakim się stało przez drugą osobę – jest w małżeństwie w ogóle możliwe. Sądziłam, że cała ta koncepcja „prawdziwego ja” może być złudna. Innymi słowy, możesz czuć, że istnieje w tobie jakaś osobna, niezależna jaźń, podczas gdy w istocie tego „ja” być może wcale nie ma. Moja matka wyznała kiedyś, powiedziała, że rano nie mogła się doczekać, aż wreszcie zbierzemy się do wyjścia do szkoły, ale gdy już w końcu zostawała sama, nie wiedziała, co ze sobą począć,

i chciała, żebyśmy jak najszybciej wrócili do domu. Do dziś zresztą, choć jesteśmy już dorosłymi dziećmi, brutalnie ucina nasze wizyty i czym prędzej odprowadza nas do drzwi, jak gdyby miało stać się coś strasznego, gdybyśmy zostali dłużej. A mimo to, byłam o tym przekonana, po naszym wyjściu nadal doświadcza tego samego poczucia straty i zastanawia się, czego właściwie szuka i dlaczego nas wyprosiła, żeby to znaleźć. Angeliki pogrzebała w swojej eleganckiej srebrnej torebce i wyjęła notatnik i ołówek.

– Przepraszam bardzo – powiedziała – ale muszę to zapisać. – Przez chwilę siedziała i pisała, po czym podniosła głowę i spytała: – Czy może pani powtórzyć drugą część?

Zauważyłam, że do prowadzenia notatek, jak i do swojego wyglądu, przywiązuje dużą wagę; wypełniała strony starannym prostym pismem. Ołówek też miała srebrny, z wysuwającym grafitem, który zdecydowanym pstryknięciem schowała w obsadce.

– Muszę przyznać – powiedziała – że zdumiała mnie reakcja polskich czytelników, naprawdę mocno mnie zaskoczyła. Wie pani, przypuszczam, że kobiety w Polsce są bardzo upolitycznione. Dziewięćdziesiąt procent moich czytelników to kobiety – dodała – i to takie, które śmiało zabierają głos. Naturalnie, greckie kobiety też głośno wyrażają swoje opinie...

– ...ale lepiej się ubierają – dokończył Paniotis, który właśnie wrócił z toalety. Ku mojemu zaskoczeniu Angeliki potraktowała ten wtęt poważnie.

– Zgadza się – przytaknęła. – Kobiety w Grecji lubią być piękne. Tymczasem odniosłam wrażenie, że w Polsce stawia je to w niekorzystnej sytuacji. Tamtejsze kobiety są blade i poważne: mają szerokie, płaskie, zimne twarze i nierzadko zniszczoną cerę, przypuszczalnie przez pogodę i dietę, która jest okropna. No i – dodała, krzywiąc się lekko – te zepsute zęby. Ale mają też powagę, której im zazdroścę. Tak jakby nic ich nie rozpraszało, nic nie odrywało od rzeczywistości, jaką jest ich własne życie. Spędziłam sporo czasu w Warszawie w towarzystwie pewnej dziennikarki – mówiła dalej. – Była mniej więcej w moim wieku i też miała dzieci, ale była tak chuda, nijaka i surowa, że nie mogłam uwierzyć, iż

mam do czynienia z kobietą. Miała proste, sięgające prawie do pasa włosy mysiego koloru, twarz kościstą i białą jak lodowiec, nosiła obszerne ogrodniczki i toporne buty i była równie bezbarwna, ostra i piękna jak sople. Razem ze swoim mężem na zmianę, po pół roku, pracowała i opiekowała się dziećmi. Mąż czasem narzekał, ale na razie akceptował układ. Przyznała jednak z dumą, że kiedy wyjeżdża do pracy, co zdarza się często, dzieci śpią z jej zdjęciem pod poduszką. Roześmiałam się – powiedziała Angeliki – i odparłam, że mój syn wolałby umrzeć, niż dać się przyłapać na spaniu z moją fotografią pod poduszką. Wtedy Olga posłała mi takie spojrzenie, że naraz pomyślałam ze zdumieniem, iż nawet nasze dzieci zaraziły się cynizmem polityki płci.

Miękkość, wręcz mglistość rysów Angeliki była pociągająca, ale jej twarz sprawiała też wrażenie wiecznie znękanego troskami. Wydawało się, że dowolna rzecz może odcisnąć ślad na tej aksamitności. Miała drobne, dziecięce rysy, ale skórę pomarszczoną, jakby od umartwiania się, co nadawało jej wygląd nadąsanej niewinności, jak gdyby była śliczną dziewczynką, której nie udało się postawić na swoim.

– Kiedy rozmawiałam z tą dziennikarką – mówiła dalej – która miała na imię Olga, jak już wspomniałam, zastanawiałam się, czy czasem całe moje życie – nawet mój feminizm – nie jest kompromisem. Poczułam, że brakuje mu powagi. Nawet pisanie traktowałam jak swego rodzaju hobby. Zaintrygowała mnie myśl, czy miałabym odwagę stać się taką jak ona, bo przecież w jej życiu było tak mało przyjemności, tak niewiele piękna – zdumiewa już sama fizyczna brzydota tej części świata – że mocno wątpiłam, czy w podobnych okolicznościach znalazłabym w sobie siłę, by jeszcze czymkolwiek się przejmować. To dlatego zaskoczyła mnie liczba kobiet przychodzących na spotkania ze mną – można było pomyśleć, że to, co robię, ma dla nich większe znaczenie niż dla mnie samej.

Przyszedł kelner, żeby przyjąć od nas zamówienie, co trochę potrwało, bo Angeliki omawiała każdą pozycję w menu, przesuwając palcem w dół listy, zadając mnóstwo pytań, na które kelner odpowiadał długo i poważnie, ani przez chwilę nie okazując

zniecierpliwienia. Paniotis siedział obok, przewracał oczami i od czasu do czasu strofował oboje, co tylko wydłużało cały proces. Kiedy wydawało się już, że składanie zamówienia dobiegło końca, a kelner powoli i ociężale zaczął odchodzić od naszego stolika, Angeliki przywołała go z powrotem, nabierając powietrza i podnosząc palec; widocznie miała jeszcze jakieś przemyślenia. Lekarz przepisał jej specjalną dietę – zwróciła się do mnie, kiedy kelner w końcu odszedł i zniknął za znajdującymi się w drugim końcu sali mahoniowymi żaluzjowymi drzwiami – bo nie czuła się dobrze po powrocie z Berlina. Ogarnął ją, wręcz przytłoczył, niezwykle bezwład i – nie boi się do tego przyznać – smutek, który jak sądziła, stanowił kumulację fizycznego i emocjonalnego wyczerpania latami spędzonymi za granicą. Dlatego po powrocie do Grecji spędziła mniej więcej sześć miesięcy w łóżku, niezdolna do robienia czegokolwiek. W tym czasie, powiedziała, odkryła, że bez niej jej mąż i syn dają sobie radę o wiele lepiej, niż sądziła, toteż kiedy wreszcie wstała i wróciła do normalnego życia, okazało się, że jej rola w domu znacząco się zmniejszyła. Mąż i syn przywykli do wykonywania większości tych prac, które wcześniej należały do jej obowiązków – albo do pozostawiania ich niedokończonymi – i wypracowali nowe nawyki, z których wiele nie przypadło jej do gustu. Zrozumiała jednak, że stoi przed wyborem, i jeśli chce zerwać z dawną tożsamością, właśnie ma ku temu okazję. Dla wielu kobiet, powiedziała, byłoby to jak ziszczenie się najgorszych koszmarów, owo odkrycie, że nie są potrzebne, ale w jej przypadku efekt okazał się odwrotny. Przekonała się też, że choroba pozwoliła jej bardziej obiektywnie spojrzeć na własne życie i zaludniające je postaci. Uzmysłowiła sobie, że nie jest z nimi związana aż tak bardzo, jak myślała, zwłaszcza z synem, o którego zawsze, od momentu jego narodzin, ogromnie się troszczyła, traktowała go jako istotę wyjątkowo wrażliwą i bezbronną, a robiła to tak intensywnie, że – dopiero wtedy to do niej dotarło – nie potrafiła zostawić go w spokoju nawet na minutę. Kiedy wróciła do świata po chorobie, syn wydał jej się jeśli nie zupełnie obcy, to w każdym razie mniej boleśnie związany z nią każdym włóknem. Nadal go kochała, to

oczywiste, ale przestała postrzegać jego i jego życie jako coś, co musi przekuć w doskonałość.

– Kluczowym dla wielu kobiet twórczym doświadczeniem – powiedziała – jest urodzenie dziecka, a mimo to dziecko nigdy nie pozostanie tylko stworzonym obiektem; chyba że – dodała – samopoświęcenie matki jest całkowite, moje jednak takie nie było i uważam, że w dzisiejszych czasach żadna kobieta nie powinna składać tego rodzaju ofiary. Moja matka przecierpiała mnie w sposób zupełnie bezkrytyczny – powiedziała – czego konsekwencją było to, że weszłam w dorosłość nieprzygotowana do życia, ponieważ dla nikogo nie byłam tak ważna jak dla niej. No a potem poznajesz mężczyznę, dla którego znaczysz tak wiele, że chciałby się z tobą ożenić, więc wydaje ci się, że postępujesz słusznie, zgadzając się. Ale poczucie istotności powraca tak naprawdę dopiero wtedy, kiedy rodzisz dziecko – mówiła z coraz większą swadą – tyle że pewnego dnia dociera do ciebie, że wszystko to – dom, mąż, dziecko – wcale nie jest ważne, przeciwnie: stałaś się niewolnicą, zostałaś wymazana! – Teatralnie zawiesiła głos. Siedziała z uniesioną twarzą, jej ręce spoczywały płasko na stole obok sztućców. – Jedyłą nadzieją – podjęła ciszej – jest nadanie dziecku i mężowi tak wysokiej rangi we własnym umyśle, żeby dostarczyć swojemu ego dość pożywienia, aby utrzymało się przy życiu. Ale – dorzuciła – jak zauważa Simone de Beauvoir, taka kobieta staje się jedynie pasożytem żerującym na swoim mężu i dziecku.

– W Berlinie – podjęła po chwili – mój syn studiował na drodzej prywatnej uczelni, za naukę płaciła ambasada, tam też poznaliśmy całe mnóstwo bogatych i ustosunkowanych ludzi. Nigdy wcześniej nie miałam styczności z kobietami, jakie tam spotkałam: prawie wszystkie pracowały – były lekarkami, prawniczkami, księgowymi – i większość miała gromadkę dzieci, pięcioro albo sześcioro, i sprawowała nad nimi opiekę z niezwykłą starannością i energią. Miały wymagającą pracę zawodową, a jednocześnie sprawnie prowadziły swoje domy, tak jakby zarządzały korporacjami. Mało tego, te kobiety zawsze były zadbane i elegancko ubrane: codziennie

chodziły na siłownię, biegały w maratonach charytatywnych, były chude i żyłaste niczym charty i zawsze nosiły kosztowne, wytworne stroje, mimo że ich muskularne ciała nierzadko wyglądały dziwnie bezpłciowo. Chodziły do kościoła, piekły ciasta na szkolne uroczystości, przewodniczyły klubom dyskusyjnym, urządały sześciodaniowe przyjęcia, czytały najnowsze powieści, chodziły na koncerty, w weekendy grały w tenisa i siatkówkę. Wystarczyłaby jedna taka kobieta – powiedziała – ale w Berlinie występowały one w ilościach hurtowych. A najzabawniejsze, że nigdy nie umiałam przypomnieć sobie ich imion, tak samo zresztą jak imion ich mężów. Tak naprawdę – dodała – to nie zapamiętałam nawet żadnej twarzy, z wyjątkiem buzi jednego dziecka, chłopca, mniej więcej w wieku mojego syna, potwornie kalekiego, który jeździł na czymś w rodzaju wózka z silniczkiem, wyposażonego w podpórkę na brodę, tak że głowa – która gdyby nie to, pewnie opadałaby mu na pierś – zawsze miała oparcie. – Przerwała, zatroskana, jak gdyby ponownie ujrzała przed sobą twarz chłopca. – Nie pamiętam, żeby jego matka – podjęła po chwili – kiedykolwiek narzekała na swój los, przeciwnie: niezmordowanie kwestowała na rzecz organizacji dobroczynnych pomagających dzieciom cierpiącym na tę samą chorobę co jej syn, choć przecież miała tak wiele innych rzeczy na głowie.

– Zastanawiam się czasem – ciągnęła dalej – czy zmęczenie, jakie poczułam po powrocie z Berlina, nie było w istocie zbiorowym zmęczeniem tych kobiet, wyczerpaniem, które same odrzucały, a więc przeniosły je na mnie. Zdawało się, że wiecznie są w biegu: biegały do pracy i z powrotem, do supermarketu, grupkami po parku – rozmawiając z taką łatwością, jakby stały bez ruchu – a jeśli musiały zatrzymać się na światłach, przebierały nogami w miejscu, w tych swoich wielkich białych butach, aż zmieniało się na zielone i mogły pobiec dalej. Przez resztę czasu nosiły płaskie obuwie na gumowych podeszwach, wyjątkowo wygodne i wyjątkowo brzydkie. Buty to była jedyna niegustowna rzecz, jaką nosiły, lecz mimo to czułam, że są kluczem do tajemnicy ich natury, bo były obuwem kobiet, którym obca jest próżność.

– We mnie samej – mówiła dalej, wysuwając spod stołu obutą

w srebro stopę – po powrocie do Grecji obudziła się słabość do delikatnego obuwia. Być może dlatego, że zaczęłam dostrzegać zalety stania w miejscu. Dla bohaterki mojej książki tego rodzaju buty symbolizują coś zakazanego. Są czymś, czego nigdy by nie włożyła. Mało tego, kiedy widzi kobiety w takich butach, robi jej się smutno. Do tej pory była przekonana, że dzieje się tak, ponieważ uważa te kobiety za godne politowania, ale kiedy uczciwie się nad tym zastanawia, dochodzi do wniosku, że wynika to z jej poczucia wykluczenia, wyobcowania z idei kobiecości reprezentowanej przez takie obuwie. Czuje się niemal tak, jakby wcale nie była kobietą. Jeśli jednak nie jest kobietą, to kim jest? Przeżywa kryzys kobiecości będący zarazem kryzysem twórczym, choć zawsze starała się oddzielać jedno od drugiego, sądziła bowiem, że te dwie sfery wzajemnie się wykluczają, że jedna przekreśla drugą. Wyglądając przez okno swojego mieszkania, widzi kobiety biegające w parku, wiecznie goniące, i zadaje sobie pytanie: zmiernają ku czemuś czy może przed czymś uciekają? Patrząc dłużej, przekonuje się, że po prostu biegają w kółko.

Zjawił się kelner z wielką srebrną tacą, z której jeden po drugim zdjął wszystkie talerze i półmiski i postawił je na stole. Jak na tyle zachodu poświęconego składaniu zamówienia Angeliki nałożyła sobie mikroskopijną ilość jedzenia. Ze zmarszczonym czołem wbijała łyżkę w każdą z potraw. Paniotis ułożył na moim talerzu wybór dań i objaśnił, co jest czym. Powiedział, że ostatni raz był w tej restauracji w przeddzień wyjazdu córki do Ameryki; wtedy też nie chciał, żeby przeszkodził mu jakiś znajomy, których w Atenach miał zdecydowanie zbyt wielu. Przy jedzeniu ojciec i córka powspominali wspólne wakacje w nadmorskiej miejscowości na północ od Salonik – pochodziło stamtąd wiele spośród potraw, które dziś jedliśmy. Podniósł łyżkę i spytał Angeliki, czy nie ma ochoty na jeszcze trochę, na co ona przymknęła oczy i lekko skłoniła głowę, niczym święta cierpliwie opierająca się pokusie. Ty też mało zjadłaś, zwrócił się do mnie. Wyjaśniłam, że miałam suwłaki na lunch. Paniotis skrzywił się, a Angeliki zmarszczyła nos.

– Suwłaki jest bardzo tłuste – powiedziała. – I obok gnuśności –

dodała – jest drugą przyczyną otyłości Greków.

Zapytałam Paniotisa, jak dawno wybrał się z córką na północ. Odpowiedział, że krótko po rozstaniu z żoną. Wtedy tak naprawdę po raz pierwszy sam zabrał dokądś swoje dzieci. Przypomniał sobie, jak wyjeżdżali z Aten i kierowali się ku górą, a on wciąż zerkał w lusterko wsteczne i patrzył na swoje pociechy z poczuciem, jakby robił coś wbrew prawu, jakby dopuszczał się porwania. Spodziewał się, że lada moment odkryją jego zbrodnię i zażądają, by w tej chwili odstawił je z powrotem do Aten, do matki, ale nic takiego się nie stało, dzieci ani słowem nie skomentowały sytuacji, nawet podczas długiej podróży, w czasie której Paniotis czuł, że coraz bardziej oddala się od wszystkiego, co znane i pewne, a przede wszystkim od bezpieczeństwa domu, który stworzył z żoną i który – rzecz jasna – przestał już istnieć. Zresztą fizyczne oddalenie się od miejsca straty okazało się nie do wytrzymania. Tak czasem ludzie, powiedział Paniotis, nie są w stanie znieść rozstania z miejscem, w którym zmarł ktoś im bliski.

– Czekałem, kiedy dzieci zaczną domagać się powrotu do domu – ciągnął – ale tak naprawdę to ja chciałem wrócić. W samochodzie uświadomiłem sobie, że one właściwie są w domu, przynajmniej częściowo, ponieważ są ze mną.

Ta myśl, powiedział, uświadomiła mu ogrom samotności, której poczucie pogłębił jeszcze przyjazd do hotelu, gdzie mieli przenocować w czasie przerwy w podróży. Było to okropne miejsce w obskurnym, smaganym wiatrem nadmorskim miasteczku, w którym rozgrzebano, a następnie pozostawiono niedokończoną budowę gigantycznego kompleksu mieszkalnego, w efekcie czego wszędzie dokoła wznosiły się góry piachu i cementu, stosy pustaków, poniewierały się wraki maszyn wyglądających, jakby je porzucono w trakcie pracy: koparki z podniesionymi łykami pełnymi ziemi, wózki widłowe z paletami nadal leżącymi na wyciągniętych widłach, wszystkie zastygłe *in situ*, niczym zatopione w mule prehistoryczne monstra. Natomiast sam budynek, usunięty embrion we wciąż świeżym asfaltowym zawijasio, stał pośród widmowego szaleństwa, gapiąc się pozbawionymi szyb oknami na

morze. Hotel był brudny i pełen komarów, w pościeli znaleźli cementowy żwir, i zdumiewało Paniotisa, jak dzieci mogą skakać ze śmiechem po paskudnych metalowych łóżkach, przykrytych krzykliwymi poliestrowymi narzutami, bo przecież dotychczas – niekiedy rozmyślnie, ale częściej zupełnie przypadkiem – jeździli z nimi z żoną wyłącznie do miejsc pięknych i wygodnych, i kiedy przytłoczyło go okropne przekonanie, że od tej pory jego życiem rządzić będzie pech, tak jak wcześniej przebiegało ono pod dyktando szczęścia, naraz zrobiło mu się beznadziejnie żal dzieci. Zarezerwował jeden pokój dla całej ich trójki i w końcu udało mu się uśpić pociechy, sam zaś, wciśnięty między oboje, przeleżał bez snu wiele godzin.

– Nigdy jeszcze – powiedział – przetrwanie nocy nie sprawiło mi tyle trudności co wtedy. Rankiem, który nastąpił niepostrzeżenie, zobaczyliśmy, że pogoda jest kiepska – tak się czasem zdarza w tej części kraju w okolicy świąt wielkanocnych. Padał intensywny deszcz, a na plaży, na którą roztaczał się widok z okien hotelu, wiał tak silny wiatr, że porywał pianę z wody i rozwiewał ją szerokimi, beznadziejnymi bryzgami, tak że wyglądała jak zjawy przemykające po niebie. Powinniśmy byli tam zostać, ale tak bardzo zapragnąłem wydostać się z tego miejsca, że zapakowałem dzieci do samochodu i ruszyłem w drogę przez wałacy w dach deszcz, ledwie widząc, dokąd zmierzam. Miejscami droga zamieniała się w koryto pełne błota i kiedy tak wspinaliśmy się mozolnie na wzniesienia, zorientowałem się, że grozi nam realne niebezpieczeństwo porwania przez wodę. W dodatku w nocy dzieci zostały dotkliwie pogryzione przez komary i teraz zaczęły rozdrapywać ranki; niektóre wyglądały tak, jakby wdało się w nie zakażenie. Zatem musiałem jeszcze znaleźć aptekę, ale lało tak mocno, że chyba skręciłem nie tam, gdzie trzeba, bo zamiast wjechać na autostradę, posuwałem się coraz węższą i coraz bardziej stromą drogą, wzgórze zaś stawały się coraz bardziej opustoszałe, aż znaleźliśmy się naprawdę wysoko w górach; po obu stronach mieliśmy urwiska, od których kręciło się w głowie, a szczyty otulały gęste kłęby chmur. Nawałnica kazała stadom kóz i górskich świń pędzić nieprzytomnie po zboczach

i zdarzało się, że zwierzęta przebiegały tuż przed maską naszego samochodu. Potem, kawałek dalej, okazało się, że płynąca wyżej rzeka, która wystąpiła z brzegów, zaczęła zalewać drogę, i dzieci podniosły wrzask, kiedy przez jedno z lekko uchylonych okien do auta wdarła się woda. Niebo zrobiło się czarne, jakby zapadła noc, choć było dopiero przedpołudnie. Przed nami zobaczyłem majaczący w strugach deszczu budynek, a w nim światła. Niesamowite, ale była to stojąca przy samej drodze górską gospoda. Zatrzymaliśmy się na parkingu, wypadliśmy z samochodu i zasłaniając głowy kurtkami, popędziliśmy do drzwi niskiego kamiennego budynku i otworzyliśmy je gwałtownie. W środku było całkiem przyjemnie. Dla znajdujących się tam ludzi musieliśmy stanowić niezwykle widok: dzieci całe w krwawiących rankach po ugryzieniach komarów, cała nasza rozczochrana i przemoczona do suchej nitki trójka. W głównej sali siedziała co najmniej trzydziestoosobowa grupa skautek, wszystkie w identycznych mundurkach: granatowa spódnica i bluzka, granatowy beret i zawiązany w węzeł żółty krawat. Śpiewały piosenkę po francusku, kilka akompaniowało na jakichś małych instrumentach. Po koszmarze nadmorskiego miasteczka, nawałnicy i szalonych kozach przyjąłem ten osobliwy obrazek bez zdziwienia. Szczerze mówiąc, jedną z rzeczy, które przydarzyły mi się w tamte wakacje i które jak sądzę, nie zmieniły się od tamtej pory, było to, że po raz pierwszy nabrałem poczucia, iż widzę prawdziwy obraz, i nie musiałem zadawać sobie pytania, czy to jest właśnie to, co spodziewałem się ujrzeć. Kiedy wracam myślami do dalszej przeszłości, zwłaszcza do lat mojego małżeństwa, wydaje mi się, że razem z żoną patrzyliśmy na świat przez soczewkę uprzedzeń, przez obiektyw o długiej ogniskowej, dzięki któremu utrzymywaliśmy nienaruszalny dystans wobec otoczenia – dystans zapewniający nam pewnego rodzaju bezpieczeństwo, ale też tworzący przestrzeń dla złudzeń. Chyba nigdy nie odkryliśmy prawdziwej natury tych rzeczy, którym się przyglądaliśmy, tak jak nigdy nie groziło nam, że odczujemy ich oddziaływanie; zerkaliśmy na nie, na ludzi i miejsca, tak jak marynarze spoglądają na przesuwający się obok stały ląd, i gdybyśmy zobaczyli, że mają kłopoty, albo gdyby oni zorientowali

się, że znaleźliśmy się w tarapatach, żadne z nas, ani my, ani oni, nie potrafiłoby temu zaradzić.

– Być może pod wpływem tego rodzaju przemyśleń poczułem nagle przemożną potrzebę porozmawiania z żoną i zapytałem właścicielkę gospody, czy mógłbym skorzystać z telefonu. Skautki – które należały do jakiejś organizacji religijnej, chyba dość popularnej we Francji, i które jak się pochwały, wybrały się na pieszą wycieczkę po okolicy – zrobiły nam tymczasem miejsce na ławach przy wielkim drewnianym stole i radośnie wróciły do śpiewania, a za oknami lały się strugi deszczu. Oberżystka pokazała mi, gdzie znajdę telefon, i spytała, czy zrobić gorącą czekoladę dla dzieci. W swej dobroci wręczyła mi jeszcze tubkę środka dezynfekującego na ranki po ugryzieniach. Poszedłem do kabiny, wybrałem numer telefonu do nowego ateńskiego mieszkania mojej żony i z zaskoczeniem usłyszałem męski głos. Oznajmiłem, że chcę rozmawiać z Chrystą, a kiedy przejęła słuchawkę, opowiedziałem jej wszystko o naszym kłopotliwym położeniu: że zgubiliśmy się w górach, że rozpętała się okropna nawałnica, że dzieci są przestraszone i pogryzione przez komary i że wątpię, abym poradził sobie w tej krytycznej sytuacji. Zamiast zareagować ze zrozumieniem i troską, żona milczała. Cisza trwała zaledwie kilka sekund, ale w tym czasie, kiedy moja żona nie odzywała się i tym samym niejako odmawiała wejścia w swoją rolę w naszym dozgonnym duecie, zrozumiałem, całkowicie i ostatecznie, że Chrysta i ja nie jesteśmy już małżeństwem i że wojna, w którą się wplątaliśmy, nie jest po prostu bardziej gorzką wersją dotychczasowego dożywotniego zobowiązania, lecz czymś dużo bardziej nikczemnym, mającym na celu zniszczenie, unicestwienie, nieistnienie. Przede wszystkim wymagało to milczenia: do tego, uświadomiłem sobie, prowadziły wszystkie moje rozmowy z Chrystą, do tej ciszy, która do końca pozostanie nieprzerwana. Nawet jeśli akurat tym razem ją przerwała. Na pewno jakoś sobie poradzisz, brzmiały jej słowa. Po chwili rozmowa się zakończyła.

– Wracając do dzieci po tej wymianie zdań – powiedział Paniotis – odczułem tak zdumiewający brak pewności siebie, że zakręciło mi się

w głowie. Pamiętam, że przytrzymałem się drewnianego blatu stołu i długo nie mogłem go puścić, a dokoła mnie śpiewały skautki. Potem, po jakimś czasie, poczułem na plecach wyraźne ciepło, podniosłem głowę i zobaczyłem grube, żółte promienie słońca przenikające przez szybki w ołowianych ramkach. Skautki wstały i spakowały instrumenty. Burza minęła; właścicielka gospody otworzyła drzwi, żeby wpuścić słońce do środka. I wyszliśmy wszyscy na zewnątrz, na zmoknięty, mieniący się świat; stanąłem z dziećmi przy aucie, cały się trząsałem i patrzyłem, jak gromada skautek oddala się marszowym krokiem, pogwizdując, aż w końcu znika z oczu. W tym widoku najbardziej uderzyło mnie to, że skautki nie wydawały się ani trochę zagubione, nie zaniepokoiła ich nagła zmiana pogody, nie czuły też lęku przed górami. Żadnej z tych rzeczy nie traktowały osobiście. Na tym właśnie polegała różnica pomiędzy nimi a mną i w tamtym czasie była to naprawdę ogromna różnica.

– Tego ostatniego wieczoru, spędzonego wspólnie w tej restauracji – ciągnął – córka przypominała mi o spacerze, na który wybraliśmy się później tego samego dnia po ulewie. Nie zapamiętała hotelu i nawałnicy ani nawet skautek, ale przechowała w pamięci zejście do wąwozu Lusios, na które zdecydowaliśmy się, mijając znak drogowy wskazujący kierunek do doliny. W wąwozie stał klasztor, który od dawna chciałem zwiedzić. Tak więc zostawiliśmy samochód na poboczu i ruszyliśmy ścieżką w dół. Pamiętała schodzenie w promieniach słońca, wysokie wodospady, dzikie orchidee, które zrywała po drodze, a także przycupnięty na samym skraju niezwykłego jaru klasztor, gdzie poproszono ją o włożenie jednej z brzydkich długich spódnic uszytych ze starych zasłon i trzymanyh w koszu przy drzwiach razem z kulkami na mole – dopiero wtedy pozwolono jej wejść do środka. Jedynym negatywnym wspomnieniem tego dnia, powiedziała, była konieczność włożenia tej okropnej, cuchnącej spódnicy.

– Kiedy wracaliśmy na górę – opowiadał Paniotis dalej – słońce prażyło tak mocno, a ranki po ugryzieniach komarów zaczęły tak nieznośnie swędzieć, że całą trójką zrzuciliśmy ubrania

i wskoczyliśmy do jednej z głębokich, wydrążonych przez wodospad sadzawek, nie bacząc, że znajdujemy się blisko szlaku i że w każdej chwili może nas zobaczyć jakiś wędrowiec. Jakaż zimna była ta woda, jak niesamowicie głęboka, odświeżająca i czysta – unosiliśmy się na powierzchni, a słońce ogrzewało nam twarze i ciała dryfujące jak trzy białe podwodne pędy. Wciąż nas tam widzę – powiedział – ponieważ były to tak bardzo intensywne chwile, że w pewnym sensie zawsze będziemy nimi żyli, podczas gdy o innych rzeczach dawno i całkiem zapomnimy. Nie wiąże się z nimi jednak żadna szczególna historia – dodał – choć mają swoje miejsce w opowieści, którą się z wami podzieliłem. Czas spędzony na pływaniu w sadzawce pod wodospadem nigdzie nie należy, nie jest częścią żadnego następstwa zdarzeń, jest wyłącznie samym sobą, gdy tymczasem nic w naszym wcześniejszym życiu jako rodziny nie było po prostu sobą i niczym więcej, zawsze prowadziło do kolejnego zdarzenia, to zaś do następnego, a wszystkie wносиły coś do opowieści o tym, kim jesteśmy. Kiedy się rozwiedliśmy z Chrystą, rzeczy przestały łączyć się w ten sposób, choć przez lata starałem się, aby wyglądało, że nadal się łączą. Nie było wszakże dalszego ciągu czasu spędzonego w sadzawce i nigdy nie będzie. I tak moja córka wyjechała do Ameryki śladem brata. Oboje oddalili się od rodziców najbardziej, jak tylko mogli. Oczywiście, że mi smutno – zakończył – ale nie mogę udawać i twierdzić, że postąpili niesłusznie.

– Paniotisie – wykrzyknęła Angeliki – co też opowiadasz! Że twoje dzieci wyemigrowały z powodu rozvodu rodziców? Mój drogi, obawiam się, że błędnie uważasz się za aż tak ważnego. To ambicje i pragnienia dzieci decydują o pozostaniu bądź wyjeździe, bo przecież dzieci mają własne życie. Nie wiadomo, skąd wzięło się w nas przekonanie, że jeśli powiemy choć jedno słowo nie na miejscu, trwale odcisniemy na dzieciach piętno, ale to naturalnie bzdura, zresztą niby czemu ich życie miałoby być doskonałe? Zadręcza nas własne wyobrażenie doskonałości, tkwi ono, głęboko zakorzenione, w naszych pragnieniach. Moja matka, na przykład, uważa, że bycie jedynakiem to największe nieszczęście. Po prostu

nie jest w stanie zaakceptować faktu, że mój syn nie będzie miał rodzeństwa, i obawiam się, że dałam jej do zrozumienia, iż nie wynika to z wyboru, bo chyba chciałam uniknąć nieustannego poruszania tego tematu. Tylko że ona wiecznie opowiada mi o tym albo tamtym lekarzu, o którym słyszała i który potrafi zdziałać cuda; któregoś dnia przysłała mi wycinek z gazety o Greczynce, która urodziła dziecko w wieku pięćdziesięciu trzech lat, oraz liścik – napisała w nim, żebym nie traciła nadziei. Natomiast dla mojego męża to, że nasz syn będzie dorastał bez rodzeństwa, jest najzupełniej normalne, ponieważ sam jest jedynakiem. Dla mnie, gdybym urodziła więcej dzieci, byłaby to, rzecz jasna, katastrofa: zostałabym całkowicie pochłonięta, pograżyłoby mnie to, tak jak pograża wiele innych kobiet. Zadaję sobie pytanie, dlaczego matka chce, abym została pochłonięta, akurat kiedy mam ważną pracę do zrobienia, kiedy nie byłoby to w moim interesie i równałoby się, jak mówię, katastrofie, i odpowiadam, że jej pragnienie nie dotyczy wcale mnie, lecz jej samej. Na pewno nie chciałyby, żebym uważała się za kiepską matkę tylko dlatego, że nie mam szóstki dzieci, a jednak jej zachowanie mogłoby wzbudzić we mnie dokładnie takie odczucia.

– Te dławiące nas aspekty życia – mówiła dalej – dość często są projekcjami pragnień naszych rodziców. Nierzadko bezkrytycznie wchodzimy w rolę na przykład żony i matki, jak gdyby pchała nas ku temu jakaś zewnętrzna siła. Tymczasem kobieca kreatywność, rzecz, w którą kobieta wątpi i którą zawsze poświęca w imię innych spraw – a nie przychodzi jej do głowy, żeby poświęcić, dajmy na to, względy swojego męża bądź syna – jest jej własną inwencją, wynika z wewnętrznego przymusu. Podczas pobytu w Polsce powiedziałam sobie, że zacznę postrzegać życie w mniej sentymentalny sposób, i jeżeli jest coś, czego żałuję w związku z powieścią, to tego, że sytuacja materialna moich bohaterów jest tak korzystna. Myślę, że gdyby było inaczej, książka wyszłaby poważniejsza. W czasie, który spędziłam z Olgą, pewne rzeczy zostały dla mnie niejako wydobyte na światło dzienne, tak jak wraz z obniżaniem się poziomu rzeki na znajdujące się dotąd pod wodą przedmioty zaczyna padać światło.

Uświadomiłam sobie, że całe nasze postrzeganie życia jako romansu – a nawet samo pojęcie miłości – jest wizją, w której sfera materialna odgrywa zdecydowanie zbyt ważną rolę, i że bez niej może się okazać, iż pewne emocje osłabną, inne zaś zostaną uwypuklone. Bardzo mnie pociągała surowość Olgi – ciągnęła – surowość jej życia. Kiedy opowiadała o związku ze swoim mężem, brzmiało to tak, jakby opisywała części silnika i wyjaśniała, jak działają albo nie działają. Nie było w tym krzty romantyzmu, żadnego ukrytego, niedostępnego dla wzroku elementu. Dlatego ani trochę nie byłam zazdrosna o jej męża. Za to kiedy zaczęła mówić o dzieciach, o tym zdjęciu, które trzymały pod poduszką, naraz zdałam sobie sprawę, że jestem zła, tak jak dawniej gniewałam się na moje siostry i brata, kiedy matka poświęcała im więcej uwagi niż mnie. Byłam zazdrosna o dzieci Olgi; nie chciałam, żeby kochały ją w taki sposób, żeby wywierały na nią taki wpływ. Zaczęłam bardziej współczuć mężowi, traktowanemu jak silnik samochodu. A potem powiedziała mi, że kiedyś mąż ich opuścił, zostawił rodzinę, nie mógł już bowiem znieść tego braku czułości, odszedł i zamieszkał oddzielnie. Kiedy wrócił, wrócili też do dawnego życia. Czy nie była zła na niego, spytałam, za to, że ją opuścił, składając na jej barki opiekę nad dziećmi? Nie, przeciwnie, ucieszyła się, gdy go zobaczyła. Jesteśmy zupełnie szczerzy wobec siebie, dodała, dlatego wiedziałam, że skoro wrócił, to znaczy, że pogodził się z sytuacją. Próbowałam wyobrazić sobie – powiedziała Angeliki – jak wygląda to małżeństwo, w którym nie trzeba niczego obiecywać ani za nic przeproszać i w którym nie trzeba kupować kwiatów drugiej osobie ani gotować dla niej specjalnych posiłków, ani zapalać świec, żeby stworzyć miłą atmosferę, ani rozwiązywać problemów z wyjazdami na wakacje; albo raczej takie, w którym można żyć razem prosto i uczciwie, obywając się bez tych wszystkich rzeczy. I wciąż wracałam do tematu dzieci, do tego zdjęcia, które trzymały pod poduszką, bo to wskazywało, że Olga jednak grzeszy sentymentalizmem, jest zdolna do romantycznych uniesień, tyle że są to romantyczne uniesienia matki i dzieci – no ale skoro stać ją było na takie uniesienia, to czemu nie na inne? Przyznałam się

Oldze, że jestem zazdrosna o jej dzieci, których przecież nie znam, na co odparła: to oczywiste, Angeliki, że nie dorostaś i że właśnie dlatego możesz być pisarką. Uwierz mi, powiedziała, masz wielkie szczęście: kiedy ojciec mojej córki odszedł, widziałam, jak błyskawicznie zaczęła dorastać. W tym okresie, wyjaśniła, nabrała niezwyklej wrogości do mężczyzn. Opowiedziała mi, jak pewnego dnia poszła z córką do muzeum w Warszawie i kiedy dotarły do religijnego malowidła przedstawiającego Salome trzymającą uciętą głowę Jana Chrzciciela, dziewczynka wydała radosny okrzyk. Innym razem Olga udzieliła jej nagany za jakąś pogardliwą uwagę o płci przeciwnej, a wtedy córka stwierdziła, że nie widzi potrzeby istnienia mężczyzn. Po co są mężczyźni, rzuciła, wystarczyłyby matki i dzieci. Olga uznawała swoją częściową odpowiedzialność za poglądy córki, ale szczerą prawdą była taka, że nigdy nie zostawiłaby swoich dzieci, tak jak zrobił to ich ojciec, choć przecież na pewno je kochał; sama jednak zwyczajnie nie byłaby zdolna do czegoś takiego, nie potrafiła wszakże ustalić, czy różnica ta wynika z różnic biologicznych, czy też jest po prostu konsekwencją kształtowania zachowań. Gdyby pani znalazła się w podobnej sytuacji, powiedziała mi Olga, postąpiłaby pani tak samo. – Angeliki zawiesiła głos. – Odparłam, że przeciwnie, moim zdaniem syn jest bardziej swojego ojca niż mój. Zaprotestowała, że to niemożliwe, chyba że mężczyźni i ich autorytet darzę wyjątkowo dużym szacunkiem. Roześmiałam się na to: ja miałabym żywić nadmierny szacunek dla męskiego autorytetu? Mimo to od tamtej pory często, z oczywistych powodów, zastanawiałam się nad słowami Olgi – przyznała Angeliki. – Bohaterka mojej powieści jest rozdarta: z jednej strony chce być wolna, a z drugiej ma poczucie winy z powodu dzieci. Pragnie tylko, aby jej życie stanowiło jedną całość, żeby przestało być niekończącą się serią przeciwności, które z każdej strony mieszają jej szyki. Jednym z rozwiązań było, oczywiście, nakierowanie namiętności mojej bohaterki na dzieci, tam gdzie nie wyrządzi żadnej krzywdy; i takie wyjście w końcu wybiera. Ja jednak czuję inaczej – zakończyła Angeliki, poprawiając wspaniałą szarą materię rękawów.

Do naszego stolika podszedł kelner. Jak się okazało, godziny pracy restauracji dobiegły końca. Angeliki wstała, zerknęła na swój srebrny zegareczek i oznajmiła, że tak przyjemnie było jej w naszym towarzystwie, że zupełnie straciła poczucie czasu. Rano musi wcześniej wstać, ma wywiad w telewizji.

– Było mi bardzo miło panią poznać – powiedziała, podając mi dłoń. – Paniotis, jak sądzę, wolałby mieć panią tylko dla siebie, ale bardzo nalegałam, żeby skoro już pani przyjechała, też wziąć udział w tym spotkaniu. Zapamiętam naszą rozmowę – dodała, ściskając koniuszki moich palców. – Może spotkamy się znowu, w kobiecym gronie, kiedy następnym razem zawitam do Londynu.

Otworzyła torebkę, wyjęła z niej wizytówkę i wręczyła mi ją. Zawirowała sukienką, błysnęła srebrnymi obcasami i wyszła. Za oknem mignęła mi jej twarz, znów w uderzający sposób zachmurzona, rozpogodziła się jednak, kiedy Angeliki uchwyciła moje spojrzenie przez szybę i podniosła dłoń w geście pożegnania.

– Odprowadzę cię do mieszkania – odezwał się Paniotis – jeśli pozwolisz.

Kiedy ruszyliśmy ciemnym, rozgrzanym chodnikiem w kierunku pulsującej światłami i nieustannym szumem samochodów głównej ulicy, powiedział, że Angeliki jest na niego zła, ponieważ podjął się redakcji antologii literatury greckiej, w której nie uwzględniono jej twórczości.

– Próżność – powiedział – to przekleństwo naszej kultury; albo może po prostu to ja uparcie nie chcę uwierzyć – dodał – że artyści to też ludzie.

Odparłam, że w sumie polubiłam Angeliki, choć najwyraźniej zapomniała, że już się poznałyśmy. Kilka lat wcześniej wygłosiłam w Atenach odczyt, ona i jej mąż byli wtedy wśród publiczności. Paniotis wybuchnął śmiechem.

– To była inna Angeliki – stwierdził. – Angeliki, która przestała istnieć i została wykreślona z podręczników historii. Angeliki, słynną pisarkę, feministkę światowej sławy, spotkałaś właśnie po raz pierwszy w życiu.

Kiedy dotarliśmy do wejścia do mojego budynku, Paniotis spojrzął

na przerysowane postaci w oknie kawiarni: na wciąż śmiejącą się kobietę i na przystojnego mężczyznę, ciągle z fałszywą skromnością mrużącego oczy.

– Przynajmniej są szczęśliwi – skwitował Paniotis. Otworzył teczkę, wyjął kopertę i wcisnął mi ją do ręki. – To pozostaje twoją prawdą – powiedział. – Niezależnie od tego, co się wydarzyło. Nie bój się na to patrzeć.

VI

To była osobliwa grupa – niezła mieszanka, jak to ujął Ryan. Uważaj na tego dzieciaka z fryzurą à la Demis Roussos i meszkiem na twarzy, powiedział, gada jak najęty.

Pokój był mały i szary, miał jednak duże okna, z których roztaczał się widok na betonowy plac Kolonaki, gdzie ludzie siadali z gazetami na ławkach ustawionych w cieniu platanów otoczonych pokrytymi graffiti murkami. O dziesiątej rano odsłonięte obszary placu były wyludnione. Gołębie krążyły w niezbornym szyku po płytach chodnikowych i zawzięcie dziobały.

Studenci zastanawiali się, czy otworzyć okna, w pomieszczeniu było bowiem koszmarnie zimno i nikomu nie udało się rozszyfrować, jak skrócić klimatyzator. Pojawiły się też wątpliwości, czy należy zamknąć drzwi, czy włączyć światło i czy buczący komputer, z którego za pośrednictwem rzutnika padał na ścianę pusty niebieski prostokąt, będzie potrzebny, czy też można go wyłączyć. Zdążyłam zauważyć chłopaka, o którym wspomniał Ryan. Miał gęste, czarne, kręcone włosy do ramion i kielkujące na górnej wardze nieco jaśniejsze wąsy. Jeśli chodzi o pozostałych, to z początku było mi trudno ich ogarnąć. Wśród słuchaczy znajdowało się mniej więcej po równo mężczyzn i kobiet, ale próżno było szukać dwóch osób w podobnym wieku, podobnie ubranych i podobnego pochodzenia. Siedzieli przy dużym białym stole z laminowanym blatem, będącym w istocie kilkoma mniejszymi stołami, zsuniętymi i ustawionymi w kwadrat. W nijakim pomieszczeniu panowała atmosfera niepewności, niemal niepokoju. Przypomniałam sobie, że ci ludzie oczekują czegoś ode mnie; że choć mnie nie znają i są też obcy dla siebie nawzajem, przyszli tutaj po to, żeby zostać dostrzeżonymi.

Postanowiono, że okna będą otwarte, ale drzwi zamknięte, więc osoby siedzące najbliżej jednych i drugich wstały, żeby je pootwierać i pozamykać. Chłopak od Ryana zauważył, że trochę to

dziwne: otwierać okna w celu *ogrzania* pomieszczenia, no ale nauka wciąga nas w wiele takich odwrotności rzeczywistości, a niektóre z nich okazują się bardziej przydatne od pozostałych. Powinniśmy pogodzić się z tym, że czasem udogodnienia stwarzają niedogodności, powiedział, tak jak tolerujemy wady naszych bliskich: nie ma rzeczy doskonałych. Wielu jego rodaków, ciągnął, uważa, że klimatyzacja jest wysoce szkodliwa dla zdrowia, nawet powstał ogólnokrajowy ruch postulujący wyłączenie jej w biurach i budynkach użyteczności publicznej, powiedzmy: koncept powrotu do natury, który sam w sobie jest pewnego rodzaju perfekcjonizmem, choć oznacza, że wszystkim ma być bardzo gorąco; i którego, zakończył wręcz radosną nutą, jedynym skutkiem może być ponowne wynalezienie klimatyzacji.

Sięgnęłam po kartkę i długopis i narysowałam figurę w kształcie stołu, przy którym wszyscy siedzieliśmy. Poprosiłam studentów, razem dziesięcioro, o podanie swoich imion i zapisałam każde w odpowiednim miejscu przy kwadracie. Następnie poleciłam, żeby opowiedzieli o czymś, na co zwrócili uwagę w drodze na zajęcia. Zapadła długa, szeleszcząca cisza: studenci odchrząkiwali, przekładali leżące przed nimi materiały albo patrzyli przed siebie obojętnym wzrokiem. Potem, po tym okresie przejściowym, odezwała się młoda kobieta imieniem, zerknęłam na rysunek, Sylvia. Najpierw rozejrzała się po kolegach, najwidoczniej po to, aby się upewnić, że nikt inny nie przejmie inicjatywy. Z jej powściągliwego, zrezygnowanego uśmiechu wywnioskowałam, że często przeżywa takie sytuacje.

– Wsiadając z pociągu – powiedziała – zauważyłam stojącego na peronie człowieka, który trzymał na ramieniu małego białego pieska. Mężczyzna był wysoki i ciemny – dodała – a piesek śliczny. Miał kędzierzawą sierść, białą jak śnieg, siedział na ramieniu pana i rozglądał się.

Ponownie zapadła cisza. Po chwili drobny i bardzo schludny mężczyzna – rysunek podpowiedział mi, że nosił imię Theo – ubrany w elegancki garnitur w prążki, podniósł rękę, zgłaszając chęć zabrania głosu.

– Dziś rano – powiedział – kiedy w drodze do metra przechodziłem przez plac przed moim budynkiem, na jednym z betonowych murków okalających plac zobaczyłem damską torebkę. Była duża i wyglądała na bardzo drogą. Zrobiono ją z lśniącej czarnej, lakierowanej skóry, miała złoty zatrask. Stała sobie, otwarta, na murku. Rozejrzałem się w poszukiwaniu osoby mogącej być jej właścicielką, ale plac był całkiem pusty. Przyszło mi do głowy, że może właścicielkę napadnięto, a torebkę opróżniono i wyrzucono, ale kiedy podszedłem i zajrzałem do środka – bo klamerka była odpięta, a górna część torebki rozchylna, tak że mogłem obejrzeć wewnątrz bez dotykania – okazało się, że wszystko nadal jest na swoim miejscu: skórzany portfel, komplet kluczy, puderniczka, szminka, a nawet jabłko, które jak sądzę, właścicielka zabrała ze sobą w charakterze przekąski. Stałem tak dłuższą chwilę, chcąc się przekonać, kto zgłosi się po zgubę, a kiedy nikt się nie zjawił, po prostu poszedłem do metra, bo inaczej spóźniłbym się na zajęcia. Jednakże idąc na stację, uświadomiłem sobie, że powinienem był zanieść torebkę na komisariat.

Theo zamilkł, najwyraźniej jego opowieść dobiegła końca. Inni natychmiast zasypali go gradem pytań. Skoro dotarło do niego, że powinien był odnieść torebkę na policję, to czemu po nią nie wrócił? Jeśli się bał, że się spóźni, to dlaczego nie zostawił jej na przechowanie w pobliskim sklepie albo choćby kiosku, albo przynajmniej nie poprosił o to jakiegoś przechodnia? Mógł przecież nawet zabrać torebkę ze sobą i w dogodniejszej chwili zadzwonić, gdzie trzeba – lepsze to, niż zostawić ją tam, gdzie każdy mógł ją ukraść! Theo siedział z założonymi rękami i łagodnym wyrazem drobnej, zadbanej twarzy. Po dłuższym czasie, kiedy pytania przycichły, odezwał się ponownie:

– Byłem już na drugim końcu placu – powiedział. – Odwróciłem się, bo właśnie przyszła mi do głowy myśl o komisariacie, i wtedy ujrzałem młodego policjanta, dokładnie w połowie drogi pomiędzy mną a torebką, która wciąż leżała na murku. Zbliżał się do uliczki, na której końcu można pójść tylko albo w prawo – w moją stronę – albo w lewo – prosto do torebki. Wiedziałem, że jeśli skręci

w prawo, zostanę pozbawiony wyboru i będę musiał poinformować go o zgubie, przez co zapłacę się w papierkową robotę i co za tym idzie, stracę mnóstwo czasu. Na moje szczęście – zakończył – policjant skręcił w lewo. Widziałem, jak podchodzi do torebki, tak samo jak ja wcześniej, rozgląda się i zerka do środka, a potem podnosi ją, zabiera ze sobą i odchodzi.

Grupa nagrodziła tę historię gromkimi brawami, których Theo wysłuchał z niezmiennym łagodnym uśmiechem na twarzy. Ciekawa sprawa, powiedział długowłosey chłopak – Georgeou, przeczytałam na rysunku – że opowieść może być zaledwie szeregiem zdarzeń, w których jak nam się zdaje, bierzemy udział, lecz na które w rzeczywistości nie mamy zupełnie żadnego wpływu. Jeśli chodzi o niego, to nie zauważył niczego w drodze na zajęcia. Zresztą notorycznie nie zauważa rzeczy, które go nie dotyczą, ponieważ uważa skłonność do beletryzacji własnych przeżyć za zdecydowanie niebezpieczną: wpaja nam ona przekonanie, iż ludzkim życiem rządzi jakiś zamysł i że uważamy się za ważniejszych, niż w istocie jesteśmy. Przywiózł go ojciec, po drodze odbyli bardzo ciekawą rozmowę na temat teorii strun, następnie Georgeou wysiadł z auta, wszedł po schodach i znalazł się w tym oto pomieszczeniu.

– Na pewno to nieprawda – odezwała się siedząca obok skonsternowana dziewczyna – że nie istnieje historia życia; że egzystencja każdego człowieka nie ma odrębnej postaci, która ma swój początek i pewnego dnia będzie miała koniec, ma własną tematykę, zdarzenia i obsadę. Opowie o sobie: po drodze minęła otwarte okno, z którego sączyły się dźwięki pianina – ktoś ćwiczył wprawki. W budynku, jak się okazało, mieściła się szkoła muzyczna, podobna do tej, z którą sama rozstała się dwa lata wcześniej, żegnając się z nadzieją na zostanie profesjonalnym muzykiem. Rozpoznała utwór jako fugę d-moll z *Suit francuskich* Bacha, a że zawsze ją lubiła, kiedy niespodziewanie usłyszała muzykę, ogarnęło ją przemożne poczucie straty. Jak gdyby muzyka, która dawniej była jej własnością, przestała do niej należeć; jak gdyby odmówiono jej dostępu do piękna kompozycji; jak gdyby musiała oglądać ją, gdy ta znalazła się w posiadaniu kogoś innego, i ponownie przeżywać

cały smutek własnej niemożności – z wielu powodów – pozostawiania w tamtym świecie. Na pewno, powiedziała, inna osoba, przechodząc pod tym oknem i słysząc fugę d-moll, poczułaby coś zupełnie innego. Sama z siebie muzyka wypływająca z budynku nic nie znaczy i niezależnie od tego, jakie emocje się z nią wiążą, nie sprawiły one przecież, że w ogóle zaczęto ją grać, ani też nie otworzyły okna, dzięki czemu przechodnie mogli usłyszeć dźwięki. Nawet ktoś stojący po drugiej stronie ulicy i przyglądający się zdarzeniom, powiedziała, nie domyśliłby się, wnioskuje tylko z tego, co widzi i słyszy, jaka historia się tu rozgrywa. Zobaczyłby przechodzącą dziewczynę i jednocześnie usłyszał muzykę dolatującą z wnętrza budynku.

– No więc właśnie – odparł Georgeou, podnosząc palec i szczerząc zęby – dokładnie tyle się wydarzyło!

Dziewczyna – zerknęłam: Clio – miała dwadzieścia kilka, najwyżej trzydzieści lat, ale wyglądała dziecinnie, ciemne włosy związała w prosty koński ogon, a jej blada, ziemista twarz była nieumalowana. Nosila tunikę bez rękawów, która wzmacniała otaczającą ją aurę prostoty. Wyobraziłam ją sobie, mniszkę w pokoju do ćwiczeń, jak zdumiewająco szybko przebiera palcami po czarnych i białych klawiszach. Posłała Georgeou nieruchome, bierne spojrzenie, najwyraźniej przewidując, iż ów ma znacznie więcej do powiedzenia.

Na szczęście, ciągnął Georgeou, istnieje ta nieskończona rzecz zwana możliwością oraz równie pożyteczna rzecz o nazwie prawdopodobieństwo. Mamy doskonały przykład w postaci szkoły muzycznej, czyli miejsca zajmującego się, jak zapewne mniema większość ludzi, kształceniem zawodowych muzyków. Większość ludzi ma też, jego zdaniem, pewne wyobrażenie na temat tego, jak wygląda zawodowy muzyk, i rozumie, że w tej profesji prawdopodobieństwo niepowodzenia równe jest prawdopodobieństwu odniesienia sukcesu. Dlatego też, słysząc muzykę dobiegającą z budynku, większość wyobraziłaby sobie grającego jako osobę podejmującą wspomniane ryzyko, a także kogoś, czyj los potoczyć się może dwoma podstawowymi torami,

realnymi dla przeciętnego człowieka.

– Innymi słowy – powiedział Georgeou – mógłbym wyprowadzić pani opowieść z samych tylko faktów oraz z własnego doświadczenia, które jest jedyną rzeczą znaną mi na pewno; w tym wypadku, co najważniejsze, byłoby to doświadczenie związane z niepowodzeniem, na przykład nieumiejętnością zapamiętania konstelacji półkuli południowej, co nieodmiennie mnie martwi. – Założył ręce na piersi i spojrzał na mnie przybitym wzrokiem.

Zapytałam Georgeou, ile ma lat, na co odparł, że w zeszłym tygodniu skończył piętnaście. W prezencie urodzinowym ojciec kupił mu teleskop, który rozstawili na płaskim dachu kamienicy i przez który Georgeou mógł przyglądać się niebu, zwłaszcza obserwować fazy księżyca, tym bowiem interesował się szczególnie. Cieszę się, stwierdziłam, że dostał prezent dający dużo satysfakcji, ale chyba czas posłuchać, co inni mają do powiedzenia. Pokiwał głową i poweselał. Chciałby tylko dodać, powiedział, że zna fugę d-moll z *Suit francuskich* Bacha – ojciec kiedyś puścił mu nagranie; i że zawsze uważał tę kompozycję za dość optymistyczną.

Na to odezwała się osoba siedząca obok niego.

– Muzyka – powiedziała sennym, onirycznym głosem. – Muzyka to zdrajczyni tajemnic, zdradliwa nawet bardziej niż sny, te bowiem mają choć tę zaletę, że są prywatne.

Kobieta, która to powiedziała, prezentowała się wspaniale, acz ekscentrycznie, miała pięćdziesiąt kilka lat i zniszczoną urodę, z którą obnosiła się istic po królewsku. Natura tak uwydatniła kości jej twarzy, że przybrały wygląd niemal groteskowy, którą to cechę podkreślała – moim zdaniem zdecydowanie celowo i dowcipnie – otaczając swoje wielkie niebieskie oczy oceanem egzotycznych odcieni niebieskiego i zielonego oraz rysując na powiekach, niezbyt starannie, jeszcze jaśniejszą obwódkę w kolorze źrenic; jej wystające kości policzkowe nosiły ślady maźnięcia różem, a usta, niezwykle mięsiste i wydęte, były grubo i niedokładnie pociągnięte czerwoną szminką. Miała ogromne ilości złotej biżuterii i sukienkę, też niebieską, z marszczonego szyfonu, odsłaniającą ramiona i szyję, których skóra była brązowa i pokryta drobnymi zmarszczkami. Jej

imię, jak wynikało ze ściągawki, brzmiało Marielle.

– Na przykład – podjęła wątek po długiej przerwie, wodząc wielkimi niebieskimi oczami po otaczających ją twarzach – dopiero kiedy usłyszałam, jak mój mąż śpiewa pod prysznicem *L'amour est un oiseau rebelle*, zorientowałam się, że jest mi niewierny. – Znów zamilkła. Zamknęła mięsiste usta, z trudem chowając w nich wyjątkowo okazałe, wystające przednie zęby, jak gdyby chciała je nawilżyć. – Wykonywał, ma się rozumieć, partię Carmen – ciągnęła – choć myślę, że nawet nie zauważył swojego błędu, a jeśli już, to nie przejął się nim. Nigdy nie miał cierpliwości do szczegółów, jest bowiem człowiekiem pełnym kontrastów, który nie lubi zatrzymywać się na faktach. Ze swojego punktu widzenia śpiewał po prostu z czystej radości, tak mu bowiem było dobrze być sobą w naszym mieszkaniu tamtego słonecznego poranka, kochanka siedziała w ukryciu na drugim końcu miasta, on zaś brał prysznic w swojej trawertynowej złotej kabinie, w której trzyma kilka bardziej odpornych na wilgoć dzieł sztuki, a także kawałek fryzu partenonńskiego, wciąż uważany za zaginiony, i używa go jako mydelniczki. Korzystał z nowego, niedawno zainstalowanego wysokociśnieniowego natrysku i z ręczników sprowadzonych aż od Saksa z nowojorskiej Piątej Alei, które otulają cię niczym ramiona matki i sprawiają, że masz ochotę znów zasnąć.

– Byłam w kuchni – powiedziała. – Wyciskałam pomarańcze. Zrobiłam sobie pyszne śniadanie, wzięłam najdojrzalszego melona, jakiego udało mi się znaleźć na targu, i plasterek świeżego sera, który kupiłam u kobiety wypasającej swoje piękne kozy na zboczu góry nieopodal Delf – i wtedy usłyszałam tę pieśń. Od razu wiedziałam, co to znaczy. Idiota, pomyślałam, czy musi tak wrzeszczeć, żebym słyszała go aż w kuchni? Ja, jedyna, która wie, co mogło sprawić, że ta mydlana opera zdrady przyszła mu do głowy, i on, zgarniający główną rolę, tak jak zawsze zgarniał to, co najlepsze z mojego talerza, po prostu wyciągał rękę i brał wszystko, co wpadło mu w oko, nawet jeśli zostawiłam to sobie na sam koniec. Dlaczego nie mógł trzymać gęby na kłódkę? W dodatku zanim zdążyłam zjeść moje piękne śniadanie, które teraz zaczeka na blacie,

nietknięte, aż on wyjdzie spod prysznic: wiedziałam, że wtedy jego szczęście osiągnie pełnię.

Przerwała, żeby zatknąć za ucho kosmyk ufarbowanych na jasnożółty blond włosów, i zanim znów się odezwała, najpierw zwilżyła usta.

– Umówiłam się – powiedziała – że dziś rano po drodze na zajęcia wstąpię do niego do biura, żeby porozmawiać o kwestiach finansowych, w których zresztą zawsze się zgadzamy. Brak rozwagi u mojego męża dorównuje mojemu całkowitemu brakowi mściwości. Jako mężczyzna – westchnęła – ma bardzo dobry gust, co dla mnie zawsze było swego rodzaju męką, ponieważ jestem dobrą uczennicą i nie potrafiłam powstrzymać się przed gruntownym poznaniem jego upodobań do tego stopnia, że wiem, czego będzie chciał, zanim sam tego zapragnie, a w kwestii kobiet rozwinęłam wręcz proroczy zmysł, niemal tak silny, że patrzę na nie jego oczami i czuję jego pożądanie. W końcu nauczyłam się więc przymykać oczy; i gdybym tylko tamtego poranka w kuchni pamiętała też o zamknięciu uszu, być może nadal patrzyłabym na swój talerz i odkrywała, że jakimś sposobem zniknął z niego najładniejszy i najsmaczniejszy kąsek.

– Dziś, kiedy wjechałam szklaną windą na trzynaste piętro, na którym mieści się biuro mojego męża, okazało się, że wszystko tam się zmieniło. Zrobiono gruntowne przemeblowanie, kolorem przewodnim nowego wystroju jest biały, a ponieważ mój mąż jest mężczyzną lubiącym skrajności, najwyraźniej uznał, że wszystko, co nie jest białe – włączając w to niektórych ludzi – należy usunąć. Dlatego nie zastałam już Marthy, mojej serdecznej przyjaciółki, a jego sekretarki, na stałym miejscu przy dużym oknie, za biurkiem, gdzie trzymała pudełko z lunchem, zdjęcia swoich dzieci i parę butów na płaskim obcasie, i gdzie siadałyśmy, żeby pogadać, a wtedy mówiła mi wszystko, co musiałam wiedzieć, i nic z tego, o czym wiedzieć nie potrzebowałam – Martha zniknęła, aczkolwiek mąż zapewnił mnie, że wcale nie pozbyto się jej, tylko dano oddzielny, obszerny gabinet w głębi biura, tam gdzie nie będzie rzucała się w oczy gościom. Na jej dawnym miejscu pod oknem, w całobiałym świetle, najbardziej kojarzącym mi się z tamtym

porankiem w kuchni i plastrem świeżego, białego koziego sera, który musiałam zostawić na talerzu, siedziała nowa dziewczyna. Była, rzecz jasna, ubrana na biało i miała skórę bladą jak albinos; jej włosy też były białe, z wyjątkiem jednego długiego kosmyka, który wyrastał z głowy niczym pióro i miał barwę – jedyny akcent kolorystyczny w całym biurze – jasnego błękitu. W windzie, w drodze na dół, zachwycałam się geniuszem tego człowieka. Przy okazji, kiedy byłam u niego, ukradkiem, jak kieszonkowiec wyciągający portfel, zdołał wymusić na mnie obietnicę wybaczenia i odesłał mnie lżejszą, choć biedniejszą, z obrazem niebieskiej smugi sterczącym z moich myśli jak piórko z kapelusza żebraka.

Marielle zamilkła, unosząc wysoko pomarszczoną twarz i patrząc przed siebie wielkimi, mieniącymi się oczami. To dziś typowe, zauważył mężczyzna siedzący po jej lewej stronie, że młodzi ludzie wykorzystują swój wygląd, aby szokować innych albo wzbudzać w nich niepokój. Sam widział – zresztą na pewno wszyscy widzieliśmy – fryzury dużo bardziej niezwykłe niż ta opisana przez Marielle, już nie wspominając o tatuażach i kolczykach, czasem z pozoru jaskrawych i agresywnych, lecz zarazem kompletnie nic niemówiących o swoich właścicielach, będących nierzadko ludźmi wyjątkowo miłymi i potulnymi. Długo nie potrafił tego zaakceptować, jest bowiem człowiekiem z natury krytycznym i skłonny do doszukiwania się znaczenia współmiernego do wyglądu, a także obawiającym się tego, czego nie rozumie; i choć wciąż właściwie nie pojmował, dlaczego ludzie decydują się na samookaleczanie, to jednak nauczył się nie wyciągać z tych praktyk zbyt daleko idących wniosków. Jeśli już, to postrzegał tego rodzaju zewnętrzną skrajność jako odzwierciedlenie odpowiadającej jej bezmiarami wewnętrznej pustki, daremności, będącej, o czym był przekonany, skutkiem braku zaangażowania w jakiś sensowny system wierzeń. Jego rówieśnicy – a miał zaledwie dwadzieścia cztery lata, choć, z czego zdawał sobie sprawę, wyglądał na więcej – w większości okazywali zdumiewającą obojętność wobec toczących się obecnie debat religijnych i politycznych. Jednakże w jego przypadku polityczne uświadomienie okazało się przebudzeniem

całokształtu wrażliwości, pozwoliło mu odnaleźć własną drogę przez świat, dało coś, z czego mógł być dumny, lecz zarazem przemyciło pewien trudny do wytłumaczenia niepokój, niemal poczucie winy.

Na przykład dziś rano, idąc tutaj, przeciął tę część miasta, gdzie zeszłego lata – jak wszyscy pamiętają – miały miejsce manifestacje, w których z dumą wziął udział razem ze swoimi politycznymi przyjaciółmi. Pokonał dokładnie tę samą trasę co rok wcześniej, przemierzył nieodwiedzane od tamtej pory ulice i poczuł wywołany wspomnieniami przypływ emocji. W pewnej chwili znalazł się w alejce, wzdłuż której po obu stronach stały budynki przypominające wypalone skorupy. Przez pozbawione szyb okna mógł zajrzeć do pustych, zniszczonych wewnątrz, okopconych i upiornych, i nadal ze śladami zniszczenia, nikt bowiem przez ten rok nie doprowadził ich do porządku. Nie potrafił sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach budynki zostały podpalone, ale stało się to pod wieczór, a języki ognia było widać w całym Atenach. Serwisy informacyjne pokazywały unoszące się nad miastem kłęby dymu i obraz ten powędrował w świat. Był to, przyznał mężczyzna, element radosnego podniecenia tamtego wieczoru, a także – o czym był przekonany – pewny sposób na to, aby sygnał od demonstrantów został zauważony. Teraz jednak, oglądając wymarłe ruiny, czuł jedynie wstyd, tak głęboki, że wydawało mu się, iż słyszy głos matki, która pyta go, czy naprawdę właśnie on jest odpowiedzialny za cały ten bałagan, bo tak mówią ludzie i sama już nie wie, czy ma im wierzyć, więc niech jej powie, jak było.

Jako dziecko, ciągnął – na imię miał, jak wynikało z rysunku, Christos – był bardzo nieśmiały i niezdarny, tak bardzo, że matka postanowiła zapisać go na zajęcia z tańca, żeby tam nabrał pewności siebie. Zajęcia, na które chodziły okoliczne dzieci, dziewczęta i w mniejszej liczbie chłopcy – sami barbarzyńcy – odbywały się w pobliskiej sali i były dla Christosa tak wielką męczarnią, że nawet dziś niełatwo mu o tym opowiadać. Nie chodzi jedynie o to, że miał nadwagę i czuł się źle ze swoją fizycznością, tylko o to, że bał się wystawienia na widok publiczny, strach zaś

w niewyjaśniony sposób kazał mu się w takich sytuacjach przewracać. To było jak zawrót głowy, powiedział, taki sam jak ten, który osoby z lękiem wysokości pcha do skoku; po prostu nie potrafił znieść, kiedy na niego patrzono, a żądanie, żeby dodatkowo tańczył, można porównać do nakazu balansowania na rozpiętej wysoko linii, w której to czynności lęk przed upadkiem staje się do tego stopnia wszechobecny, że w końcu doprowadza do tragedii. I rzeczywiście, upadał, wielokrotnie i boleśnie, upokorzony młócił powietrze pośród wirujących stóp rówieśników, jak wieloryb wyrzucony na brzeg, i był tak wielkim pośmiewiskiem, że instruktorka tańca w końcu poczuła się zmuszona zaproponować, by jednak przestał uczęszczać na zajęcia, i dopiero wtedy pozwolono mu zostać w domu.

– Wyobraźcie sobie zatem moje przerażenie – powiedział – kiedy, gdy wreszcie na studiach dołączyłem do grupy świetnych, zaangażowanych, podobnie myślących ludzi, jakich zawsze chciałem mieć za przyjaciół, nagle odkryłem, że najważniejszym ich hobby i najlepszą rozrywką, największą miłością – zaraz po polityce – jest taniec. Co wieczór zapraszali mnie na tańce, a ja, oczywiście, odmawiałem. Moja najbliższa towarzyszka w tym gronie, Maria, dziewczyna, z którą prowadziłem najbardziej namiętne dyskusje o polityce, dziewczyna, z którą dzieliłem się wszystkim, nawet miłością do krzyżówek, których razem rozwiązywaliśmy kilka dziennie – nawet ona była zawiedziona moją odmową uczestnictwa w tym traumatycznym dla mnie zajęciu. Zaufaj mi, mówiła, tak jak wcześniej moja matka, zaufaj mi, spodoba ci się. Nabrałem w końcu przekonania, że jeśli nie zacznę tańczyć, stracę przyjaźń Marii, i jednocześnie poczułem pewność, że kiedy Maria zobaczy, jak tańczę, i tak ją utracę. Nie było wyjścia, więc pewnego wieczoru zgodziłem się pójść z nimi do klubu, do którego zawsze chodzili. Było zupełnie inaczej, niż się spodziewałem, ponieważ miejsce to nie miało nic wspólnego ze współczesnością, lecz wystrojem i muzyką nawiązywało do lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Chodziło się tam w odpowiednim stroju i tańczyło w stylu zwanym lindy hop. Widząc to, przeraziłem się jeszcze bardziej. Ale być może –

powiedział – najlepszym sposobem na spojrzenie własnemu strachowi w oczy jest, że tak powiem, przebranie go w kostium; przetransponowanie go, ponieważ prosta czynność transpozycji bardzo często ma działanie unieszkodliwiająca. Człowiek pozbywa się nawyków – chciałoby się powiedzieć: ograniczeń – swojej osobowości i usposobienia. Naraz znalazłem się na parkiecie – opowiadał Christos – trzymając Marię za rękę, przekonany, że za chwilę się przewrócę, a jednak kiedy zabrzmiała muzyka – radosna melodia, której nie sposób się oprzeć i której do dziś nie potrafię słuchać bez ukłucia melancholii i poczucia, że uchodzi ze mnie z wątpienie – okazało się, że nie tylko się nie przewracam, ale wręcz wzlatuję, lecę coraz wyżej, kręcę się dokoła, tak szybko i wysoko, że zdaje mi się, jakbym w tym locie opuścił własne ciało.

Zadzwoił leżący przede mną na stole telefon. Numer mojego młodszego syna. Odebrałam i powiedziałam, że oddzwonię później.

– Zgubiłem się – usłyszałam w słuchawce. – Nie wiem, gdzie jestem.

Trzymając telefon przyciśnięty do piersi, oznajmiłam grupie, że mam sytuację awaryjną, nic wielkiego, ale jednak zrobimy krótką przerwę. Wysłałam na korytarz i stanęłam przy tablicy ogłoszeń, na której wisały listy, anonse i biuletyny: mieszkania do wynajęcia, usługi kserograficzne, zbliżające się koncerty. Zapytałam syna, czy widzi jakąś tabliczkę z nazwą ulicy.

– Poszukam – odparł.

Słyszałam oddech mojego syna, a w tle odgłosy ulicy. Po chwili podał mi nazwę, na którą zareagowałam pytaniem, jak, u licha, się tam znalazł.

– Próbuję dostać się do szkoły – powiedział.

Chciałam wiedzieć, dlaczego nie poszedł trasą, którą mu wyznaczyłam; czemu nie poszedł ze swoim kolegą Markiem i jego matką.

– Mark nie idzie dzisiaj do szkoły – oznajmił. – Bo jest chory.

Kazałam mu zawrócić i cofnąć się tą samą drogą. Miał wymieniać nazwy wszystkich mijanych ulic, a kiedy dotarł do właściwej, poleciłam mu skrócić w nią i iść cały czas prosto. Po kilku minutach

dyszenia w słuchawkę i rytmicznych kroków na chodniku wreszcie usłyszałam mojego syna:

– Widzę – powiedział. – Widzę budynek, już w porządku, widzę budynek.

– Masz jeszcze kilka minut – powiedziałam, zerkając na zegarek i obliczając, która jest godzina w Anglii. – Zdążysz odsapnąć przed lekcją. – Przypomniałam mu, któreś ma wrócić do domu, i życzyłam miłego dnia.

– Dzięki – rzucił.

Grupa w sali siedziała tak, jak ją zostawiłam, z wyjątkiem jednej studentki, bardzo tęgiej, z wyglądu delikatnej młodej dziewczyny w okularach o grubych czarnych oprawkach, która jadła jakiś niezwykle aromatyczny pasztecik; jego mięsny zapach wręcz zapierał dech. Trzymała go od spodu przez papierową torebkę, żeby nie nakruszyć, i powoli gryzła wierzch. Obok niej siedział młody mężczyzna, szczupły, smagły i krępy, całkowite przeciwieństwo dziewczęcej miękkości i bezkształtności. Podniósł rękę i zaraz ją opuścił. Po drodze na zajęcia, powiedział cicho, wyraźnie – zerknęłam do notatek, by sprawdzić jego imię: Aris – po drodze na zajęcia minął rozkładające się na poboczu zwłoki psa, groteskowo spuchnięte i spowite całunem czarnych much. Brzęczenie usłyszał już z daleka, dodał, i zastanawiał się, co to takiego. Dźwięk był groźny i zarazem osobliwie piękny, o ile nie znało się jego źródła. Nie pochodzi z Aten, ciągnął, ale w stolicy mieszka jego brat, który pozwolił mu zatrzymać się u siebie na tydzień. Mieszkanie jest bardzo małe. Sypia na kanapie w pokoju służącym również jako kuchnia. Śpi z głową przy lodówce, na której drzwiach umieszczono magnesy, siłą rzeczy więc dobrze je poznał; jest wśród nich jeden plastikowy w kształcie nagiego biustu, odlany tak prymitywnie, że sutek prawej piersi wyraźnie zezuje; tę dysharmonię Aris kontempluje przez wiele godzin, leżąc na sofie. Jego brat pierze ubrania w zlewie kuchennym, po czym rozwiesza je w całym pokoju; pracuje w biurze, toteż codziennie potrzebuje czystej koszuli. Na wszystkich krzesłach, na półkach i parapetach wiszą schnące koszule. Kształt przedmiotów, na których się suszą, odciska się na

nich jak matryca. Zwrócił na to uwagę, leżąc na kanapie.

Dziewczyna obok skończyła pasztecik i zajęła się składaniem papierowej torebki w zgrabny kwadracik; palcami wygładzała zagięcia. Wreszcie podniosła wzrok, napotkała moje spojrzenie i natychmiast z miną pełną skruchy odłożyła papierowy kwadracik na stół. Na imię ma Rosa, powiedziała, i nie jest pewna, czy może zabrać głos. Nie wie, czy dobrze zrozumiała zadanie. W każdym razie to, co chce powiedzieć, różni się od opowieści pozostałych i pewnie nie będzie się liczyło, ale trudno, nic innego nie umie wymyślić. Po drodze na zajęcia nie zauważyła właściwie nic szczególnego, zdarzyło się tylko tyle, że przeszła obok parku, do którego kiedy była mała, babcia zabierała ją popołudniami. Znajdował się tam niewielki plac zabaw, a na nim huśtawka, na której babcia ją bujała. Dziś rano zobaczyła ten plac, mijając park, zobaczyła też huśtawkę i przypomniała sobie babcię i przyjemne wspólne popołudnia. Zamilkła. Podziękowałam jej, spojrzała na mnie łagodnie spoza czarnych oprawek.

Godzina prawie dobiegła końca. Siedząca naprzeciw mnie kobieta, której zaskoczona twarz znajdowała się dokładnie pod tarczą wiszącego na ścianie zegara, tak że w moim postrzeganiu te dwa kształty złączyły się, zlały w jedno do tego stopnia, że prawie o niej zapomniałam, powiedziała, że ciekawe dla niej było uświadomienie sobie, jak niewiele elementów obiektywnego świata zauważa. Jej świadomość jest na tym etapie życia – kobieta miała czterdzieści trzy lata – tak bardzo zagracona wspomnieniami, zobowiązaniami, marzeniami, informacjami i nadmiarem codziennych obowiązków – nie tylko jej własnymi, ale również innych ludzi, zebranymi przez lata słuchania, rozmawiania, wczuwania się i zamartwiania – że obawia się, iż większość granic oddzielających te liczne rodzaje ładunku umysłowego, różnice między nimi, rozpadnie się, zamaże, aż ona przestanie wiedzieć, co stało się z nią samą, a co z ludźmi, których znała, i wręcz straci pewność tego, co prawdziwe, a co nie. Dziś, dajmy przykład, wcześniej rano zadzwoniła do niej siostra – obie kiepsko sypiają, dlatego często rozmawiają o tej porze – żeby opowiedzieć

o wieczorze spędzonym z mężem u znajomej, która zaprosiła ich na kolację. Znajoma niedawno rozbudowała i odnowiła sobie kuchnię i największą atrakcją pomieszczenia uczyniła ogromny, wpuszczony w sufit szklany panel, dzięki któremu kuchnia wydaje się przestronniejsza i widniejsza, prawie jak katedra.

– Moja siostra – powiedziała – pogratulowała znajomej powalającego efektu, ta zaś przyznała, że podpatrzyła rozwiązanie u innej znajomej, która kilka miesięcy wcześniej też zrobiła remont kuchni. Potem wydarzyło się coś okropnego. Znajoma znajomej zaprosiła na kolację znaczną liczbę gości. Na krótko przed ich przybyciem zauważyła maleńkie pęknięcie w szkłe, jak gdyby coś małego, lecz ostrego spadło na nie z góry. Zdenerwowała się, bo panel sporo kosztował, a ponieważ składał się z jednej tafli szkła, uznała, że nie będzie miała innego wyjścia, jak tylko wymienić go w całości, mimo iż uszkodzeniu uległ niewielki przecież obszar. Goście przybyli i zajęli miejsca przy stole. Tymczasem nad Atenami rozpętała się straszna burza. Grupa przyjaciół siedziała i jadła kolację pod szklanym panelem, a z nieba lały się potoki deszczu. Podziwiali dźwiękowe i wizualne efekty towarzyszące rozpryskiwaniu się wody na szkłe, kiedy nagle cała konstrukcja z hukiem i trzaskiem zwała im się na głowy; najwidoczniej rysa osłabiła strukturę panelu do tego stopnia, że ten nie zdołał utrzymać ciężaru wody.

Kobieta umilkła.

– Proszę pamiętać – podjęła po chwili – że usłyszałam tę opowieść od siostry, przez telefon, i że nie dotyczyła jej ona bezpośrednio. Ponieważ nikomu, o dziwo, nic się nie stało, nie da się opowiadać tej historii wyłącznie po to, żeby zaszokować słuchaczy. Wydarzenia nie miały również nic wspólnego ze znajomą mojej siostry, tyle tylko, że obie zamówiły sobie podobny sufit. Usłyszałam tę opowieść zatem niejako z trzeciej ręki, a mimo to wydaje mi się ona równie rzeczywista, jakbym sama brała udział w zdarzeniach. Nie mogłam się od niej uwolnić przez cały poranek. Tak jak większość ludzi, codziennie za pośrednictwem gazet i telewizji stykam się z okropnymi wypadkami, niemal zawsze dużo gorszymi niż ten,

o którym opowiedziałam, toteż zastanawiam się, dlaczego akurat to wydarzenie zagnieździło się w mojej głowie pośród moich własnych wspomnień i doświadczeń, tak że z trudem je od nich odróżniałam. Mam do czynienia głównie z przedstawicielami klasy średniej, moi znajomi często odnawiają swoje domy, ja zresztą też to robię, i zapraszają przyjaciół na kolację. Różnica jest jednak taka, że ludzie, o których mowa w opowieści, wydają się nieco bardziej, hm, wielkopańscy niż moi znajomi, tych bowiem w większości nie byłoby stać na szklany panel w suficie, choć na pewno chcieliby go mieć. Moja siostra obraca się w odrobinę wyższych kręgach niż ja i jest to źródłem tarć w stosunkach między nami. Przyznaję, że trochę zazdroszczę jej życia towarzyskiego i tego, jakich ludzi poznaje, i czasami myślę, że mogłaby bardziej się postarać, aby wprowadzić mnie do tego ciekawszego świata, który sama zamieszkuje.

– Drugi powód – ciągnęła – ma związek z opowieścią samą w sobie oraz z mikroskopijną skazą na szkle, która doprowadziła do zawalenia się całej konstrukcji pod naciskiem stricte fizycznym – wody – a także tym bardziej zagadkowym i nieuchwytnym – ludzi siedzących pod panelem, którzy podziwiali go w przeświadczeniu, że ów wytrzyma. Kiedy jednak nie wytrzymał, stał się przyczyną niewyobrażalnych szkód i zniszczeń, wręcz narzędziem zła, dla mnie zaś istotna jest symbolika następstw zdarzeń. – Milczała przez chwilę. Nad jej głową drżący sekundnik wędrował wokół tarczy zegara. Zerknęłam na swój rysunek, kobieta miała na imię Penelope. – Chciałabym – podjęła – móc znów patrzeć na świat bardziej niewinnie, chłodniej, ale nie wiem, jak to osiągnąć, chyba żebym pojechała w jakieś kompletnie nieznanne miejsce, w którym nie mam żadnej tożsamości i z którym nie łączą mnie żadne wspomnienia. Ale jak zrobić coś takiego i gdzie szukać takiego miejsca? Nie mam pojęcia. Już nie wspominając o związkach i obowiązkach – zakończyła – które doprowadzają mnie do szału i jednocześnie uniemożliwiają ucieczkę od nich.

Głos zabrali wszyscy członkowie grupy poza jednym: kobietą imieniem Cassandra, która jak zauważyłam, z każdą minutą robiła

się coraz bardziej skwaszona, dając wyraz swemu niezadowoleniu coraz bardziej ostentacyjnymi jęknięciami i westchnieniami, i która siedziała z rękami założonymi w nieustępliwym geście i kręciła głową. Zapytałam ją, czy chciałaby coś dodać, zanim zakończymy spotkanie, ale odparła, że nie. Najwyraźniej się pomyliła, stwierdziła: powiedziano jej, że zajęcia będą dotyczyły nauki pisania, co, o ile jej wiadomo, wiąże się z wykorzystywaniem wyobraźni. Nie wie, co moim zdaniem udało nam się dziś osiągnąć, i zresztą nieszczególnie ją to interesuje. Ryan, dodała, przynajmniej czegoś ją nauczył. Zamierza poprosić organizatorów o zwrot opłaty za kurs i nie omieszka wyrazić swojej opinii o nim. Nie wiem, kim pani jest, zwróciła się do mnie, wstając i zbierając swoje rzeczy, ale coś pani powiem: marna z pani nauczycielka.

VII

Mój sąsiad z samolotu spytał, czy znalazłam już czas na zwiedzanie. Ponownie siedzieliśmy w jego samochodzie i jechaliśmy hałaśliwą szosą do przystani; znów mieliśmy otwarte okna i rękawy koszuli mojego towarzysza znowu jak szalone łopotały na wietrze.

Odparłam, że byłam już kilka razy w Atenach i widziałam tutejsze atrakcje turystyczne, co wszakże nie wyjaśniało, dlaczego teraz na razie nie miałam chęci ich podziwiać. Był zaskoczony: nie wiedział, że jestem w Atenach częstym gościem. Sam regularnie jeździł na przykład do Londynu, ale jakoś nie przyszło mu do głowy, że może być też na odwrót. Kiedy ostatni raz tu byłam? Trzy lata temu, odpowiedziałam. Milczał przez chwilę, mrużąc małe oczy i wbijając spojrzenie w widnokrąg.

– Trzy lata temu – mruknął w zadumie. – Wtedy przeprowadziłem się do Aten.

Zapytałam, gdzie wcześniej mieszkał i dlaczego, na co odparł, że przez pewien czas żył i pracował w Londynie. Zaproponowano mu tam bardzo lukratywne zajęcie w banku, ciągnął, i choć szczególnie miał ochotę rezygnować ze swobody tutejszego życia, zwłaszcza z przejażdżek motorówką, to jednak czuł, że może to być jego ostatnia taka szansa. Poza tym Ateny wydawały mu się wówczas miastem jego porażek albo przynajmniej spraw, które dobiegły końca, i nie widział możliwości ich wznowienia. Prawdę mówiąc, był mocno zaskoczony tym, że zaoferowano mu tę pracę, powiedział, bo miał wtedy naprawdę niską samoocenę. Moment, w którym trzeba podjąć ważną decyzję, dodał, akurat kiedy człowiek sam nie wie, na co zasługuje, zawsze jest niebezpieczny. Znajomi najwyraźniej podzielali jego opinię, ponieważ wszyscy bez wahania zachęcali go do przyjęcia oferty. Ciekawe, jak ochoczo ludzie namawiają innych do zrobienia czegoś, co im samym nawet nie przyszłoby do głowy; z jakim entuzjazmem prowadzą ich do zguby.

Nawet tym najżyczliwszym i najtroskliwszym rzadko tak naprawdę leży na sercu twoja korzyść, albowiem przeważnie doradzają z pozycji bezpiecznego, zamkniętego życia, w którym ucieczka nie jest rzeczywistością, lecz po prostu czymś, o czym czasem marzą. A może, powiedział, jesteśmy wszyscy jak zwierzęta w zoo i kiedy widzimy, że jedno z nas przedostało się za ogrodzenie, krzyczymy do niego, żeby pędziło jak szalone, choć wiemy, że i tak się zgubi.

Powiedziałam, że kojarzy mi się to ze sceną z opery *Przygody Lisiczki Chytruski* – znalazłam jej nagranie w mieszkaniu Clelii i spodobała mi się. W tej opowieści myśliwy łapie lisiczkę i trzyma ją na podwórzu razem z innymi zwierzętami. Darowuje jej życie, ponieważ się w niej zakochał, pomimo jej agresywności, chce się o nią troszczyć, choć dla niej oznacza to niewolę. Lisiczkę jednak ciągnie do lasu, toteż pewnego dnia ucieka z gospodarstwa i wraca do swojego naturalnego środowiska. Tyle że zamiast swobody czuje strach; spędziwszy większość życia na farmie, zapomniała, co to znaczy być wolną. Mój sąsiad nie znał tej opery; on wszakże, powiedział, podszedł do perspektywy pracy w Londynie z odwrotnym fatalizmem, jak gdyby zaprzęgnięcie do kieratu było ceną, jaką w końcu miał zapłacić za wolność swojego życia. On, potomek playboyów i milionerów, miał wreszcie pójść w surową biurową niewolę. Sprzedał dom w Atenach, kupił niewielkie mieszkanie w drogiej dzielnicy Londynu i wyciągnął łódź na brzeg. Wtedy to jedyny raz, powiedział, w swojej dwudziestopięcioletniej historii łajba opuściła właściwy jej żywioł. Załatwił dla niej miejsce w magazynie w centrum Aten. Nadal trudno jest mu wyrazić, co czuł, patrząc, jak wyciągają motorówkę z wody, umieszczają ją na ciężarówce z platformą – jechał za nią przez całą drogę – i wreszcie grzebią w kontenerowym grobowcu w sercu miasta. Potem wyjechał do Londynu, czując, że czeka go taki sam los jak łódź.

Spytałam, co takiego wskrzesiło go po pochówku. Uśmiechnął się. Telefon, powiedział. Mijała jego druga zima w Londynie, tonął w ponurej, samotnej egzystencji, brnął w deszczu do biura i z powrotem, pracował w banku po osiemnaście godzin dziennie i późnym wieczorem, po powrocie do wyłożonego wykładziną

więzienia, pożywiał się daniami na wynos – wtedy pewnego dnia zadzwonił właściciel magazynu w Atenach, żeby poinformować go, że dokonano włamania i skradziono silnik motorówki. Mój sąsiad następnego dnia złożył wymówienie na ręce swojego szefa i wsiadł w samolot do Aten. Jakże odświeżające było przekonanie o słuszności podjętej decyzji. Niemal zdążył już bowiem uwierzyć, że jest człowiekiem bez żadnych konkretnych odczuć i poglądów, zwłaszcza po tym, jak historia jego miłości zawiodła go na bagno niepowodzeń, a jednak ten atak na jego własność tchnął w niego radość i życie, jak gdyby wygrał na loterii. Po raz pierwszy od lat wiedział, czego chce. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił po powrocie, było kupienie najlepszego silnika, jaki zdołał znaleźć, mimo iż ten był dużo mocniejszy, niż powinien.

Zbliżaliśmy się do przystani. Mój towarzysz zapytał, czy przed wypłynięciem nie miałabym ochoty zatrzymać się gdzieś na kawę albo drinka. Przecież nie musimy się spieszyć; mamy mnóstwo czasu. O ile dobrze pamięta, powiedział, gdzieś tu, blisko plaży niedawno otworzono nowy lokal. Zdjął nogę z gazu i jadąc powoli, przyglądał się przez przednią szybę zakurzonemu poboczu i szeregowi barów i restauracji, za którym leżała piaszczysta plaża, a za nią szumiało morze i fale przyboju. Nagle zjechał z drogi i zatrzymał się przed knajpą udekorowaną palmami w białych sześciennych żardynierach, z zastawionym białymi sześciennymi meblami tarasem z widokiem na morze. W tle grał jazz, w cieniu asymetrycznej białej markizy, przypominającej ogromny żagiel, między pustymi stolikami krążyli ubrani na czarno kelnerzy. Mój sąsiad zapytał, czy lokal mi odpowiada. Odparłam, że robi pozytywne wrażenie. Wyszliśmy z auta i zajęliśmy miejsca przy stoliku pod palmą.

Trzeba pamiętać, powiedział mój towarzysz, żeby przyjemnie spędzać czas; to ważne przykazanie, które w pewnym sensie stało się jego dewizą. Jego trzecia żona była do tego stopnia purytańska, że czasem miał wrażenie, iż żadnym sposobem nie nadrobi już lat, które z nią spędził. Problemom stawiała czoło bez znieczulenia, drobne przyjemności brała pod lupę i albo uznawała za zbędne, albo zapisywała – zawsze plus podatek, dodał – w książeczce

rachunkowej, którą wszędzie ze sobą nosiła. Nigdy nie spotkał kogoś, kto w bardziej oczywisty sposób byłby produktem swojego wychowania, w tym wypadku owocem pracy kalwińskiej rodziny owładniętej obsesją na punkcie oszczędności i unikania marnotrawstwa. Niemniej, przyznał, jego żona miała pewną słabość, mianowicie wyścigi Formuły 1, i czasem pozwalała sobie na przyjemność obejrzenia zawodów w telewizji; pochłaniały ją zwłaszcza chwile, w których zwycięzca marnuje szampana, spryskując nim wiwatujący tłum. Poznał ją, kiedy po drugim rozwodzie znalazł się na skraju załamania finansowego, i tak jej pieśń o skąpstwie na krótko stała się muzyką dla jego uszu. Na ślubie, zapytana przez przyjaciół, co takiego zobaczyła w swoim wybranku – przyznał, że to dobre pytanie – trzecia żona odparła, że uznała go za ciekawego człowieka.

Zatrzymał jednego z krążących kelnerów i zamówił dwie kawy. Przez chwilę, skryci w cieniu, przyglądaliśmy się ludziom na plaży, ich odsłoniętym, ale zamazanym gorącym powietrzem ciałom; wyglądali niemal pierwotnie, gdy tak leżeli półnaczy albo przemieszczali się niespiesznie na brzegu. Powiedziałam, że to chyba dobry powód, żeby się z kimś pobrać, na co mój towarzysz spojrzął ponuro na morze. Nie miała zielonego pojęcia o fizycznym aspekcie życia, powiedział, mimo że dobiegała czterdziestki, kiedy się poznali. Pociągała go jej czystość i prostota, jako kontrast z wyraźną seksownością drugiej żony, ale w istocie była osobą całkowicie pozbawioną romantyzmu, wyzbytą seksualności, a zakonne życie, które prowadziła przed ślubem – i do którego, o ile się orientował, powróciła po rozwodzie – nie wynikało z braku sposobności, lecz stanowiło wierne odzwierciedlenie natury tej kobiety. Intymny aspekt małżeństwa okazał się beznadziejną porażką, ponieważ gdy tylko poczęli dziecko, co stało się bardzo szybko, okazało się, że żona nie potrafi zrozumieć, po co dalej mieliby uprawiać seks. To był dla niego cios. Próbował się przed nim uchylić, ale pewnego wieczoru żona spytała go wprost, ile jeszcze razy będzie wymagał od niej uczestniczenia w tej czynności, którą w oczywisty sposób uważała za nieprzyjemną i do tego

niezrozumiałą, i po tym już stracił zapał.

Musiał jednak przyznać, że dzięki tej kobiecie po raz pierwszy i ostatni miał okazję zasmakować innego rodzaju związku, wręcz innego stylu życia, opartego na zasadach, na które nigdy nie zważał: przyzwoitości, równości, cnotcie, honorze, wyrzeczeniu oraz, rzecz jasna, gospodarności. Trzecia żona miała sporo zdrowego rozsądku, świetnie opanowane dyscyplinę, rutynę i zarządzanie domem, a finanse i zdrowie mojego sąsiada od lat nie były tak dobre. Dom był spokojny i świetnie prowadzony, przewidywalność zaś – zawsze jej unikał, zawsze, można wręcz powiedzieć, bał się jej – stała się nadrzędną zasadą ich życia. Przypominała mu matkę – tak też zresztą chciała, by ją nazywał, a do niego mówiła „ojcze”, ponieważ tak zawsze zwracali się do siebie jej rodzice, inaczej po prostu nie umiała. Dla niego był to, oczywiście, kolejny gwóźdź do trumny. Ale musiał też przyznać, że nigdy go nie wykorzystała, nie zachowała się niemądrze, nie była samolubna; była i jest wspaniałą matką dla ich syna, jedyne go spośród dzieci mojego sąsiada – znów musiał przyznać – którego mógłby opisać jako zrównoważonego chłopca. Nie starała się go zniszczyć w trakcie sprawy rozwodowej, wzięła na siebie część odpowiedzialności za to, co się stało, po to, by razem mogli poszukać najlepszego rozwiązania dla siebie i dla dziecka. Uświadomiłem sobie, powiedział, że całe moje rozumienie życia było w pewnym sensie głęboko antagonistyczne, historia mężczyzn i kobiet była dla mnie historią wojny, tak że zastanawiałem się czasem, czy nie doskwiera mi spokój i czy nie próbuję jątrzyć ze strachu przed nudą, strachu będącego, można powiedzieć, zarazem lękiem przed samą śmiercią. Kiedy się poznaliśmy, powiedziałem pani, że moim zdaniem za sprawą miłości – miłości pomiędzy mężczyzną i kobietą – odradza się szczęście, ale odradza się też zainteresowanie. Taka to była intryga, jak by to pani zapewne nazwała – uśmiechnął się. – I tak, powiedział, dzięki wszystkim cnotom mojej trzeciej żony odkryłem, że jednak nie potrafię wieść życia bez fabuły.

Zapłacił za kawę, machnięciem ręki, po krótkim, ale zauważalnym wahaniu, zbywszy moją propozycję, że dołożę się do

rachunku, i wstaliśmy. W samochodzie zapytał, jak mi poszły poranne zajęcia, więc opowiedziałam mu o kobiecie, która na mnie naskoczyła, o wzmagającym się we mnie przez całą godzinę poczuciu niezadowolenia i złości tej słuchaczki i o rosnącej pewności, że w którymś momencie zaatakuje. Słuchał z ponurą miną mojej szczegółowej relacji z tyrady, w której najgorsza, powiedziałam, była jej oziębłość, ona bowiem sprawiła, że poczułam się jak zero, jak nieistota, mimo iż jednocześnie ta kobieta poświęciła mi całą swoją uwagę. To odczucie, jak gdyby zanegowano moją istność i w tym samym czasie wystawiono mnie na widok publiczny, podziało na mnie szczególnie silnie. Tak jakby zawierało w sobie coś, co właściwie nie istnieje. Milczał w trakcie jazdy na przystań. Zatrzymał auto i wyłączył silnik.

– Dziś rano byłem w domu – powiedział. – Byłem w kuchni, wyciskałem sobie sok z pomarańczy i naraz poczułem – to było bardzo silne wrażenie – że dzieje się z panią coś niedobrego. – Patrzył przez przednią szybę na mieniącą się wodę, po której przesuwały się białe żaglówki. – To niezwykle – dodał – ten wyraźny sygnał, który odebrałem. Pamiętam, że nawet spojrzałem na zegarek: to musiało być dokładnie wtedy, kiedy wysyłałem do pani wiadomość z pytaniem, czy zechciałaby pani wybrać się ponownie na łódkę. Zgadza się? – Uśmiechnęłam się i powiedziałam, że to prawda, otrzymałam wiadomość mniej więcej w tym czasie. – To nadzwyczajne – powiedział. – Bardzo silne połączenie.

Wysiadł z auta i swoim odrobinę kaczym chodem ruszył w stronę wody. Pochylił się i wyjął kapiącą linę. Powtórzyliśmy porządek poprzedniego dnia: zaczekałam, aż mój gospodarz sklaruje pokład, a potem odtańczyliśmy uprzejmy *pas de deux*, w którym zamieniliśmy się miejscami, a lina przeszła z rąk do rąk. Kiedy wszystko było gotowe, włączył silnik i płynąc w pyrkocie, opuściliśmy miejsce cumowania, oddaliliśmy się od skwaru pomostu i parkingu, który w słońcu, odbijającym się od ciemnych szyb, wyglądał jak pole mieniących się metalowych opiłków. Płynęliśmy wolniej niż dzień wcześniej; nie wiem, czy przez wzgląd na mnie, czy też dlatego, że poprzednio zademonstrowawszy swoją siłę, mój

gospodarz tym razem mógł oszczędzić energię. Usiadłam z tyłu i znów miałam przed oczami jego obnażone plecy, wiatr hulał po pokładzie, a ja myślałam o osobliwych przejściach od oczarowania do rozczarowania i z powrotem, które wiszą nad ludzkimi sprawami jak zwały chmur, czasem złowieszcze i szare, innym razem odległe – nieprzeniknione kształty, które niby od niechcenia przysłoniły słońce i po chwili równie niefrasobliwie je ukazały. Mój sąsiad krzyknął ponad rykiem silnika, że właśnie mijamy przylądek i świątynię Sunion; według greckiej legendy z tutejszego klifu rzucił się do morza ojciec Tezeusza, gdy zobaczył, że okręt syna wraca do kraju z wciągniętym na maszt czarnym żaglem, i błędnie odczytał ten znak jako wiadomość o śmierci potomka. Spojrzałam i w oddali zobaczyłam zniszczoną świątynię; wyglądała jak połamany diadem na wzgórzu, tuż nad miejscem, w którym ląd opadał pionową ścianą do morza.

Pomieszanie komunikatów, powiedział mój sąsiad, kiedy zbliżyliśmy się do zatoczki i zwolniliśmy, to okrutny zabieg literacki, który miewa swój odpowiednik w życiu. Na przykład jego brat – odszedł przed kilkoma laty, wspaniały i wielkoduszny człowiek – zmarł na zawał, czekając na znajomego, żeby zjeść z nim lunch. Okazało się, że podał znajomemu – który zresztą był lekarzem – błędny adres, ponieważ niedawno wprowadził się do nowego mieszkania i nie zdążył jeszcze zapamiętać dokładnie, toteż w tym samym czasie, kiedy znajomy szukał jego domu przy ulicy o podobnej nazwie, ale na drugim końcu miasta, brat leżał na podłodze w kuchni i czuł, jak uchodzi z niego życie – życie, które bez trudu można było ocalić, gdyby tylko pomoc zdołała dotrzeć na czas. Reakcja starszego brata, szwajcarskiego milionera i samotnika, polegała na zainstalowaniu skomplikowanego układu alarmów w swoim mieszkaniu, bo choć był człowiekiem, który nigdy w życiu nie zapomniałby własnego adresu, należał też do ludzi nieutrzymujących znajomości i skąpych, dlatego nigdy nie zaprosił nikogo na lunch. I rzeczywiście: kiedy przysłała jego kolej – wysokie prawdopodobieństwo ataku serca wynikało z historii chorób w rodzinie – po prostu wcisnął najbliższy guzik alarmowy i w ciągu

kilku minut znajdował się już na pokładzie helikoptera i leciał do najlepszej genewskiej kliniki kardiologicznej. Czasem lepiej, powiedział mój gospodarz, mając na myśli również ojca Tezeusza, dla zasady nie przyjmować do wiadomości odmowy.

Odparłam, że ja przeciwnie, coraz bardziej wierzę w zalety bierności, w życie jak najmniej nacechowane uporem. Jeśli człowiek się postara, może niemal wszystko, ale samo staranie się prawie zawsze – jak mi się wydaje – świadczy o zawracaniu kijem rzeki, o kierowaniu zdarzeń na tory, którymi te wcale nie chcą biec, i choć można powiedzieć, że nie sposób niczego osiągnąć, jeśli czasem nie postąpi się wbrew naturze, to jednak sztuczności i skutków tego poglądu – mówiąc szczerze – po prostu nienawidzę. Istnieje ogromna różnica, powiedziałam, pomiędzy tym, czego chcę, a tym, co faktycznie mogę mieć, i dlatego postanowiłam, że zupełnie niczego nie będę pragnęła dopóty, dopóki na dobre nie pogodzę się z tym faktem.

Mój sąsiad długo milczał. Wprowadził łódkę do pustej zatoczki, gdzie morskie ptaki przysiadają na skałach i woda wirowała w wąskim przesmyku, i wyciągnął kotwicę. Pochylił się nade mną, żeby rzucić ją za burtę, i powoli poluzowywał linę, aż poczuł, że kotwica spoczęła na dnie.

– Naprawdę nie było nikogo? – spytał.

Był ktoś, odparłam. Zostaliśmy przyjaciółmi. Ale nie chciałam tego ciągnąć. Próbowałam znaleźć inny przepis na życie.

Kiedy się zatrzymaliśmy, upał się nasilił. Promienie słońca padały na szerokie siedzenie, które zajmowałam, a jedyny skrawek cienia znajdował się bezpośrednio pod daszkiem, gdzie z założonymi rękami stał mój sąsiad i opierał się o burtę. Dziwnie by to wyglądało, gdybym podeszła i stanęła obok niego. Czułam, jak piecze mnie skóra. Poruszył się, ale tylko po to, żeby zamknąć schowek, w którym trzymał kotwicę, i zaraz wrócił do poprzedniej pozycji. Domyśla się, powiedział, że nadal bardzo cierpię. Obcowanie ze mną przypomniało mu o wydarzeniach z jego życia, do których od dawna nie wracał myślami, i zmusiło do ponownego zmierzenia się z własnymi emocjami. Jego pierwsze małżeństwo,

powiedział, skończyło się w dniu dużego rodzinnego przyjęcia, na które zostali zaproszeni krewni z obu stron i które odbyło się w rodzinnym gnieździe na przedmieściach Aten, na tyle okazałym, że zdołało wszystkich pomieścić. Przyjęcie doskonale się udało, zjedzono i wypito wszystko, co podano, a kiedy goście wreszcie się rozjechali i posprzątało, mój zmęczony sąsiad położył się na kanapie i zdrzemnął. Jego żona krzątała się w kuchni, zmywając ostatnie naczynia, dzieci poszły się pobawić, w telewizji powoli rozkręcał się mecz krykieta i w samym środku tego ogólnego domowego zadowolenia mój sąsiad zapadł w głęboki sen.

Zamilkł na chwilę. Stał, opierając się o burzę. Pulchne, porośnięte siwymi włoskami i pokryte widoczną siecią żył ręce trzymał założone na piersi.

– Myślę – podjął wątek – że moja żona z premedytacją zrobiła to, co zrobiła. Że zobaczyła mnie śpiącego na kanapie i postanowiła przez zaskoczenie wycisnąć ze mnie przyznanie się. Podeszła do sofy i potrząsnęła mną, wyrывая z bardzo głębokiego snu. I zanim zdążyłem się zorientować, gdzie jestem, i miałem czas pomyśleć, zapytała mnie, czy mam romans. Oszłomiony nie potrafiłem udzielić zadowalającej odpowiedzi i choć, jak mi się wydaje, nie przyznałem się do niczego konkretnego, to jednak pozostawiłem wystarczająco dużo miejsca na wątpliwości, aby potwierdziły się podejrzenia mojej żony. To zdarzenie dało początek kłótni, która położyła kres naszemu małżeństwu i spowodowała, że wkrótce wyprowadziłem się z domu. Okazuje się – powiedział – że nadal nie potrafię jej wybaczyć tego, jak perfidnie wykorzystwała moją chwilową bezbronność, aby wydobyć ze mnie potwierdzenie czegoś, co właściwie miała już ułożone w głowie. Nadal czuję gniew. Myślę, że to nadało kształt wszystkiemu, co wydarzyło się potem: jej słusznemu oburzeniu, odmowie przyjęcia na siebie jakiegokolwiek winy za naszą sytuację, bezwzględności, z jaką potraktowała mnie podczas rozwodu. I oczywiście nikt – dodał – nie mógł powiedzieć, że postąpiła źle, budząc mnie z drzemki, mimo iż nie miała żadnego powodu, aby to robić, bez tego spałbym kilka godzin. Niemniej sądzę, jak już wspomniałem, że to właśnie ów podstępny czyn był

źródłem jej jadu, bo przecież ludzie zachowują się najmniej wielkodusznie, kiedy sami postąpili oszukańczo, jak gdyby za wszelką cenę pragnęli wymusić na tobie potwierdzenie własnej niewinności.

W milczeniu słuchałam tego wyznania, o ile w ogóle nim było. Odkryłam, że mój sąsiad mnie rozczarował, i odkrycie to sprawiło, że po raz pierwszy się go złąłam. Niektórzy, odezwałam się, mogą to uznać za nieco zbyt wyrachowane oskarżenie. Przynajmniej pana obudziła, dodałam, bo przecież równie dobrze mogła pana zatłuc na śmierć.

– To nic nie znaczyło – odparł, zbywając moją uwagę. – Głupota, biurowy flirt, który wymknął się spod kontroli.

Kiedy to mówił, na jego twarzy odmalowało się nieskrywane poczucie winy, i poczułam, jakby tu, na moich oczach, po latach ponownie rozgrywała się scena na kanapie. Zorientowałam się, że jest kiepskim łgarzem, toteż, mimo że nie takiej reakcji oczekiwałam, powiedziałam, że trudno mi nie solidaryzować się z jego żoną, matką jego dzieci. Wzruszył ramionami. Dlaczego miałby brać na siebie całą winę, powiedział, za to, że ich małżeństwo – które na dobrą sprawę rozpoczęło się już wtedy, gdy zaręczyli się jako nastolatki – stało się jeśli nie nudne, to na pewno wygodne aż do otępienia? Gdyby tylko wiedział, jakie będą konsekwencje... Zamilkł. Tak czy owak, coś takiego musiało się stać, przyznał. Potajemny romans, choć pozbawiony znaczenia, skusił go niczym widziane z oddali światła miasta. Znęciła go nie tyle ta konkretna kobieta, ile po prostu podniecające doświadczenie, perspektywa, która zdawała się – z daleka, jak wcześniej zaznaczył – wabić go swoją wielkością i jasnością, a także zapewniać anonimowość mogącą stanowić okazję do przefasonowania jego wizerunku, tak dobrze i zarazem tak słabo znanego żonie, a wcześniej rodzicom, rodzeństwu, wujom i ciotkom. Dążył do tego jaśniejszego świata – który wprowadzie w młodości błędnie uznał za dużo rozleglejszy, niż był w rzeczywistości – po to, ażeby uwolnić się od myśli o tym, co sądzą o nim inni. Związki z kobietami przyniosły mu więcej rozczarowań, niż był w stanie zliczyć. Część tego poczucia –

rozemocjonowania będącego zarazem odrodzeniem tożsamości – towarzyszyła mu zawsze, ilekroć się zakochiwał; i wbrew wszystkiemu, co się potem działo, były to dla niego najbardziej fascynujące chwile w życiu.

Powiedziałam, że zastanawia mnie, jak w tym, co od niego usłyszałam, mógł nie dostrzegać związku pomiędzy rozczarowaniem a tym, co się wie. Gdyby potrafił kochać to, czego nie wiedział, i być w zamian kochanym na tych samych zasadach, wówczas to, co wie, stałoby się nieubłaganym rozczarowaniem, na które jedynym lekarstwem byłoby zakochanie się w kimś nowym. Zapadło milczenie. Naraz ukazały mi się jego siwizna i starość, owłosione ręce założone nad wystającym brzuchem, wiszące w kroku kąpielówki, ptasie oblicze, niemal skamieniałe w lekko zdziwionym wyrazie. Cisza, w otoczeniu połyskującej wody i oślepiającego słońca, przedłużała się. Wyłowiłam plusk wody za burtą, usłyszałam ostre krzyki siedzących na skałach mew, od strony lądu doleciał do mnie niewyraźny dźwięk silników. Mój sąsiad uniósł głowę i wpatrzył się w morze, z podniesioną brodą przeczesywał widnokrąg. Dało się zauważyć pewną sztywność w jego zachowaniu, samoświadomość, jak u aktora mającego wygłosić ze sceny dobrze wszystkim znaną kwestię.

– Zadaję sobie pytanie – powiedział – dlaczego tak bardzo mnie pani pociąga.

Wypowiedział te słowa tak wzniosłym tonem, że nie zdołałam się powstrzymać i wybuchnęłam śmiechem. Wyglądał na zaskoczonego i dezorientowanego, ale mimo to przysunął się do mnie, wyszedł z cienia na słońce, krokiem ciężkim, acz niepowstrzymanym, niczym prehistoryczne stworzenie, które wyłania się z jaskini. Pochylił się, niezgrabnie omijając stojącą przy moich nogach przenośną lodówkę, i spróbował objąć mnie z boku, otoczył mnie jednym ramieniem i chciał zbliżyć swoją twarz do mojej. Czułam jego oddech, jego krzaczaste siwe brwi muskały moją skórę. Jego ptasi nos majaczył na skraju mojego pola widzenia, a szponiaste, porośnięte białym futerkiem dłonie wędrowały po ramieniu. Przez chwilę poczułam się osaczona jego siwością i suchością, jak gdyby ten prehistoryczny

stwór chował mnie w swoich nietoperzowych skrzydłach. Jego splekane, spierzchnięte usta nie trafiły do celu i zsunęły się na oślep na mój policzek. Przez cały ten czas siedziałam sztywno i patrzyłam prosto przed siebie na koło sterowe. Wreszcie stwór wycofał się z powrotem do cienia.

Powiedziałam, że muszę zejść ze słońca i chcę popływać. Pokiwałam niemo głową, przyglądając mi się. Wskoczyłam do wody i popłynęłam na drugi koniec zatoczki. Przypomniałam sobie rodzinę na łódce, która kotwiczyła w tym miejscu poprzednim razem, i poczułam dziwną nostalgię, ta zaś przerodziła się w tęsknotę za moimi dziećmi – wydały mi się tak bardzo odległe, wprost trudno było mi uwierzyć, że w ogóle istnieją. Płynęłam długo i daleko, ale w końcu zawróciłam i powoli weszłam po drabince na pokład. Mój gospodarz był czymś zajęty, rozwiązywał i poprawiał biegnące wzdłuż burty cienkie liny, do których były przymocowane koła ratunkowe. Stałam mokra na pokładzie i przyglądałam mu się. Ramiona, tam gdzie piekła mnie spalona słońcem skóra, osłoniłam ręcznikami. Mój sąsiad trzymał w ręku duży, czerwony, szwajcarski scyzoryk z długim ostrzem i z zapalem odcinał postrzępione końcówki sznurów, napinając mięśnie grubych ramion. Patrzyłam, jak ponownie zawiązuje liny, a potem rusza w moim kierunku, wciąż trzymając w dłoni nóż. Zapytał, czy dobrze mi się pływało.

Tak, odparłam. Dziękuję, że zadał pan sobie trud zabrania mnie w takie piękne miejsce. Powiedziałam też, że musi zrozumieć, że nie jestem zainteresowana związkiem z żadnym mężczyzną, ani teraz, ani być może nigdy. Słońce nieznośnie prażyło mi twarz. Dodałam, że najbardziej cenię sobie przyjaźń. Bawił się scyzorykiem, wyjmował i chował różne ostrza. Widziałam, jak stal pojawia się i znika między jego palcami, każdy lśniący fragment inaczej wyprofilowany: jedne długie, wąskie i proste, inne osobliwie zakończone, szpikulcami albo haczykami. Teraz jednak, powiedziałam, jeśli nie ma nic przeciwko temu, powinniśmy już wracać.

Powoli przechylił głowę. Oczywiście, powiedział, on też ma pewne sprawy do załatwienia. Gdybym tylko zechciała zaczekać, aż

nieco się ochłodzi. Kiedy wskoczył do wody i ruszył prosto przed siebie ciężkim, rwanym kraulem, gdzieś na pokładzie rozdzwonił się jego telefon. Dzwonił i dzwonił, a ja siedziałam na słońcu i czekałam, aż przestanie.

VIII

Moja przyjaciółka Elena była bardzo piękna; Ryan nie posiadał się z radości. Przechadzał się ulicą i przypadkiem wypatrzył nas w barze. Nie mam u niej szans, wyższa liga, powiedział, kiedy przeprosiła i wyszła zadzwonić. Miała trzydzieści sześć lat, była inteligentna i nienagannie ubrana. Jest z zupełnie innej bajki, dodał.

Bar znajdował się przy wąskiej uliczce, tak stromej, że krzesła i stoliki wciąż kiwały się na pochyłym chodniku. Chwilę wcześniej widziałam, jak jakaś kobieta – turystka – gibnęła się na krzesło i strącając przewodniki i torby z zakupami, wpadła tyłem w żardynierę, a jej mąż siedział zaskoczony na miejscu, chyba bardziej zażenowany niż zaniepokojony sytuacją. Na szyi miał lornetkę, a na nogach – które trzymał jak należy pod stolikiem, kiedy jego żona młóciła powietrze, leżąc w suchej kolczastej zieleni – pionierki. W końcu wyciągnął do niej pomocną dłoń ponad blatem, ale ponieważ nie mogła dosięgnąć mężowskiej ręki, musiała jakoś sama sobie poradzić.

Zapytałam Ryana, co dziś robił, i odpowiedział, że zajrzał do paru muzeów, popołudnie zaś poświęcił na spacer po Agorze, ale mówiąc szczerze, czuje się trochę zmęczony. Późno poszedł spać, bo spędził wczorajszy wieczór z grupą studentów. Zabrali go na rundkę po barach, przy czym jeden lokal od drugiego dzieliło dobre czterdzieści minut piechotą. Poczułem ciężar swoich lat, powiedział. Po prostu chciałem się napić i było mi obojętne gdzie i jak, a już na pewno nie musiałem tłuc się na drugi koniec miasta po to, żeby wlać w siebie alkohol, siedząc na kanapie w kształcie ust. No ale to fajni ludzie, dodał. Próbowali nauczyć go kilku słów po grecku – nie wiedział, czy dzięki nim zdoła cokolwiek załatwić, bo jego wymowa pozostawiała wiele do życzenia, ale i tak ciekawie było poczuć tutejszy klimat na poziomie werbalnym. Nie zdawał sobie sprawy,

jak wiele angielskich wyrażen ma swoje źródło w grece. Weźmy na przykład *ellipsis*, co jak się okazuje, można przetłumaczyć dosłownie jako „ukrywać się za ciszą”. Fascynujące rzeczy, powiedział.

Elena wróciła i usiadła z nami. Tego wieczoru jeszcze bardziej niż zwykle przypominała Lorelei: wydawała się zbudowana wyłącznie z falujących krągłości.

– Niedługo przyjdzie moja przyjaciółka – powiedziała. – Umówiłam się z nią tu niedaleko.

Ryan uniósł brew.

– Wybieracie się gdzieś?

– Spotykamy się z Melete – odparła Elena. – Znasz ją? To jedna z czołowych greckich poetek lesbijskich.

Ryan powiedział, że czuje się wykończony i chyba będzie musiał nas opuścić. Późno poszedł spać, jak już wspominał. Kiedy o trzeciej nad ranem wrócił do siebie, okazało się, że po całym mieszkaniu latają wielkie skarabeuszowate stworzenia, więc zanim się położył, musiał wybić wszystkie butem. Ktoś – nie on – zostawił włączone światło i otwarte okno. Jednocześnie zdumiało go, jak niewiele obeszła go ta radosna rzeź skrzydlatych skurczybyków; kiedy był młodszy, zanadto się bał w takich sytuacjach. Człowiek mężnieje, kiedy zostaje rodzicem, powiedział. Albo może po prostu traci się zahamowania. Poczłł to zeszłego wieczoru, bawiąc się w gronie dwudziestokilkulatków. Zdążył zapomnieć, jak bardzo bywają nieśmiali.

Zapadał szybki gorący zmierzch i wkrótce ciemność wypełniła wąskie ulice. Mężczyzna w pionierkach i jego żona zniknęli. Zadzwoił telefon. Ryan sięgnął po aparat i pokazał nam pulsujące na ekranie zdjęcie szeroko uśmiechniętego, bezzębego bobasa. Pewnie pora na dobranoc, powiedział; cześć wam. Wstał, machnął ręką i odebrał, schodząc ze wzniesienia. Elena uregulowała rachunek firmową kartą kredytową – była redaktorką w wydawnictwie i zasadniczo, powiedziała, mogłyśmy uznać nasze spotkanie za robocze – i poszłyśmy w górę, ku światłu i zgiełkowi głównej ulicy. Szła obok mnie, szybko i lekko stawiając stopy w sandałach na wysokim obcasie. Miała na sobie luźną dzianinową

sukienkę, kolorem dopasowaną do ciemnozłotych falujących włosów. Oglądali się za nią wszyscy mężczyźni, których mijaliśmy, wszyscy co do jednego. Przecięliśmy plac Kolonaki, o tej porze pusty, jeśli nie liczyć paru ciemnych, skulonych na ławce ludzkich kształtów. Na betonowym murku siedziała kobieta o nogach poplamionych zaschniętym błotem i jadła krakersy z paczki. W pobliżu stał przy kiosku mały chłopiec i wpatrywał się w batoniki. Skręciłyśmy w jedną z alejek i wyszłyśmy na zatłoczony skwer tętnący gwarem rozmów gości wypełniających tarasy restauracji znajdujących się z każdej strony placu; w ciemności ich twarze jaśniały od elektrycznego oświetlenia. Upał, hałas i owo światło w mroku tworzyły atmosferę jednostajnego rozemocjonowania, będącego niczym nieustannie przełamująca się fala, i choć restauracje wydawały się nie do odróżnienia, Elena minęła kilka lokali i zatrzymała się przed kolejnym, z pozoru takim samym jak poprzednie. To tutaj, oznajmiła; Melete powiedziała, żebyśmy wzięły stolik i czekały na nią. Przecisnęła się między gośćmi i zaczęła kelnera, który stał nieprzejezdny niczym policjant i zaczął kręcić głową, kiedy Elena go zagadnęła.

– Mówi, że mają komplet – przekazała mi zawiedziona; ramiona jej opadły.

Była tak przygnębiona, że nie ruszyła się z miejsca; stała między stolikami i wpatrywała się w gości, jak gdyby chciała zmusić ich wzrokiem do ustąpienia miejsca. Kelner, widząc to przedstawienie, najwyraźniej zmienił zdanie: znalazły się, oznajmił, wolne miejsca, o ile nie przeszkadza nam – tłumaczyła Elena – siedzenie w kącie. Zaprowadził nas do stolika, który Elena obrzuciła takim spojrzeniem, jakby mimo wszystko się rozmyśliła. Trochę za blisko ściany, zwróciła się do mnie. Myślisz, że tu będzie dobrze? Odparłam, że nie przeszkadza mi siedzenie pod ścianą; sama, jeśli woli, może zająć krzesło stojące od strony sali.

– Dlaczego nosisz te ciemne ciuchy? – spytała, kiedy usiadłyśmy. – Nie rozumiem tego. Ja się ubieram na jasno, kiedy jest gorąco. Poza tym wyglądasz, jakbyś się poparzyła na słońcu – dodała. – Masz spaloną skórę, o tu, na łopatkach.

Powiedziałam, że spędziłam popołudnie na łódce z kimś, kogo znam zbyt słabo, aby prosić go o posmarowanie mi pleców kremem. Spytała, kto to taki. Mężczyzna?

Owszem, odparłam, mężczyzna, którego poznałam w samolocie. Elena szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

– Do głowy by mi nie przyszło – powiedziała – że zechcesz wybrać się na wycieczkę łódką z nieznanym facetem. Jaki on jest? Podoba ci się?

Zamknęłam oczy i spróbowałam się zastanowić, co czuję do mojego sąsiada z samolotu. Kiedy je otworzyłam, Elena nadal na mnie patrzyła – i czekała. Powiedziałam, że do tego stopnia odwykłam od myślenia o rzeczach w kategoriach podoba się – nie podoba się, że nie potrafię odpowiedzieć na jej pytanie. Mój sąsiad jest doskonałym przykładem zjawiska, co do którego mogę mieć jedynie mieszane uczucia.

– Ale pozwoliłaś się zabrać na łódkę – zauważyła.

Było gorąco, powiedziałam. Poza tym wypłynęliśmy jako znajomi, nic więcej – tak mi się przynajmniej zdawało. Opisałam Elenie jego próbę pocałowania mnie, kiedy zakotwiczyliśmy na morzu. Dodałam, że jest stary i że choć nazwanie go brzydkim byłoby okrutne, to jednak jego zaloty zaskoczyły mnie i wydały mi się odpychające. Nie sądziłam, że zrobi coś takiego; a raczej, stwierdziłam, zanim Elena zdążyła zauważyć, że musiałabym być skończoną idiotką, żeby nie być na coś takiego przygotowaną, nie sądziłam, że odważy się to zrobić. Wydawało mi się, że różnimy się w dość oczywisty sposób – widocznie oczywisty tylko dla mnie.

Mam nadzieję, powiedziała Elena, że dałaś mu to jasno do zrozumienia. Odparłam, że przeciwnie, znalazłam mnóstwo wymówek, byle nie zranić jego uczuć. Milczała przez chwilę.

– Gdybyś – odezwała się – powiedziała mu prawdę, gdybyś oświadczyła: posłuchaj, jesteś stary, niski i gruby i chociaż cię lubię, to jedynym powodem, dla którego tu się znalazłam, jest przejażdżka twoją łodzią... – zaczęła się śmiać, wachlując się kartą dań – ... gdybyś, rozumiesz, od razu mu to wyznała, w zamian mogłabyś liczyć na uczciwość z jego strony. Zyskałabyś szczerą szczerą.

Sama, powiedziała, doznała głębokiego, najgłębszego rozczarowania rodzajem męskim właśnie dlatego, że była szczerą: mężczyźni, którzy w jednej chwili twierdzili, iż umierają z miłości do niej, w drugiej otwarcie ją znieważali; dopiero jednak wtedy, gdy poniekąd nauczyła się wzajemnej szczerości, zrozumiała, kim jest i czego tak naprawdę pragnie. Nie znosi, dodała, wszelkich pozorów, zwłaszcza pożądania, to znaczy sytuacji, w których ktoś udaje potrzebę posiadania jej w pełni, podczas gdy w rzeczywistości chce ją po prostu doraźnie wykorzystać. Owszem, ona też, wyznała, była gotowa wykorzystywać innych, ale uświadamiała to sobie, dopiero kiedy oni sami przyznawali się do tego zamiaru.

W naszym kierunku zbliżała się, niezauważona przez Elenę, szczupła kobieta o lisich rysach twarzy. Pomyślałam, że to musi być Melete. Podkraśniała się do Eleny i położyła jej dłoń na ramieniu.

– *Jassou* – powiedziała posepnie.

Miała na sobie czarną kamizelkę i spodnie, jedno i drugie w męskim typie, jej krótkie, proste, lśniąco-czarne włosy opadały po obu stronach wąskiej i nieśmiałej twarzy o ostrych rysach.

Elena obróciła się na krześle, żeby przywitać przyjaciółkę.

– Ty też! – wykrzyknęła. – Obie na ciemno! Czemu zawsze się tak ubieracie?

Melete nie spieszyła się z odpowiedzią. Usiadła na wolnym krześle, odchyliła się do tyłu, założyła nogę na nogę, wyjęła z kieszeni kamizelki paczkę papierosów i zapaliła jednego.

– Eleno – odezwała się – niegrzecznie jest omawiać wygląd innych ludzi. To nasza sprawa, co na siebie wkładamy. – Podała mi rękę nad stolikiem. – Głośno tu dziś – stwierdziła, rozglądając się. – Właśnie wracam z wieczoru poezji, na którym publiczność liczyła sześć osób. Kontrast jest zauważalny.

Podniosła leżącą na stoliku kartę win i zaczęła ją przeglądać, trzymając w palcach dymiącego papierosa. Poruszała lekko delikatnym nosem, jej lśniące włosy spadały na policzki.

Jednym z tej szóstki, dodała, spoglądając na nas, był mężczyzna, który przychodzi niemal na każdy jej występ publiczny, siada w pierwszym rzędzie i robi do niej miny. Powtarza się to już od kilku

lat. Kiedy podnosi wzrok znad mównicy, nie tylko w Atenach, ale też w innych miastach, czasem nawet dość odległych od stolicy, nieodmiennie widzi go przed sobą, patrzy, jak wystawia język i wykonuje nieprzyzwoite gesty.

– Ale znasz go? – spytała zdziwiona Elena. – Rozmawiałaś z nim?

– Uczyłam go – odpowiedziała Melete. – Był moim studentem, dawno temu, kiedy wykładałam na uniwersytecie.

– I co takiego mu zrobiłaś? Dlaczego tak cię prześladowuje?

– Chyba nic – odparła Melete, ponuro wydmuchując dym. – Pamiętam, że go uczyłam, i tyle. Chodził na moje zajęcia, na których była ponad pięćdziesiątka studentów. Nawet nie zwróciłam na niego uwagi. Próbowałam przypomnieć sobie jakieś szczególne wydarzenie, ale nic z tego. Można zmarnować całe życie – powiedziała – na próby przewidzenia zdarzeń wynikających z własnych błędów. Bohaterowie legend sądzili, że źródłem ich niepowodzeń było zaniechanie złożenia ofiary określonym bogom. Istnieje jednak inne wytłumaczenie. Takie mianowicie, że facet jest po prostu szurnięty.

– Próbowałaś z nim rozmawiać? – spytała Elena.

Melete powoli pokręciła głową.

– Tak jak mówiłam: ledwie go pamiętam, a wcale tak łatwo nie zapominam ludzi. Można więc powiedzieć, że atak nastąpił z najmniej spodziewanego kierunku. Akurat ten student był ostatnią osobą, którą podejrzewałabym o to, że może stanowić dla mnie zagrożenie.

Chwilami, ciągnęła Melete, wydawało jej się, że to właśnie spowodowało tę sytuację. Że innymi słowy, jej poczucie rzeczywistości wywołało atak, stworzyło poza samym sobą coś, co drwi z niej i jej nienawidzi. Ale jak mówię, powiedziała, tego rodzaju myśli należą do świata wrażliwości religijnej, który w naszych czasach stał się językiem nerwicy.

– Ja to wolę nazywać obłędem – ciągnęła – jego albo moim własnym, dlatego staram się go polubić. Podnoszę wzrok i nieodmiennie trafiam na niego, widzę, jak rusza palcami i wystawia język. Jest niezawodny, wierniejszy niż którakolwiek

z moich kochanek. Staram się okazywać mu uczucie.

Zamknęła listę win i podniosła dłoń, żeby przywołać kelnera. Elena powiedziała do niej coś po grecku i wywiązała się między nimi krótka dyskusja, do której dołączył kelner, ostatecznie biorąc stronę Melete. Przyjął od niej zamówienie, gęsto i nieco opryskliwie kręcąc głową pomimo usilnych próśb Eleny.

– Elena nie zna się na winach – wyjaśniła Melete.

Elena nie wyglądała na urażoną tą uwagą. Wróciła do tematu prześladowcy Melete.

– Z twojego opisu wynika – powiedziała – że masz do czynienia z całkowitym podporządkowaniem. Pomysł, że powinnaś kochać swoich wrogów, jest w oczywisty sposób absurdalny. To czysto religijne podejście. Mówiąc, że kochasz to, czego nienawidzisz i co nienawidzi ciebie, przyznajesz, że zostałeś pokonana, akceptujesz przemoc i po prostu próbujesz poczuć się z nią lepiej. Kiedy mówisz, że go kochasz, to tak, jakbyś mówiła, że nie chcesz wiedzieć, co on naprawdę o tobie myśli. Dowiedziałybyś się tego, gdybyś z nim porozmawiała.

Przyjrzałam się ludziom siedzącym przy sąsiednich stolikach i przy stolikach na pozostałych tarasach; wszystkie lokale były tak zatłoczone, że cały plac tętnił rozmowami. Tu i tam pomiędzy gośćmi przemieszczali się żebracy, ludzie nie zawsze ich zauważali, a kiedy już to robili, dawali im coś albo odpędzali gestem. Kilka razy zauważyłam następującą scenę: widmowa postać stoi niezauważona za oparciem krzesła jedzącej, rozmawiającej i ogólnie zaabsorbowanej życiem osoby. Nieopodal przeciskała się między stolikami drobna, sucha, zakapturzona kobieta; w końcu dotarła też do nas i wyciągnęła szponiastą dłoń, mamrocząc pod nosem. Melete wręczyła jej kilka monet i powiedziała parę słów, delikatnie głaszcząc ją po palcach.

– Jego myśli nie mają znaczenia – powróciła do tematu. – Gdybym je zgłębiła, mogłabym zacząć mylić go ze sobą. A nie składam się przecież z wyobrażeń innych ludzi, tak jak nie układam strof z wersów innych poetów.

– Ale dla niego to gra, wymysł – powiedziała Elena. – Mężczyźni

ją lubią. Tak naprawdę obawiają się twojej szczerości, bo ta zepsułaby całą zabawę. Nie będąc szczerą z tym mężczyzną, pozwalasz mu ciągnąć tę grę, pozwalasz mu żyć w jego własnej fantazji.

Zabuczał mój telefon. Chyba na potwierdzenie słów Eleny, była to bowiem wiadomość od mojego sąsiada; brzmiała następująco: „Tęsknię za panią”.

Jedynie, mówiła dalej Elena, wychodząc poza fantazje ludzi na własny temat i na temat innych, osiągasz poziom rzeczywistości, na którym rzeczy nabierają prawdziwej wartości i są tym, czym się wydają. Niektóre z tych prawd są, trzeba przyznać, nieprzyjemne, ale inne przeciwnie. Najgorzej jest mieć do czynienia z jednym wcieleniem człowieka, podczas gdy poza naszym polem widzenia istnieje drugie, odmienne od tego pierwszego. Elena zawsze jak najprędzej starała się dotrzeć do złej strony charakteru mężczyzny i stawić jej czoło, o ile taka istniała; nie chciała, żeby ta czaiła się niezauważona pod podszewką związku, wołała ją sprowokować, wywlec na wierzch, byle nie zaatakowała, kiedy ona będzie odwrócona plecami.

Melete roześmiała się.

– Zgodnie z tą logiką – powiedziała – nie ma szans na jakikolwiek związek. Jest tylko dwoje ludzi śledzących swoje ruchy.

Kelner przyniósł wino w niewielkiej, pozbawionej etykiety butelce w kolorze atramentu. Melete zaczęła nalewać je do kieliszków.

– To prawda – powiedziała Elena – że innym niełatwo zrozumieć tę moją potrzebę prowokacji. Dla mnie zawsze miała sens. Przyznaję jednak, że położyła kres niemal wszystkim moim związkom, ponieważ w nieunikniony sposób również ten koniec – na mocy tej samej logiki, jak mówisz – będę się starała wywołać. Innymi słowy, jeśli związek ma się zakończyć, chcę poznać jego finał i jak najprędzej stanąć z nim twarzą w twarz. Czasami – powiedziała – proces ten przebiega w takim tempie, że kontakt urywa się równie prędko, jak się nawiązał. Bardzo często mam poczucie, że moim relacjom brakuje historii, a dzieje się tak dlatego, że o krok wyprzedzam samą siebie, tak jak kiedyś przewracałam kartki

w książce, żeby się dowiedzieć, co się wydarzy w ostatnim rozdziale. Chcę wiedzieć wszystko od razu. Chcę poznać treść bez śledzenia całej akcji.

Mężczyzna, z którym się ostatnio związała, powiedziała – niejaki Konstantin – jest pierwszym, który dał jej powód do lęku przed tymi skłonnościami, ponieważ – w odróżnieniu, jeśli ma być szczerą, od wszystkich pozostałych mężczyzn w jej życiu – uznała go za równego sobie. Jest inteligentny, przystojny, zabawny, odznacza się wysoką kulturą umysłową: lubi z nim przebywać, podoba jej się to odbicie samej siebie, jakie w nim widzi. Konstantin ma własne ugruntowane zasady moralne, tak że wyczuwa dokoła niego – zdarza jej się to po raz pierwszy, jak już zaznaczyła – pewnego rodzaju niewidzialną sferę, granicę, której, co jest dla niej jasne, mimo iż nikt nie powiedział tego głośno, nie powinna przekraczać. Granicy tej nigdy wcześniej nie poczuła aż tak wyraźnie u żadnego mężczyzny; wszyscy oni mieli mechanizmy obronne sklecone z urojeń i oszustw – nikt, a najmniej oni sami, nie mógł mieć jej za złe chęci przebicia się przez nie. Tak więc w obecności Konstantina nie tylko wyczuwa istnienie pewnej bariery – czuje, że dociekanie prawdy z jej strony potraktowałby jak włamanie do swojego domu i kradzież swoich rzeczy – ale wręcz przestraszyła się tego, za co go pokochała: że są sobie równi.

Dlatego w jego zasięgu pozostaje broń, którą Elena błyskawicznie wytrącała z ręki wszystkim innym mężczyznom: zdolność ranienia. Niedawno, na imprezie, na którą zabrała Konstantina, żeby przedstawić go swoim licznym znajomym, z lubością chwaliła się nim przed członkami swojego kręgu towarzyskiego, patrzyła ich oczami na jego urodę, rozsądek i uczciwość – i na odwrót, albowiem był to dom artystów i innych ciekawych osobowości jej świata – i podsłuchiwała fragment rozmowy Konstantina z kobietą, którą znała, ale za którą nie przepadała. Kobieta miała na imię Yanna. Elena uległa pokusie i nastawiła uszu po trosze z czystej złośliwości: chciała usłyszeć głos Konstantina i wyobrazić sobie zazdrość Yanny o swojego inteligentnego, przystojnego chłopaka. Yanna zapytała Konstantina o dzieci, których ten miał dwoje z poprzedniego

małżeństwa, a potem, zupełnie od niechcienia, akurat kiedy Elena słuchała, zagadnęła, czy chciałby mieć więcej potomstwa. Nie, odparł, a podsłuchująca Elena poczuła się, jakby ktoś wraził w jej ciało garść noży; nie, raczej wystarczy mu tyle, ile ma, więcej nie chce.

Drżącą dłonią podniosła kieliszek do ust.

– Nigdy – powiedziała cicho – nie poruszaliśmy kwestii potomstwa, ale to oczywiste, że dla mnie pozostaje ona otwarta, że być może zapragnę mieć dzieci. Nagle przyjęcie, na którym tak dobrze się bawiłam i czułam się szczęśliwa, stało się nie do zniesienia. Nie byłam w stanie śmiać się, uśmiechać, a nawet normalnie rozmawiać; chciałam wyjść i zostać sama, ale musiałam być tam z nim do samego końca. Oczywiście zauważył, że się zdenerwowałam, i zaczął dopytywać, co się stało; przez całą wieczór nie ustępował, dociekał, co jest nie w porządku. Rano miał zaplanowany kilkudniowy wyjazd w interesach. Stwierdził, że muszę mu powiedzieć, o co chodzi, bo nie wyobraża sobie, żeby mógł pojechać na lotnisko i wsiąść do samolotu ze świadomością, że czymś się zamartwiam. Ale przecież gdybym mu powiedziała, to byłoby upokarzające – bo usłyszałam coś, co nie było przeznaczone dla mnie, a także z powodu samego tematu, do którego oczywiście należało podejść zupełnie inaczej.

– Wydaje mi się, że nie ma wyjścia z tej sytuacji, choć przecież nadal mamy o sobie dobre mniemanie – ciągnęła. – Odniosłam wrażenie – i wciąż mam to poczucie, w dodatku pogłębia się ono, ilekroć się kłócimy – że daliśmy się złapać w sieć słów, zaplątaliśmy się w te wszystkie sznury i supły i że myśleliśmy, iż rzeczy, które sobie mówimy, uratują nas z tej pułapki, ale im więcej wypowiadamy słów, tym więcej przybywa sznurów i supłów. Łapię się na wspomnianiu prostoty czasów sprzed chwili, w której odezwaliliśmy się do siebie choćby pojedynczą sylabą: chciałabym do niego wrócić – dodała. – Do tego czasu, zanim po raz pierwszy otworzyliśmy usta, żeby coś powiedzieć.

Spojrzałam na parę przy sąsiednim stoliku, mężczyznę i kobietę, którzy zjedli posiłek w niemal niezmaconej ciszy. Kobieta postawiła

torebkę na stoliku obok talerza, jakby bała się, że ktoś ją ukradnie. Torebka stała między nimi, oboje od czasu do czasu na nią zerkali.

– Ale powiedziałaś Konstantinowi, że usłyszałaś jego słowa? – spytała Melete. – Rano, kiedy czekaliście na taksówkę, przyznałaś się?

– Tak – odparła Elena. – Speszył się, oczywiście, i powiedział, że to była bezmyślna uwaga i nic nie znaczy, a ja mu w pewnym sensie uwierzyłam i poczułam ulgę, ale w głębi duszy pomyślałam: po co w ogóle się odzywać? Po co cokolwiek mówić, skoro za chwilę można to odwołać? Ale naturalnie chciałam, żeby cofnął swoje słowa. Nawet teraz, kiedy o tym myślę, wszystko wydaje mi się odrobinę nierzeczywiste, tak jakbym pozwalając na odwołanie tego, co powiedział, przestała być pewna, że rzecz w ogóle się wydarzyła. W końcu – ciągnęła – taksówka przyjechała, wsiadł do niej i ruszył na lotnisko. Znowu byliśmy przyjaciółmi, ale potem poczułam, jak gdyby pojawiła się jakaś skaza, mała, ale nie do usunięcia, jak plama, która niszczy całą sukienkę. Wyobraziłam sobie mijające lata i nasze wspólne dzieci, i siebie niepotrafiącą zapomnieć, jak pokręcił głową i powiedział „nie”, kiedy ktoś zapytał go, czy chce jeszcze mieć potomstwo. I może też Konstantina, przypominającego sobie, że jestem osobą zdolną do naruszenia granicy prywatności i ocenienia go na podstawie tego, co tam znalazłam. Zapragnęłam uciec od niego, uciec z mieszkania i ze wspólnego życia, ukryć się gdzieś, w czymś czystym, nienaruszonym.

Zapadła cisza, w którą powoli wsączył się gwar rozmów toczących się przy sąsiednich stolikach. Piłyśmy łagodne ciemne wino, tak delikatne, że o niemal niewyczuwalnym smaku.

– Wczoraj śniło mi się – odezwała się Melete – że razem z kilkoma kobietami – niektóre znałam, inne były obce – próbowałam dostać się do opery. Ale wszystkie krwawiłyśmy, płynęła z nas krew menstruacyjna, to było istne pandemonium pod drzwiami opery. Miałyśmy krew na sukienkach, kapąła nam na buty. Ilekroć jedna przestawała broczyć, druga zaczynała. Układałyśmy skrwawione ręczniki przed drzwiami budynku, stos wciąż rósł, ludzie musieli go omijać, żeby wejść do środka. Przyglądali nam się – mężczyźni

w smokingach i muszkach – z prawdziwym obrzydzeniem. Zaczęło się przedstawienie; słyszałyśmy dobiegającą z wnętrza muzykę, ale nie byłyśmy w stanie przekroczyć progu. Bałam się bardzo – ciągnęła Melete – że to wszystko moja wina, bo pierwsza zauważyłam krew, zobaczyłam ją na swoim ubraniu, i czując z tego powodu potworny wstyd, rozdmuchałam go w dużo większy problem. Wydaje mi się – zwróciła się do Eleny – że twoja historia o Konstantynie jest w istocie opowieścią o wstrecie, o tym istniejącym pomiędzy mężczyzną a kobietą trwałym obrzydzeniu, od którego usiłujesz się uwolnić za pomocą tak zwanej szczerości. Kiedy rezygnujesz ze szczerości, zauważasz skazę, zostajesz zmuszona do zaakceptowania niedoskonałości, i jedyne, czego pragniesz, to uciec i ukryć się ze wstydu.

Elena pokiwała złotowłosą głową i dotknęła palców Melete.

Kiedy była mała, mówiła dalej Melete, prześladowały ją okropne ataki wymiotów. Ta wyniszczająca przypadłość dręczyła ją przez kilka lat. Napady następowały zawsze o tej samej porze dnia i w identycznych okolicznościach: kiedy wracała ze szkoły do domu, w którym mieszkała z matką i ojczymem. Matka, co zrozumiałe, bardzo się przejmowała dolegliwością Melete, niemającą wyraźnej przyczyny i dlatego sprawiającą wrażenie, jakby była osobliwą krytyką stylu życia matki oraz mężczyzny, którego ta sprowadziła do domu, mężczyzny, którego jej córka jedynaczka za nic nie chciała – jak gdyby dla zasady – pokochać albo chociaż zaakceptować. W szkole Melete zapominała o wymiotowaniu, ale gdy kończyły się lekcje, czuła pierwsze oznaki zbliżającego się ataku nudności, wrażenie lekkości, jak gdyby ziemia usuwała jej się spod stóp. Biegła zdenerwowana do domu i tam, przeważnie w kuchni, gdzie matka czekała z popołudniową przekąską, niebezpiecznie zbierało jej się na wymioty. Matka prowadziła córkę na kanapę, kazała jej się położyć, przykrywała kocem, włączała telewizor i stawiała jej miskę obok głowy; i gdy Melete wymiotowała, matka i ojczym spędzali wieczór w kuchni, rozmawiając i jedząc kolację. Matka jeździła z nią po lekarzach i terapeutach, były nawet u dziecięcego psychoanalityka, który zasugerował – ku zdumieniu płacących za wizytę dorosłych –

żeby Melete nauczyła się grać na jakimś instrumencie. Na pytanie, na jakim instrumencie chciałyby grać, Melete odparła, że na trąbce. I tak, choć niechętnie, matka i ojczym sprawili jej trąbkę. Teraz, zamiast myśleć o wykańczających falach wymiotów, cieszyła się, że po powrocie ze szkoły będzie dęła w mosiężny instrument i wydobywała z niego wspaniałe, prymitywne dźwięki. W ten sposób zaczęła okazywać swój wstręt do pełnej wad ludzkości, a także udało jej się zakłócić kuchenne rozmowy sam na sam przy kolacji matki i ojczyma, które – jako że zabrakło Melete w roli ofiary – nie mogły już odbywać się w ten sam sposób.

– Niedawno – powiedziała – wyjęłam trąbkę z futerału i zaczęłam ćwiczyć. Gram u siebie w mieszkanku. – Roześmiała się. – Wspaniale jest znów móc wydobywać te toporne dźwięki.

Po wyjściu z restauracji, kiedy szliśmy z powrotem w dół wzniesienia, Elena powiedziała, że zatrzyma się na placu Kolonaki, bo musi zabrać swój motor. Ona i Melete mieszkały blisko siebie, więc Elena zaproponowała, że ją podwiezie. Na siedzeniu jest dość miejsca dla dwóch osób, wyjaśniła, poza tym tak będzie najszybciej. Zjechała w ten sposób całą Grecję ze swoją najstarszą przyjaciółką Hermione. Zabierały motor nawet na promy kursujące na wyspy i tam, mając raptem kilka banknotów w kieszeni i kostiumy kąpielowe w torbie, znajdowały bezлюдne plaże, do których prowadziły zwykłe drogi gruntowe. Hermione trzymała się jej, kiedy pokonywały wyjątkowo strome i niebezpieczne zbocza, powiedziała, ale ani razu nie zaliczyły wywrotki. Patrząc na to z dzisiejszej perspektywy, dochodziła do wniosku, że były to jedne z najlepszych chwil w jej życiu – choć wtedy obu przyjaciółkom towarzyszyło poczucie, że to dopiero wstęp, preludium, czekanie na początek właściwej tragedii życia. Te czasy minęły, a teraz Elena jest z Konstantinem. Nie wie, dlaczego się skończyło, bo przecież Konstantin nie zabraniałby jej podróży z Hermione, pomysł zapewne by mu się spodobał, współczesnym mężczyznom zawsze się bowiem podoba, gdy kobiety udowadniają swoją niezależność. Miałyby jednak poczucie fałszu, powiedziała, imitacji, gdyby raz jeszcze spróbowały być tymi dziewczętami, które kiedyś pędziły na

złamanie karku i nigdy nie wiedziały, co je czeka na końcu drogi.

IX

Praca domowa polegała na napisaniu historii ze zwierzakiem, ale nie wszyscy ją odrobili. Dzień wcześniej Christos zaprosił całą grupę na tańce; to był długi i wyczerpujący wieczór w rytmie lindy hop, który jednak – sądząc po tym, jak rozpromieniony Christos, siedzący z założonymi rękami, dumny i świeży, śmiał się głośno z uwag kolegów na temat eskapady – nie wpłynął znacząco na jego formę. Wstał wcześniej, żeby napisać opowiadanie, powiedział, choć miał pewne trudności z wpleceniem wątku zwierzęcego do wybranego przez siebie tematu, którym była hipokryzja przywódców religijnych oraz demonstrowana przez komentatorów życia publicznego nieumiejętność poddania rzeczonych liderów właściwej ocenie. Niby jak zwykli ludzie mieliby się upolitycznić, skoro współcześni intelektualiści nie pokazują im, jak to robić? W tej kwestii, nawiasem mówiąc, z Christosem nie zgadzała się jego bliska znajoma Maria. Była zwolenniczką filozofii perswazji: zmuszanie ludzi do uznawania nieprzyjemnych prawd, powiedziała, czasem przynosi więcej złego niż dobrego. Należy poruszać się blisko linii podziału, ale nie przekraczać jej, trzeba być jak jaskółka, która pikuje nad rysami pejzażu, muska go, ale nigdy nie ląduje.

Starał się więc, powiedział, uwzględnić jakieś zwierzę w swoim opisie skandalicznego zachowania dwóch biskupów Kościoła grekokatolickiego w niedawnej debacie publicznej. Dopiero wtedy olśniło go, że prawdopodobnie właśnie o to mi chodziło. Innymi słowy, chciałam postawić na jego drodze przeszkodę, aby powstrzymać go przed pójściem w kierunku, ku któremu naturalnie się skłaniał, i zmusić do wyboru innej metody. Robił, co mógł, ale niestety nie potrafił wymyślić sposobu na wprowadzenie zwierzęcia do pomieszczenia w gmachu publicznym, w którym odbywała się debata i w którym nie miało ono prawa przebywać. Poza tym pisanie utrudniała mu matka, ciągle zaglądając do jadalni,

najrzadziej używanego pokoju w ich małym mieszkaniu – i z tego powodu wykorzystywanego przez Christosa do nauki, w tym pomieszczeniu bowiem, na dużym starym mahoniowym stole, który stał tam, od kiedy Christos pamiętał, mógł rozkładać książki i notatki. Dziś jednak matka poprosiła go, żeby sprzątnął rzeczy ze stołu. Chciała dokładnie wysprzątać pokój, ponieważ spodziewała się na obiedzie gości, kilku osób z rodziny. Odparł rozdrażniony, żeby dała mu spokój. Próbuje coś napisać, powiedział, jak mam pisać bez książek i notatek, i kiedy w dodatku bez przerwy tu zagładasz? Zupełnie zapomniał o tym obiedzie, zapowiadającym przecież dużo wcześniej i zorganizowanym na cześć ciotki, wuja i kuzynów z Kalifornii, którzy po raz pierwszy od wielu lat postanowili przyjechać do ojczystej Grecji. Wiedział, że matka wcale nie pali się do przyjęcia, a to dlatego, że ta konkretna gałąź rodzinnego drzewa była chełpliwa i ostentacyjna, ciotka i wuj od zawsze pisywali do swoich greckich krewnych listy, w których udawali miłość i troskę, lecz które tak naprawdę były dla nich okazją do pochwalenia się zarobkami w Ameryce, tym, jak wielkie mają auto, że właśnie wybudowali sobie nowy basen i że są zbyt zajęci, by wpaść z wizytą do ojczyzny. Od wielu lat, jak już wspomniał, on i matka nie widzieli tych krewnych, chyba że na zdjęciach, które ci regularnie podsyłali i na których stali w blasku słońca na tle swojego domu i samochodu, w Disneylandzie, przed Hard Rock Cafe albo w jakimś innym miejscu, tam gdzie wyraźnie widać wielki napis „Hollywood”. Przysyłali również fotografie swoich dzieci – na przykład z wręczenia dyplomów – jak te, w birecie i todze, szczerzą kosztowne uzębienie na tle sztucznego błękitnego nieba. Matka Christosa sumiennie przypinała te obrazki na kredensie; miała nadzieję, o czym doskonale wiedział, że pewnego dnia Christos też otrzyma stopień naukowy i też będzie mogła przyczepić jego zdjęcie obok zdjęć kuzynów z Ameryki. Fotografiją, której Christos szczególnie nie znosił, była ta przedstawiająca przystojnego, uśmiechniętego, umięśnionego kuzyna Nicky’ego na jakiejś pustyni, z oplatającym jego szyję wielkim dusicielem. Ten zdobity kredens wizerunek

ponadprzeciętnej męskości często prześladował Christosa i dziś, kiedy matka przyszła usunąć go z jadalni, spojrzął na zdjęcie i gniew mu minął; pomyślał za to ze współczuciem o swojej rodzicielce i pożałował, że nie jest lepszym, odważniejszym i przystojniejszym synem. Przerwał zatem pracę i pomógł matce sprzątać.

Teraz podniósł rękę Georgeou. Zauważył, powiedział, że wczoraj mieliśmy okna otwarte, a drzwi zamknięte, dziś zaś jest na odwrót: okna są pozamykane, a drzwi na korytarz szeroko otwarte. Poza tym zastanawia się, czy zauważyłam, że zegar się przesunął. Zniknął ze ściany po lewej i zajął identyczne miejsce na ścianie po przeciwnej stronie. Z pewnością istnieje jakieś wytłumaczenie tej zegarowej migracji, ale trudno się go domyślić. Poprosił, żebym go poinformowała, gdyby przyszło mi coś do głowy, ponieważ sytuacja wzbudza w nim pewien niepokój.

Skończył pisać swoją opowieść, ciągnął Christos, w autobusie, w drodze na zajęcia, i zdał sobie sprawę, że zdjęcie Nicky'ego nieoczekiwanie podsunęło mu sposób na rozwiązanie dylematu. Jeden z biskupów ma halucynacje w sali, gdzie odbywa się debata: widzi wielkiego węża oplatającego szyję drugiego biskupa i uświadamia sobie, że ów gad symbolizuje hipokryzję i łgarstwa, które obaj panowie wygadywali. Spontanicznie przyrzeka być lepszym człowiekiem, mówić prawdę i tylko prawdę i nigdy więcej nie zwodzić, nie oszukiwać.

Christos ponownie założył ręce na piersi i z promiennym uśmiechem rozejrzał się po kolegach. Zgłosiła się Clio, pianistka. Powiedziała, że jej też nie było łatwo pisać o zwierzętach. Nie wie o nich zbyt wiele, bo nigdy nie miała żadnego pupila. Nie byłoby to możliwe, nie przy tak rygorystycznym harmonogramie ćwiczeń, nawet we wczesnym dzieciństwie. Nie mogłaby zajmować się zwierzęciem i poświęcać mu tyle uwagi, ile ten z pewnością by wymagał. Pod wpływem pracy domowej zaczęła jednak inaczej spoglądać na otoczenie. Idąc do domu, przestała patrzeć na świat dawnym spojrzeniem, lecz z każdym krokiem stawała się coraz bardziej świadoma ptaków: nie tylko ich widoku, ale też głosów, które kiedy już dostroiła do nich swój słuch, bez ustanku

wyłapywała. Przypomniała sobie utwór, od bardzo dawna przez nią niesłuchany, dzieło francuskiego kompozytora Oliviera Messiaena, stworzone podczas pobytu autora w obozie jenieckim podczas drugiej wojny światowej. Kompozycja opierała się częściowo, jak rozumiała Clio, na wzorcach ptasich głosów, które Messiaen usłyszał w więzieniu. Przyszło jej do głowy, że kompozytor czuł się w niewoli jak w klatce, ptaki zaś bujały na wolności, i że dźwięki, które spisał, były brzmieniem tej ich swobody.

To interesująca myśl, powiedział Georgeou, że rola artysty może się sprowadzać jedynie do rejestrowania pewnych sekwencji – i że pewnego dnia do wykonywania tego zadania będzie można zaprogramować komputer. Nawet kwestię osobistego stylu można zapewne uznać za sekwencyjną, złożoną ze skończonej liczby możliwości. Zastanawia się czasem, czy zostanie wynaleziony komputer pozostający pod wpływem własnej ogromnej wiedzy. Byłoby bardzo ciekawie, powiedział, spotkać taki komputer. Podejrzewa jednak, że każdy układ odniesień można rozmontować po prostu poprzez pogwałcenie jego zasad. Na przykład dziś rano, kiedy wychodził z domu, Georgeou zauważył siedzącego na poboczu ptaszka, o którym mógł powiedzieć tylko tyle, że ów wydawał się pogrążony w myślach. Patrzył na coś mętnym wzrokiem, takim samym jak ludzie, którzy próbują, na przykład, rozwiązać w myślach zadanie matematyczne. Georgeou podszedł do ptaszka, zupełnie nieświadomego zbliżającego się doń człowieka. Mógł wyciągnąć rękę i schwycić go. Kiedy wreszcie ptak go zauważył, o mało nie wyskoczył z piór. Georgeou powiedział, że wątpi w zdolność przetrwania tego konkretnego osobnika. Opowieść, którą napisał, w całości oparł na osobistych przeżyciach i oddał ze szczegółami rozmowę, jaką odbył ze swoją ciotką, która pracowała w instytucie naukowym w Dubaju i prowadziła badania nad mutacjami cząsteczek. Wkład własny Georgeou polegał na umieszczeniu w tej historii jaszczurki, której w rzeczywistości nie było, ale tutaj, w pracy domowej, podczas rozmowy ciotka trzymała ją na rękach. Pokazał opowiadanie ojcu, ten zaś potwierdził zgodność szczegółów z rzeczywistością i powiedział, że

z przyjemnością raz jeszcze powrócił do tej wymiany myśli na interesujący go temat. Jaszczurkę określił mianem, o ile Georgeou poprawnie zapamiętał jego słowa, miłego akcentu.

Sylvia oświadczyła, że nic nie napisała. Jej wczorajsza opowieść – czyba nie zapomniałam? – dotyczyła zwierzęcia: białego pieska siedzącego na ramieniu wysokiego ciemnego mężczyzny. Ale po tym, co właśnie usłyszała, żałuje, że zamiast tego widoku – który wręcz prosił się o zobaczenie – nie wybrała czegoś bardziej osobistego, co pozwoliłoby jej wyrazić pewien aspekt własnego ja. Wracając do domu pociągami, wypatrywała tego mężczyzny, czuła bowiem, że musi mu coś powiedzieć. To mianowicie, żeby zdjął psa z ramienia i pozwolił mu iść na własnych nogach albo lepiej kupił sobie psa, który będzie zwyczajny i brzydki i nie będzie odwracał uwagi ludzi takich jak ona od ich własnego życia. Miała mu za złe chęć bycia w centrum zainteresowania i to, że ją, Sylvie, uczynił tak mało interesującą; no i proszę, już drugi raz opowiada o nim na zajęciach!

Sylvia miała drobną, ładną, zatroskaną twarz i gęste popielate włosy – często ich dotykała i gładziła je – które dziewczęcymi puklami opadały jej na ramiona. Tak czy siak, mówiła dalej, oczywiście nie spotkała go w drodze powrotnej, bo przecież życie nie jest takie proste. Wróciła do mieszkania: wyglądało dokładnie tak samo, jak kiedy wychodziła rano – ponieważ mieszkała sama. Zadzwonił telefon. To jej matka, zawsze telefonuje o tej porze. Chciała wiedzieć, jak dziś było na lekcjach. Sylvia uczy literatury angielskiej w szkole na przedmieściach Aten. Matka zapomniała, że córka wzięła tydzień wolnego na kurs pisania.

– Przypomniałam jej, co robię – powiedziała Sylvia. – Matka, rzecz jasna, bardzo sceptycznie podchodzi do pisania, nic więc dziwnego, że wyleciało jej z głowy. Powinnaś zamiast tego wyjechać na wakacje, powiedziała, powinnaś pojechać z przyjaciółmi na wyspy. Powinnaś żyć, a nie marnować czas na myślenie o książkach. Mamo, powiedz mi o czymś, co dziś zauważyłaś, rzuciłam, żeby zmienić temat. Niby co miałabym zauważyć? Cały dzień spędziłam w domu, czekając, aż zjawi się fachowiec i naprawi

mi pralkę. Nie raczył się pofatygować, powiedziała matka. Po skończonej rozmowie usiadłam do komputera. Kazałam uczniom napisać wypracowanie, termin składania prac minął, ale kiedy zajrzałam do skrzynki pocztowej, okazało się, że ani jedna osoba nie odrobiła pracy domowej. Esej miał dotyczyć *Synów i kochanków* D.H. Lawrence'a, książki będącej dla mnie największą inspiracją w całym moim życiu – tymczasem żaden z uczniów nie miał na jej temat nic do powiedzenia.

– Poszłam do kuchni, zatrzymałam się – mówiła dalej – i pomyślałam, że mogłabym napisać opowiadanie. Ale jedyne, co przychodziło mi do głowy, to słowa opisujące chwilę, która trwała: „Kobieta stała w kuchni i zastanawiała się, czyby nie napisać opowiadania”. Problem polegał na tym, że zdanie to nie łączyło się z żadnym innym. Pochodziło znikąd i donikąd zmierzało, tak jak ja nigdzie się nie wybierałam, zwyczajnie stojąc w kuchni. Przeszłam więc do pokoju i zdjęłam z półki książkę, zbiór opowiadań D.H. Lawrence'a. D.H. Lawrence to mój ulubiony pisarz – wyjaśniła. – Wiem, że już nie żyje, ale w pewnym sensie jest dla mnie osobą, którą kocham najbardziej na świecie. Chciałabym być postacią z prozy D.H. Lawrence'a, chciałabym żyć w jednej z jego powieści. Ludzie, których spotykam, są tak bardzo nijacy, że sprawiają wrażenie pozbawionych *wszelkiej* postaci. Życie wydaje się tak bardzo intensywne, gdy patrzę na nie jego oczami, a moje własne jest jałowe jak wyschnięty pas ziemi, na którym nic nie wyrośnie, choćbym nie wiem jak się starała. Zaczęłam czytać opowiadanie pod tytułem *Kobieta i paw*. To autobiograficzna historia, w której Lawrence przebywa zimą na odludnej angielskiej wsi, pewnego dnia podczas spaceru słyszy dziwny dźwięk i odkrywa, że jego źródłem jest uwięziony w śniegu paw. Zwraca ptaka właścicielce, dziwnej kobiecie z pobliskiej farmy, czekającej na powrót męża z wojny.

– W tym momencie – powiedziała – przestałam czytać, ponieważ po raz pierwszy poczułam, że Lawrence'owi nie udaje się wyrwać mnie z mojego życia. Być może sprawił to śnieg albo dziwność kobiety, albo może sam paw, ale nagle poczułam, że te wydarzenia i świat, który Lawrence opisał, nie mają ze mną nic wspólnego, nie

łączą się z moim życiem w nowoczesnym mieszkaniu w upalnych Atenach. Z jakiegoś powodu nie mogłam znieść tego poczucia, że jestem bezradną pasażerką jego wizji, więc zamknęłam książkę – zakończyła – i położyłam się spać.

Sylvia zamilkła. Zadzwoił leżący przede mną na stole telefon. Zerknęłam na wyświetlacz: numer Lydii z firmy doradztwa finansowego. Powiedziałam grupie, że zrobimy krótką przerwę. Wyszłam na korytarz i stanęłam pod tablicą ogłoszeń. Serce nieprzyjemnie łomotało mi w piersi.

– Czy rozmawiam z Faye? – spytała Lydia.

Tak, odparłam.

Zapytała, co u mnie słyhać, i dodała, że po sygnale zgłoszenia poznała, że jestem za granicą. A gdzie dokładnie? W Atenach, odparłam. O, to miło, skomentowała. Przeprosiła, że nie mogłam się z nią skontaktować, ale przez parę dni nie było jej w biurze. Kilka osób z jej działu dostało specjalne wejściówki na Wimbledon; wczoraj widziała, jak odpadł Nadal, co było sporą niespodzianką. Następnie zaznaczyła, że ma nadzieję, iż nie zepsuje mi to wakacji, ale niestety musi mnie poinformować o decyzji poręczycieli, którzy odrzucili moje podanie o zwiększenie kwoty pożyczki. Kiedy zapytałam, skąd takie postanowienie, odparła, że poręczyciele nie muszą podawać uzasadnienia, po prostu podjęli taką, a nie inną decyzję na podstawie otrzymanych informacji. Tak jak mówiłam, powiedziała, mam nadzieję, że nie zakłóci to pani wakacji. Kiedy podziękowałam jej za telefon, odparła, że to żaden problem. Przykro mi, że nie zadzwoniłam z lepszymi wieściami, dodała.

Ruszyłam korytarzem, otworzyłam szklane drzwi i wyszłam na morderczy skwar ulicy. Mijały mnie samochody, przechodzili obok ludzie, a ja stałam w oślepiającym blasku, jak gdybym czekała, aż coś się wydarzy albo objawi się jakieś alternatywne rozwiązanie. Kobieta w kapeluszu przeciwsłonecznym w wielkie kropki i z zawieszonym na szyi ogromnym aparatem fotograficznym spytała mnie o drogę do Muzeum Benaki. Wytłumaczyłam jej, którądy musi pójść, i wróciłam do środka. Poszłam z powrotem do sali i usiadłam. Georgeou zapytał, czy wszystko w porządku.

Zauważył, powiedział, że zamknęłam drzwi, i zastanawia się, czy to oznacza, że chcę otworzyć okna. Z chęcią się tym zajmie. Odparłam, że proszę bardzo. Wstał z takim pośpiechem, że aż przewrócił krzesło. Penelope z zaskakującą zręcznością złapała je, zanim upadło na podłogę, i ostrożnie postawiła na czterech nogach. Była pewna, powiedziała nieco enigmatycznie, że nic nie przyniesie na dzisiejsze zajęcia, z wyjątkiem swoich snów, czasem tak dziwnych i chorych, że chyba powinna komuś o nich opowiedzieć. Ale po wczorajszym spotkaniu doszła do wniosku, że ogólnie rzecz biorąc, osoba w jej sytuacji, niebędąca panią własnego czasu, nie ma szans zostać pisarką. Dlatego wieczór spędziła jak zwykle, to znaczy na przygotowywaniu kolacji dla dzieci i spełnianiu ich niekończących się żądań.

Kiedy jedli, ktoś zadzwonił do drzwi. Stavros, sąsiad, wpadł pokazać szczeniaka z nowego miotu jego suki. Dzieci oczywiście zwariowały na punkcie psa: zostawiły jedzenie – na pewno wystygnie – i obiegły Stavrosa, jedno przez drugie prosząc, żeby pozwolił im wziąć malucha na ręce. Piesek był maleńki, ledwo widział, toteż Stavros zaznaczył, że dzieci muszą obchodzić się z nim bardzo ostrożnie, ale i tak dał go każdemu potrzymać.

– Widziałam – powiedziała – jak ulegają przemianie, biorąc na ręce tego szczeniaka, jak napełniają się delikatnością i najwyższą ostrożnością, tak że niewiele brakowało, a uwierzyłabym, że rzeczywiście nastąpiła korzystna zmiana w ich charakterach. Głaskały palcami miękkiego łepka i szeptały psiakowi do uszka, i pewnie trwałoby to jeszcze długo, gdyby Stavros nie powiedział, że już czas na niego. Szczeniaki, dodał, są na sprzedaż. Wtedy dzieci zaczęły podskakiwać w szczerym i radosnym podnieceniu, i to tak zaraźliwym, że ku własnemu zdumieniu sama też zaczęła się cieszyć.

– Myśl o ustąpieniu im, i o miłości, na którą bym zasłużyła tym gestem, była niemal nieodparta. Silniejsze jednak okazało się to, co wiem o Stavrosowej suce, tym tłustym i nieprzyjemnym zwierzęciu. Nie, oznajmiłam, nie chcemy psa. Zanim Stavros wyszedł, podziękowałam mu, że przyszedł pochwalić się szczeniakiem. Dzieci były bardzo zawiedzione. Zawsze musisz wszystko popsuć,

usłyszałam od syna. Dopiero wtedy – kiedy przestał działać czar rzucony przez psiaka – powróciło logiczne myślenie, a wraz z nim tak surowe i silne poczucie rzeczywistości, że odniosłam wrażenie, jakby bezlitośnie odsłoniło nasz dom, jak gdyby z budynku, w którym się znajdowaliśmy, zerwało dach.

– Nie pozwoliłam dzieciom dokończyć kolacji, odesłałam je do swoich pokoi, a sama z trzęsącymi się dłońmi usiadłam przy kuchennym stole i zaczęłam pisać. Bo widzi pani, już raz kupiłam im szczeniaka, dwa lata wcześniej, w okolicznościach niemal nie do odróżnienia od tych, o których przed chwilą opowiedziałam, i to, że ponownie znaleźliśmy się w tym samym miejscu, niczego się nie nauczywszy, kazało mi spojrzeć na nasze życie, a zwłaszcza na nasze dzieci, na chłodno, bez emocji. Było to, jak powiedziałam, dwa lata temu. Pieska, to śliczne stworzonko, nazwaliśmy Mimi; miała tabaczkową sierść i oczy jak dwie czekoladki, a kiedy u nas zamieszkała, była tak drobna i urocza, że przyjemność, jaką dzieci czerpały z zabawy z Mimi i chwaleń się nią przed kolegami, wynagradzała mi trud opieki nad zwierzątkiem. Można wręcz powiedzieć, że wyrecałam dzieci w sprzątaniu po psinie – która w całym mieszkaniu zostawiała wyjątkowo cuchnące niespodzianki – ponieważ bałam się zepsuć im radość; jednakże w miarę jak Mimi rosła i stawała się coraz bardziej wymagająca, zaczęłam oczekiwać od dzieci większej odpowiedzialności za nią, skoro to one, nikt inny, uparły się – o czym nieustannie im przypominałam – żebyśmy kupili sobie psa. Szybko uodporniły się na moje uwagi. Nie chciały wyprowadzać Mimi na spacer ani sprzątać po niej; mało tego, zaczęło działać im na nerwy jej szczekanie, a także to, że czasami wpadała do ich pokoju i siała w nim spustoszenie. Nie chciały nawet wpuszczać jej do salonu wieczorami, bo nie potrafiła usiedzieć w spokoju, tylko chodziła tam i z powrotem, zasłaniając telewizor.

– Mimi nie dość, że szybko wyrosła na dużo większego i dużo bardziej ruchliwego psa, niż się spodziewałam, okazała się zwierzątkiem z obsesją na punkcie jedzenia i gdy tylko spuszczałam ją z oka choćby na chwilę, zaraz wskakiwała na blat w kuchni i pałaszowała wszystko, co tam znalazła. Nauczyłam się chować

rzeczy nadające się do zjedzenia, ale i tak musiałam zachowywać przy niej wyjątkową czujność i pamiętać o zamykaniu wszystkich drzwi w domu, żeby nie mogła buszować po pokojach – drzwi, które dzieci wiecznie zostawiały otwarte; no i oczywiście musiałam wyprowadzać ją na spacer, na których ciągnęła mnie tak mocno, że niemal wyrywała mi ręce ze stawów. Nie mogłam spuścić jej ze smyczy, bo miłość do jedzenia nosiła ją we wszystkie strony. Raz wbiegła do kuchni taniej knajpy przy parku i kucharz nakrył ją na pożeraniu pęta kiełbasy, które zostawił na blacie; to znów wyrwała kanapkę z rąk mężczyzny, który przysiadł na ławce zjeść lunch. W końcu dotarło do mnie, że wychodząc z nią, muszę bezwzględnie trzymać ją przy sobie, i że w domu właściwie też jestem uwiązana do tego psa, i zaświtało mi, iż ceną za Mimi, prezent dla moich dzieci, jest moja własna wolność.

– Mimi była mimo wszystko pięknym psem. Każdy zwracał na nią uwagę, przechodnie – jeśli trzymałam ją na smyczy – zawsze hojnie obsypywali ją komplementami. Udręczona tym wszystkim, stałam się dziwnie pełna urazy i zazdrosna o jej urodę i o zainteresowanie, jakim ją obdarzano. Krótco mówiąc, zaczęłam jej nienawidzić i pewnego dnia, kiedy szczekała przez całe popołudnie, a dzieci znów odmówiły wyjścia z nią na spacer, i w dodatku nakryłam ją w salonie, jak rozszarpywała nowiutką poduszkę, a dzieci jak zawsze gapiły się obojętnie w ekran telewizora, poczułam tak silną i niepohamowaną złość, że uderzyłam Mimi. Dzieci były głęboko wstrząśnięte i zszokowane. Rzuciły się bronić suczki przede mną, patrzyły na mnie jak na potwora. Jeżeli rzeczywiście stałam się potworem, to moja przemiana, jak sądziłam, nastąpiła za sprawą Mimi.

– Przez pewien czas dzieci stale przypominały mi o incydencie, ale stopniowo o nim zapomniały. Aż któregoś dnia zdarzyło się to ponownie, w podobnych okolicznościach, a potem jeszcze raz i jeszcze, aż bicie Mimi stało się czynnością, którą niemal zaakceptowały. Mimi zaczęła mnie unikać, inaczej na mnie patrzyła, zrobiła się bardziej przebiegła, przemykała po domu i niszczyła różne rzeczy, dzieci zaś traktowały mnie z rezerwą, nabrały

dystansu, co w pewien sposób okazało się wyzwajające, ale też sprawiło, że życie przestało dawać mi tyle satysfakcji co dawniej. Być może chcąc skompensować sobie to poczucie i spróbować zasypać powiększającą się przepaść między nami, postanowiłam zrobić dużo szumu wokół urodzin syna i przez pół nocy piekłam z tej okazji tort – niezwyklej urody, zrobiony na bogato, przyozdobiony kasztanami i czekoladowymi wiórkami; schowałam go tak, żeby Mimi go nie znalazła, i poszłam spać.

– Rano, kiedy dzieci wyszły do szkoły, wpadła z wizytą moja siostra. W towarzystwie siostry zawsze czuję się nieco zbita z tropu; mam wrażenie, że muszę przed nią grać, udawać własne życie, zamiast pozwolić mu toczyć się naturalnym rytmem. Dlatego pokazałam jej tort, który i tak by zobaczyła, bo przecież była zaproszona na przyjęcie. Wtedy rozległ się dźwięk alarmu i moja siostra, myśląc, że chodzi o jej samochód – był nowy i nie lubiła go stawiać pod moim domem, bo jej zdaniem okolica nie należy do najbezpieczniejszych – spanikowała i wybiegła na zewnątrz. Poleciałam za nią, ponieważ, jak wspomniałam, będąc z siostrą, przejmuję jej punkt widzenia i czuję się zmuszona do postępowania zgodnie z jej wizją, tak jak w dzieciństwie nie potrafiłam się powstrzymać przed wchodzeniem do jej pokoju, nieodmiennie uważając go za lepszy od swojego. I kiedy tak stałyśmy na ulicy i upewnialiśmy się, że auto jest nietknięte – ależ oczywiście, że nic mu się nie stało – uświadomiłam sobie to doznanie porzucenia własnego życia, tożsame z porzucaniem własnego pokoju w dzieciństwie; i naraz wypełniło mnie niezwykle poczucie bytu jako sekretnego bólu, wewnętrznego cierpienia, jakim nie sposób podzielić się z innymi – ludźmi, którzy proszą cię, byś zajęła się ich potrzebami, i zarazem nie mają pojęcia, co się dzieje w twoim wnętrzu; jesteś jak baśniowa syrena, chodzisz po ostrzach, których nikt poza tobą nie widzi.

– Kiedy tak stałam, a moja siostra paplała o samochodzie i o tym, co mogło uruchomić alarm, poczułam wyraźny ból samotności; wiedziałam, że przyznając się do niego, zarazem dopuszczam do siebie najczarniejszą wizję życia. Wiedziałam, innymi słowy, że

wydarzy się coś strasznego, że już się to dzieje, toteż nie byłam ani trochę zaskoczona tym, że kiedy wróciłyśmy do mieszkania, zobaczyłyśmy Mimi stojącą na blacie i pożerającą tort urodzinowy mojego syna. Gdy weszłyśmy, podniosła łeb, zastygła w trakcie przeżuwania, wiórki czekoladowe wisiały jej wokół pyska – i chyba wtedy podjęła decyzję, bo zamiast zeskoczyć z blatu, uciec i znaleźć sobie kryjówkę, spojrzała mi wyzywająco w oczy, pochyliła się i ponownie żarłocznie wsadziła pysk w tort.

– Podeszłam do niej i chwyciłam za obrozę. Na oczach siostry porwałam Mimi z blatu i cisnęłam na podłogę, po czym zaczęłam bić, choć skomlała i próbowała się wyrwać. Walczyłyśmy: ja sapałam i starałam się uderzać jak najmocniej, ona wiła się i skowyczała, aż w końcu udało jej się wyswobodzić łeb z obroży. Wybiegła z kuchni, ślizgając się i skrobiąc pazurami po płytkach podłogowych, i wyleciała na korytarz kończący się drzwiami wejściowymi, których nie zdążyłam zamknąć, a potem na ulicę, gdzie pomknęła chodnikiem i zniknęła.

Penelope przerwała, po czym dotknęła palcami skroni, najpierw delikatnie, potem bardziej zdecydowanie.

– Przez całe popołudnie – odezwała się po chwili – brzęczał telefon. Mimi, jak mówiłam, była charakterystycznym, pięknym psem, okoliczni mieszkańcy dobrze ją znali, to samo moi znajomi rozsiani po Atenach. Ludzie dzwonili, żeby mi powiedzieć, że ją widzieli. Biegała po całym mieście: w parku, w centrum handlowym, obok pralni i obok dentysty, niedaleko fryzjera, przy banku, pod szkołą moich dzieci; biegała wszędzie tam, dokąd musiałam ją zabierać, pod domami moich przyjaciół, nieopodal mieszkania nauczycielki gry na pianinie, przed basenem i biblioteką, placem zabaw i kortami tenisowymi, a wszędzie, dokąd pognała, ludzie sięgali po telefon i dawali znać, że ją widzieli. Wielu próbowało ją złapać, niektórzy biegli za nią, a pan od mycia okien nawet śledził ją swoją furgonetką, ale nikomu nie udało się jej dopaść. W końcu popędziła na dworzec. Akurat wtedy z pociągu wysiadał mój szwagier: wyjął telefon, zadzwonił i powiedział, że widział Mimi i razem z innymi pasażerami i z dyżurnymi ruchu próbował ją

osaczyć, ale im się wymknęła. Jeden z dyżurnych odniósł lekkie obrażenia, kiedy bowiem rzucił się, aby chwycić Mimi za ogon, zaliczył bliskie spotkanie z wózkiem bagażowym. No ale niestety, na oczach wszystkich zeskoczyła na tory i pobiegła nie wiadomo dokąd.

Penelope głęboko westchnęła i zamilkła ze zboląłą miną. Było wyraźnie widać, jak jej pierś podnosi się i opada.

– Oto historia, którą napisałam – powiedziała wreszcie – wczoraj wieczorem przy kuchennym stole po wizycie Stavrosa ze szczeniakiem.

Theo zauważył, że błąd popełniła chyba na samym początku, decydując się na niewłaściwego psa. Sam jest właścicielem mopsa, powiedział, i nigdy nie miał z nim kłopotów.

Słyszając to, Marielle przygotowała się do zabrania głosu. Jak paw, który rozprostowuje sztywne pióra na ogonie, zanim rozłoży swój imponujący wachlarz. Dziś była ubrana na jasnoczerwono i zapięta pod samą szyję, żółte włosy zczesła do góry i podpięła grzebykiem, a na ramiona narzuciła coś w rodzaju mantyli z czarnej koronki.

– Ja też kupiłam synowi psa – odezwała się zgorszonym, drżącym głosem – kiedy był mały. Kochał go do szaleństwa, ale szceniak nie zdążył dorosnąć, bo zginął na ulicy pod kołami samochodu. Mój syn podniósł zwłoki i przeniósł je do mieszkania, wylewając takie morze łez, jakiego nigdy w życiu nie widziałam. To przeżycie całkowicie zniszczyło jego charakter – powiedziała. – Dziś jest zimnym, wyrachowanym człowiekiem, zainteresowanym wyłącznie tym, co można zdobyć w życiu. Osobiście bardziej ufam kotom – stwierdziła – które przynajmniej potrafią rozstrzygnąć kwestię własnego przetrwania i choć może brakuje im talentu do władzy i wpływów i można powiedzieć, że żyją zazdrością i do pewnego stopnia egoizmem, to jednak mają niezwykle instynkt i wyjątkowy smak.

– Mąż zostawił mi koty – ciągnęła – w zamian za pewne prekolumbijskie przedmioty kultury materialnej, z którymi bardzo nie chciał się rozstawać. Twierdził, że wraz ze zwierzętami pozostawia część siebie, i to tak istotną, że bez kotów w roli przewodników niemal boi się poruszać po świecie. To prawda –

ciągnęła – że od tamtej pory dokonuje mniej trafnych wyborów: kupił akwafortę Klimta, która okazała się falsyfikatem, i mocno zainwestował w dadaizm, choć przecież było powszechnie wiadomo, że nieodwracalnie spada zainteresowanie publiczności tym okresem. Tymczasem mnie bogowie głaskali po główce, byli dla mnie tak hojni, że raz znalazłam na pchlim targu niewielką bransoletkę w kształcie węża, którą kupiłam za pięćdziesiąt centów i którą wypatrzył na moim nadgarstku Arturo, znajomy męża, kiedyśmy przypadkiem spotkali się na ulicy. Zabrał ją do zbadania w swoim instytucie. Oddając bransoletkę, powiedział, że pochodzi ona z mykeńskiego grobowca i jest bezcenna, o czym, jestem przekonana, nie omieszkął poinformować również mojego męża podczas jednej z ich nocnych dyskusji w barze Brettos.

– Lecz koty, jak mówiłam, to zazdrosne i wybredne stworzenia. Od kiedy mieszka ze mną mój kochanek, nie za bardzo chcą mu się podporządkować, choć on stale okazuje im zainteresowanie. Jak tylko odwróci się plecami, natychmiast zapominają o czułościach. Jest niestety człowiekiem niechlujnym, filozofem, który wszędzie rozkłada swoje książki i notatki, i choć moje mieszkanie nie jest przesadnie wychuchane, to jednak potrzebuje odpowiedniego wystroju, żeby korzystnie wyglądać. Wszystko jest pomalowane na żółto, kolor szczęścia i słońca – a także, jak twierdzi mój kochanek, barwę szaleństwa, dlatego luby często czuje potrzebę wychodzenia na dach, gdzie stoi i kontempluje błękit nieba. Kiedy go nie ma, czuję, jak powraca do mnie radość; sprzątam wtedy jego książki, niektóre tak ciężkie, że z trudem podnoszę je oburącz. Przyznałam mu, po kłótni, dwie półki na swoim regale, on zaś wielkodusznie wybrał te znajdujące się na samym dole, choć wiem, że wolałyby na samej górze. Te jednak znajdują się wysoko, a dzieła Jürgena Habermasa, których mój kochanek posiada okazałą kolekcję, ważą tyle, co kamienie użyte do budowy piramid. Mężczyźni umierali, mówię mu czasem, wznosząc te konstrukcje o szerokich podstawach, wierzchołkach zaś – małych i odległych. Ale Habermas to jego dziedzina, odpowiada, i na tym etapie życia już nie znajdzie sobie następnej, nie przeniesie się na nowe pole. Jest mężczyzną czy

kucykiem? – brzmi pytanie, które zadaję sobie, kiedy on wychodzi na dach; robię to niemal z tęsknotą za odrażającą naturą mojego męża, która sprawiała, że biegałam ile sił w nogach i zawsze dobrze sypiałam.

– Czasami – powiedziała – zamykam się w kręgu przyjaciółek, płaczemy sobie i gadamy, ale wtedy mój kochanek otwiera pianino i gra tarantelę albo przez całe popołudnie piecze koźlę w winie i goździkach, i skuszona dźwiękami i zapachami wracam, dzwignam głązy Habermasa i odkładam je na półki. Pewnego dnia przestałam to robić, uznałam, że dłużej już nie mogę i że nieład musi zatriumfować. Pomalowałam ściany na bladozielono, powyjmowałam z półek swoje książki i zostawiłam je na podłodze, pozwoliłam różom zmarnieć i zwiędnąć. Mój kochanek oszalał z radości i powiedział, że to ważny krok. Wyszliśmy to uczcić, a po powrocie zastaliśmy koty w amoku w upadłej bibliotece, pośród śnieżycy papieru; na naszych oczach plądrowały książki, rozorywały grzbiety, a myśmy patrzyli, czując chablis w żyłach. Moje powieści i oprawione w skórę woluminy pozostały nietknięte, ofiarą szau padł jedynie Habermas, z każdego frontyśpisu została wyrwana jego podobizna, a dzieło *Strukturalne przeobrażenia sfery publicznej* poznały głębokie ślady pazurów. I tak – dodała na zakończenie – mój kochanek nauczył się odkładać książki na miejsce; już nie piecze i nie otwiera pianina, i za tę mającą wprawdzie swoje wady i zalety sytuację, to znaczy skurczenie się jego ego, muszę podziękować kotom – a także być może mężowi.

Czy nie jest tak, powiedział Aris – chłopak, który poprzedniego dnia wspomniał o rozkładającym się psie – że wykorzystujemy zwierzęta jako odzwierciedlenie naszej ludzkiej świadomości, podczas gdy jednocześnie ich istnienie wywiera pewną moralną presję, której wpływ daje ludziom poczucie uprzedmiotowienia, a zatem bezpiecznego ograniczenia? Jak niewolnicy, powiedział, albo służący, pod których nieobecność ich panowie czują się bezbronni. Przyglądają się naszemu życiu, są dowodem, że istniejemy, za ich pośrednictwem dostępujemy historii nas samych. We wzajemnych relacjach dowiadujemy się – my, nie one – jak być

sobą. Dla człowieka najważniejsze w zwierzęciu jest oczywiście to, że nie potrafi mówić, podsumował. Jego opowieść dotyczyła chomika, którego miał w dzieciństwie. Przyglądał się, jak gryzoń biega po klatce, jak bez końca pomyka na karuzeli – koło furkotało i furkotało bez ustanku – cały czas pozostając w miejscu. Uwielbiał tego chomika. Rozumiał, że jeśli tak bardzo kocha zwierzaka, to musi go uwolnić. Chomik uciekł i nigdy nie wrócił.

Georgeou zakomunikował, że godzina, według zegara, którego nie mogłam widzieć, ponieważ wisiał dokładnie nad moją głową, dobiegła końca. Dodał te kilka minut, które spędziłam na korytarzu; liczył, że pochwalę jego decyzję, musiał bowiem podjąć ją sam, bez konsultacji ze mną, nie chcąc zakłócać przebiegu zajęć.

Podziękowałam mu za tę informację i podziękowałam grupie za opowieści, które, powiedziałam, sprawiły mi dużo przyjemności. Rosa wyjęła różowe pudełko obwiązane wstążką i podała mi je. Ciasteczka migdałowe, powiedziała, sama upiekła, według przepisu babci. Mogę zabrać je ze sobą albo, jeśli wolę, podzielić się z uczestnikami kursu. Upiekła tyle, żeby wystarczyło dla każdego po jednym, ale jedno ciasteczko zostanie, ponieważ Cassandra nie pojawiła się na zajęciach. Rozwiązałam tasiemkę i otworzyłam słodko pachnące pudełko. Wewnątrz znajdowało się jedenaście starannie ułożonych ciasteczek w białych papilotach. Zanim je rozdałam, obróciłam pudełko i pokazałam wszystkim dzieło Rosy. Georgeou powiedział, że z ulgą przyjął możliwość zapoznania się z zawartością pudełka, jako że zauważył je już wcześniej i przyglądał mu się z niejakim niepokojem, sądząc, że w środku być może znajduje się jakieś zwierzę.

X

– Proszę nie zwracać na mnie uwagi – powiedziała siedząca na kanapie Clelii kobieta, kiedy o siódmej rano wyszłam z sypialni.

Wyjadała łyżką miód ze słoika. Obok niej na podłodze stały dwie duże walizki. Była smukła, miała ziemistą cerę, kręcone włosy, czterdzieści kilka lat, do tego wyjątkowo długą szyję i nietypowo małą głowę, zupełnie jak u gęsi; w jej głosie wyraźnie było słychać gęgliwe dźwięki. Zwróciłam uwagę na bladą zieleń jej małych, nieruchomych, bezrzęsnych oczu i na czerń srogich brwi; nieznacznie marszczyła powieki, jakby się krzywiła albo mrużyła oczy przed słońcem. W mieszkaniu panował duszny upał. Musiało być jej niewygodnie w tym, co miała na sobie: aksamitnej marynarce koloru wina, koszuli i spodniach oraz czarnych skórzanych butach, które wyglądały na naprawdę ciężkie.

– Właśnie przyleciałam z Manchesteru – wyjaśniła. – A tam padało.

Przeprosiła, że zjawiała się tak wcześnie, ale lot był o takiej porze, że nie miała pomysłu, co ze sobą zrobić, chyba że przesiedzieć z walizkami w jakiejś kawiarence. Taksówkarz pomógł jej wnieść bagaże po schodach – przynajmniej tyle mógł zrobić po tym, powiedziała, jak przez połowę półgodzinnej podróży z lotniska streszczał jej, bardzo drobiazgowo, fabułę powieści science fiction, nad którą właśnie pracuje; ale cóż, popełniła błąd, mówiąc mu, że przyjechała do Aten poprowadzić zajęcia z pisania. Mówił bardzo dobrze po angielsku, choć z silnym szkockim akcentem. To dlatego, że przez dziesięć lat jeździł na taryfie w Aberdeen; raz nawet podwiózł pisarza Iaina Banksa, który – jak twierdził – wsparł jego twórcze zapędy. Próbowała mu wytłumaczyć, że sama jest dramatopisarką, ale stwierdził, że to szczególnie techniczny. Tak w ogóle to nazywam się Anne, powiedziała.

Wstała, uściśnęła mi rękę i usiadła z powrotem. Ujrzałam nas obie

z boku, jak gdyby przez jedno z wielkich okien mieszkania Clelii: dwie kobiety w Atenach podają sobie rękę o siódmej rano. Miała bardzo bladą i kościstą dłoń oraz mocny i niespokojny uścisk.

– Ładnie tu – stwierdziła, rozglądając się. – Nie wiedziałam, czego się spodziewać; w takich sytuacjach nigdy nie wiadomo, co się zastanie, prawda? Chyba sądziłam, że mieszkanie będzie bardziej bezosobowe. Jadąc tutaj, powtarzałam sobie, żeby oczekiwać najgorszego, i jak widać, podstęp się udał.

Wydawało jej się, nie wiadomo dlaczego, mówiła dalej, że zostanie umieszczona w jakimś brudnym anonimowym bloku – zupełnie jak mieszkanie w szufladzie – gdzie wiecznie szczekają psy, płaczą dzieci, a ludzie wieszają pranie na sznurkach rozpiętych między parapetami kilkadziesiąt metrów nad ziemią. Wyobrażała sobie nawet, że w pobliżu będzie przebiegała autostrada, ale to może dlatego, że widziała takie miejsca przez okno taksówki i podświadomie zapamiętała je, wcale na nie nie patrząc. Podejrzewała po prostu, że zostanie w jakiś sposób źle potraktowana. Nie była pewna, skąd to przypuszczenie. To miłe uczucie, powiedziała, znów się rozglądając, zostać pozytywnie zaskoczonym.

Zaczerpnęła łyżką miodu ze słoika i podniosła ją kapiącą do ust.

– Przepraszam – powiedziała. – To sprawka cukru. Kiedy zacznę, nie potrafię przestać.

Odparłam, że w kuchni jest jedzenie, jeśli ma ochotę, ale pokręciła głową.

– Wolałabym nie wiedzieć – powiedziała. – Wkrótce na pewno tam dotrę. W nowym miejscu zawsze jest inaczej, ale rzadko lepiej.

Wobec tego sama poszłam do kuchni zrobić nam kawy. W pomieszczeniu było gorąco i duszno, więc otworzyłam okno. Do środka wpadły dalekie odgłosy ruchu ulicznego. Widoczne z okna pomalowane na biało tyły budynków tonęły w cieniu. Pełno tu było osobliwych geometrycznych kształtów wszędzie tam, gdzie wzniesiono nowe konstrukcje i doklejono przybudówki, które wystawały na wolną przestrzeń pomiędzy dwoma bokami, tak że miejscami niemal się stykały, prawie jak dwie połówki czegoś, co

pękło pośrodku. Ziemia znajdowała się tak daleko, że wzrok nie sięgał, ukryta w ocienionej głębi tego wąskiego białego wąwozu brył i prostokątów, w którym nic nie rosło i się nie poruszało. Nad krawędzią dachów niczym bułat pojawiło się słońce.

– Przestraszyła mnie ta kobieta na korytarzu – powiedziała Anne, kiedy wróciłam. – Z początku pomyślałam, że to pani. – Z jej gardła znów dobył się gęgliwy dźwięk; położyła dłoń na długiej szyi. – Nie lubię takich iluzji – dodała. – Bo ciągle o nich zapominam.

Odparłam, że mnie też kilka razy wystraszyła.

– W ogóle jestem trochę nerwowa – powiedziała Anne. – To chyba widać.

Spytała, od jak dawna tu jestem, jacy są studenci i czy byłam wcześniej w Atenach. Obawiała się, że może zadziałać bariera językowa – dziwny to pomysł: pisać w obcym języku. Człowiek niemal czuje się winny, powiedziała, że zmusza innych do używania angielskiego, i kiedy się pomyśli, jak wiele tracą oni z siebie samych podczas tego przejścia; są jak ludzie, którym każe się opuścić dom i pozwala zabrać jedynie kilka niezbędnych rzeczy. Pociąga ją jednak czystość tej wizji, dająca możliwość wymyślenia siebie na nowo. Perspektywa uwolnienia się od umysłowego i werbalnego bałaganu bywa pod pewnymi względami pociągająca; dopóki nie przypomnisz sobie czegoś, co jest ci potrzebne, a co musiałeś zostawić za sobą. Na przykład w jej przypadku szwankuje humor, za nic nie potrafi żartować w obcym języku; po angielsku jest w sumie zabawną osobą, ale już po hiszpańsku – którym kiedyś posługiwała się całkiem sprawnie – nie. Jest to zatem kwestia, jak przypuszcza, nie tyle tłumaczenia, co adaptacji. Osobowość musi przystosować się do nowej sytuacji lingwistycznej, od nowa stworzyć samą siebie: to ciekawa myśl. Jest taki wiersz Becketta, powiedziała, który ten napisał dwa razy: raz po francusku i raz po angielsku, jakby chciał udowodnić, że dwujęzyczność uczyniła go dwiema osobami i że bariera języka jest ostatecznie nie do pokonania.

Spytałam ją, czy mieszka w Manchesterze, odparła, że nie, akurat prowadziła tam kurs i po prostu przyleciała do Aten bezpośrednio stamtąd. Zajęcia były wyczerpujące, ale potrzebowała pieniędzy.

Ostatnio prawie nie pisała – nie żeby na pisaniu sztuk człowiek mógł się wzbogacić, przynajmniej nie na takich, w których ona celuje. Coś się stało z jej pisaniem. Zdarzył się... można powiedzieć, że miał miejsce pewien incydent, a jako dramatopisarka doskonale wie, że problem z tego rodzaju zdarzeniami polega na tym, iż obarcza się je winą za wszystko; stają się przesłanką, na której opiera się wszystko inne, jak gdyby szukało się wytłumaczenia samego siebie. Niewykluczone, że ten... problem i tak by się pojawił. Tego nie wie.

Zapytałam, co to za problem.

– Ja to nazywam podsumowaniem – powiedziała z pogodnym gęgnięciem. Ilekroć wymyślała nową sztukę, podsumowywała ją, zanim zdążyła się w nią zagłębić. Często wystarczało jedno słowo: „napięcie”, dajmy na to, albo „teściowa”. Kiedy rzecz zyskiwała podsumowanie, stawała się na dobrą sprawę martwa, przeradzała się w łatwy cel i Anne nie potrafiła się w nią zaangażować. Po co zawracać sobie głowę pisaniem długiej sztuki o zazdrości, skoro samo słowo „zazdrość” właściwie załatwia sprawę? Nie dotyczyło to tylko i wyłącznie jej własnej twórczości – przyłapała się na robieniu tego samego z dziełami innych autorów i odkryła, że nawet mistrzowie pióra, których zawsze szanowała, na ogół pozwalali się podsumować. Nawet Beckett, jej bożyszcze, dał się zniszczyć przez „bezsens”. Czuła, jak słowo się formuje, próbowała je powstrzymać, zdusić, ale ono podchodziło coraz wyżej, aż w końcu nieodwołalnie pojawiała się w jej głowie. Zresztą nie tylko w książkach – zjawisko przenosiło się na ludzi. Pewnego wieczoru wybrała się ze znajomym na drinka, spojrzała na niego i pomyślała: „znajomy”, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że oto ich znajomość dobiegła końca.

Łyżka zazgrzytała o dno słoika z miodem. Ma świadomość, powiedziała Anne, że był to też kulturowy ból istnienia, ten jednak naruszył jej ład wewnętrzny do tego stopnia, że sama czuła się podsumowana i zaczęła kwestionować sens codziennej egzystencji, skoro słowa „życie Anne” w zasadzie załatwiały sprawę.

Zagadnęłam o incydent – zdaje się, że użyła tego słowa – o którym wspomniała. Wyjęła łyżkę z ust.

– Zostałam napadnięta – zageęła. – Pół roku temu. Ktoś próbował mnie zabić.

To okropne, powiedziałam.

– Wszyscy tak mówią – odparła.

Wykończyła miód i zlizywała resztki z łyżki. Spytałam, czy na pewno nie chce nic do jedzenia, skoro widać, że jest głodna.

– Lepiej nie – powiedziała. – Mówiłam: jak już zacznę, nie potrafię skończyć.

Zaproponowałam, że może poczęstuję ją czymś niewielkim i skończonym.

– No, może – odezwała się. Nie brzmiało to przekonująco. – Sama nie wiem.

Otworzyłam różowe pudełko od Rosy, które stało na ławie między nami, i zaoferowałam Anne ciasteczko – ostatnie, jakie zostało. Wzięła je.

– Dziękuję – rzekła.

Jednym z następstw incydentu, powiedziała, było to, że straciła zdolność jedzenia w normalny sposób – cokolwiek to znaczy. Dawniej pewnie wiedziała, jak to się robi, bo przecież przeżyła mnóstwo czasu, w ogóle nie myśląc o jedzeniu, teraz jednak za nic nie potrafi sobie przypomnieć, co i jak jadała przez te wszystkie lata. Kiedyś miała męża, powiedziała, bardzo dobrego kucharza, mężczyznę o wręcz fanatycznym zmyśle ładu, jeśli chodzi o pożywienie. Gdy ostatnio się widzieli, kilka miesięcy wcześniej, zaproponował pójście na lunch. Wybrał modną restaurację z gatunku tych, do których Anne przestała chodzić z przyczyn ekonomicznych, jak również dlatego, że chyba brakowało jej poczucia uprawnienia, to znaczy przestała czuć, że ma prawo przebywać w takich miejscach. Anne siedziała i patrzyła, jak mąż składa zamówienie, a potem powoli zjada przystawkę, główne danie i deser, każde przyrządzone z umiarem i na swój sposób doskonale – na przystawkę wziął ostrygi, a na deser chyba świeże truskawki z kapką śmietany – i wieńczy posiłek małym espresso, które wychylił jednym haustem. Sama wzięła tylko sałatkę. Później, gdy już każde poszło w swoją stronę, zobaczyła cukiernię, weszła do

środka, kupiła cztery pączki i zjadła je jeden po drugim, stojąc na ulicy.

– Nikomu o tym nie mówiłam – powiedziała, podnosząc do ust ciasteczko Rosy i biorąc kęs.

Patrząc, jak mąż je, mówiła dalej, doznawała dwóch sprzecznych ze sobą odczuć. Pierwszym była tęsknota; drugim – mdłości. Jednocześnie chciała i nie chciała tego, co ów widok – jedzącego męża – wywoływał. Tęsknotę łatwo zrozumieć: chodziło o to, co Grecy nazywają *nostos*, my zaś tłumaczymy jako *homesickness*, choć nigdy nie lubiła tego słowa, bagatelizowanie stanu emocjonalnego nazwą kojarzącą się z dolegliwością żołądkową wydawało jej się bowiem nazbyt angielskie². Tamtego dnia uświadomiła sobie jednak, że właśnie *homesickness* stanowi doskonale podsumowanie sytuacji.

Jej były mąż nie na wiele się przydał po incydencie. Nie byli już małżeństwem, więc chyba myliła się, licząc na pomoc z jego strony, a jednak zaskoczyło ją to. Sądziła, że mąż będzie pierwszą osobą, która zadzwoni do niej po incydencie – zapewne z przyzwyczajenia, ale szczerze mówiąc, wciąż uważała ich oboje za związanych w jakiś nierozzerwalny sposób. Kiedy jednak porozmawiała z nim przez telefon tamtego dnia, z miejsca stało się dla niej oczywiste, że ich punkty widzenia są rozbieżne. Był uprzejmy, chłodny i szorstki, ona zaś – wściekła, zapłakana i rozhisteryzowana: „jak dwa bieguny”, tak brzmiały słowa, które w tamtych trudnych chwilach przysły jej do głowy.

Z kwestią incydentu musiała się uporać przy pomocy innych ludzi, niektórych zupełnie obcych, na przykład policjantów i psychologów, a także tych dobrze jej znanych. Przypominało to schodzenie w głąb chaosu, pogrążanie się w wirującej krainie bezsensu, w której nieobecność męża była odczuwana jako brak środka magnetycznego, bez którego nic nie ma znaczenia. Polaryzacja mężczyzny i kobiety była strukturą, formą. Anne poczuła to, dopiero gdy owej struktury zabrakło, i niemal wydało jej się wtedy, że właśnie zawalenie się konstrukcji, zaburzenie równowagi ponosi odpowiedzialność za krytyczną sytuację, która potem nastąpiła.

Innymi słowy, porzucenie przez jednego mężczyznę stało się bezpośrednią przyczyną ataku ze strony drugiego, aż obie te rzeczy – incydent i nieobecność męża – nieomal zaczęły sprawiać wrażenie, jakby były jednością. Wyobrażała sobie koniec małżeństwa, powiedziała, jako powolną dekonstrukcję jego znaczeń, długą i bolesną reinterpretację, ale w jej przypadku wyglądało to zupełnie inaczej. Mąż pozbył się jej tak skutecznie i tak gładko, że czuła się wręcz spokojna i pokrzepiona, choć przecież odstawiał ją na boczny tor. Odsiedział z nią obowiązkową liczbę spotkań w poradni, ubrany w garnitur i rozparty w fotelu, dyskretnie zerkał na zegarek i od czasu do czasu zapewniał wszystkich, iż pragnie jedynie tego, co słuszne, ale równie dobrze mógł posyłać na te sesje swoją sylwetkę wyciętą z tektury, wyraźnie bowiem błądził myślami gdzie indziej, pędził na podbój świata. Ich rozstanie nie miało nic z reinterpretacji, obyło się właściwie bez słów. Wkrótce potem mąż Anne założył rodzinę z córką arystokraty – hrabiego czegoś tam – i teraz para oczekiwała przyjścia na świat swojego pierwszego potomka.

W pewnym sensie pogodziła się z tym, że zostawił ją taką, jaką zastał dekadę wcześniej: dramatopisarkę bez grosza przy duszy, za to mającą znajomych wśród aktorów oraz dużą, choć bezwartościową, kolekcję używanych książek. Nie była już jednak, jak wkrótce się przekonała, tą samą osobą; stała się, przez męża, kimś innym. W pewnym sensie stworzył ją, toteż kiedy zadzwoniła do niego tamtego dnia, gdy miał miejsce incydent, w pewnym sensie zwracała się do niego jako jego twór. Odcięła się od wszystkiego, co mogło łączyć ją z życiem przed poznaniem męża – tamta osoba już nie istniała, dlatego kiedy nastąpił incydent, doszło do dwóch kryzysów, a jednym z nich był kryzys tożsamości. Innymi słowy, nie wiedziała, komu tak naprawdę wszystko to się przytrafiło. Można zatem powiedzieć, że jej umysł zaprzętała kwestia adaptacji. Czuła się jak ktoś, kto zapomniał ojczystego języka, co zresztą zawsze fascynowało ją jako zjawisko. Po incydencie odkryła, że niejako zabrakło jej słownictwa, języka samej siebie; po raz pierwszy w życiu poczuła, że – jak to się mówi – brakuje jej słów. Tego, co się

stało, nie potrafiła opisać – ani sobie, ani innym. Mówiła o tym, ależ oczywiście, mówiła bez ustanku – ale w całym tym słowotoku istota rzeczy pozostawała nietknięta, okryta mgiełką tajemnicy, niedostępna.

Na pokładzie samolotu do Aten nawiązała rozmowę z siedzącym obok mężczyzną i to właśnie ta konwersacja, powiedziała, skłoniła ją do pochylenia się nad tymi tematami. Mężczyzna był dyplomata, niedawno objął placówkę w Atenach, ale w trakcie swojej kariery zawodowej mieszkał w różnych miejscach na całym świecie, w związku z czym zdołał opanować wiele języków. Wychował się, jak powiedział, w Ameryce Południowej, toteż jego ojczystym językiem był hiszpański; ale jego żona była Francuzką. Przebywając wspólnie, cała rodzina – on, żona i trójka dzieci – posługiwała się angielskim, *lingua franca* współczesnego świata, tyle że przez kilka lat, które spędzili w Kanadzie, dzieci zdążyły przyswoić sobie zamerykanizowaną wersję tego języka, ojciec zaś mówił własną, której nauczył się podczas długiego pobytu w Londynie. Władał biegle również niemieckim, włoskim i mandaryńskim, podłapał nieco szwedzkiego przez rok pracy na placówce w Sztokholmie, zdobył praktyczną znajomość rosyjskiego i potrafił bez większego wysiłku porozumieć się po portugalsku.

Nie przepada za lataniem, powiedziała, i zaczęła rozmowę właściwie dla odwrócenia uwagi. Okazało się jednak, że opowieść współpasażera – o jego życiu i o językach, które poznał – wciągnęła ją na tyle, że zaczęła drążyć i wypytywać o szczegóły. Pytała o dzieciństwo, rodziców, wykształcenie, o rozwój kariery zawodowej, o to, jak poznał swoją żonę, o małżeństwo, życie rodzinne, doświadczenia na różnych placówkach na całym świecie; i im dłużej go słuchała, tym mocniej czuła, że oto zarysowuje się coś o zasadniczym znaczeniu, coś dotyczącego jej, a nie jego. Ten mężczyzna opisywał, uzmysłowiła sobie, rozróżnienie – tym wyraźniejsze, im dłużej rozmawiali – i zajmował miejsce po jednej stronie tegoż, ją zaś, w sposób coraz bardziej oczywisty, umieszczając po drugiej. Inaczej mówiąc, opisywał to, czym Anne nie była: dla wszystkiego, co o sobie mówił, znajdowała

przeciwieństwo we własnej naturze. Dzięki temu antyopisowi – nazwała go tak z braku lepszego określenia – wyraźnie zrozumiała, na zasadzie odwrotnej ekspozycji, że rozmawiając ze współpasażerem, zaczęła postrzegać samą siebie jako sylwetkę, zarys, pusty kształt na bogatym w szczegóły tle. Forma ta, pomimo dotąd niepoznanej treści, po raz pierwszy od incydentu dała Anne poczucie tego, kim teraz była.

Zapytała, czy będzie mi przeszkadzało, jeśli zdejmie buty; zaczynało jej być gorąco. Zdjęła też aksamitną marynarkę. Ostatnio, od paru miesięcy, powiedziała, jest jej wiecznie zimno. Mocno schudła – to pewnie dlatego. Ten mężczyzna, jej sąsiad z samolotu, był niskiego wzrostu, wręcz drobny. Przy nim po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła się duża. Był mały i elegancki, miał dłonie i stopy jak dziecko, i kiedy siedziała obok niego tak blisko, rosła w niej świadomość własnego ciała i tego, jak bardzo się ono zmieniło. Nigdy nie była zbyt gruba, ale po incydencie znacznie schudła i teraz... teraz już sama nie wie, jaka jest. Zdawała sobie za to sprawę, że jej sąsiad, schludny i krępy, pewnie zawsze wyglądał tak samo; gdy tak siedzieli obok siebie, ta różnica stawała się dla niej wyraźnie widoczna. W jej życiu, życiu kobiety, amorficzność – zmienność kształtów – była fizyczną rzeczywistością: mąż był w pewnym sensie jej odbiciem, ale ostatnio została bez lustra. Po incydencie straciła ponad jedną czwartą masy ciała – zapamiętała spotkanie ze znajomą, gdzieś na ulicy, która spojrzała na nią i powiedziała: niewiele z ciebie zostało. Przez pewien czas bez ustanku słyszała tego rodzaju uwagi: że gaśnie, że chudnie w oczach, komentarze zwiastujące nieuchronność jej zniknięcia. Dla większości jej znajomych, ludzi po czterdziestce, był to czas łagodnienia i rozłazenia się, rozmywania oczekiwań, zaniedbywania się i obrastania tłuszczem po wyczerpującym wyścigu; patrzyła, jak rozluźniają się i moszczą w życiu. Lecz ona, która właśnie powracała do świata, wciąż wyraźnie widziała granice, niezatarte oczekiwania. Czasem miała wrażenie, jakby przyszła na imprezę, akurat kiedy wszyscy zaczęli z niej wychodzić, udawali się do domów i kładli spać. Sama, nawiasem mówiąc, mało sypiała – dobrze, że dziś

wyjeżdżam, powiedziała, bo widzi, że mieszkanie jest dość małe i pewnie obudziłaby mnie, gdyby zaczęła się kręcić o trzeciej nad ranem.

Kiedy tak siedziała obok swojego sąsiada, jak już mówiła, poczuła nagłą potrzebę poznania samej siebie od nowa, dowiedzenia się, jaka jest. Zaczęła się zastanawiać, jak wyglądałby seks z tym mężczyzną i czy oboje wzbudziliby w sobie odrazę swoją odmiennością. Im dłużej opowiadał, tym dłużej rozważała tę kwestię – czy istniejące na tym etapie różnice między nimi doprowadziłyby jedynie do obopólnego poczucia obrzydzenia? Albowiem te różnice, rozbieżności, zdążyły się skonkretyzować, wykroczyć poza sferę rozmiarów, kształtów i pól i skupić w jednym punkcie, który Anne wyraźnie widziała oczami wyobraźni: istotą owego punktu było to, że sąsiad żył pod dyktat dyscypliny, ona zaś – emocji.

Kiedy zapytała go, w jaki sposób udało mu się opanować tak wiele języków, opisał swoją metodę polegającą na wznoszeniu w umyśle miasta dla każdego języka, miasta tak solidnego, że zdolnego wytrwać bez względu na koleje losu budowniczego i niezależnie od tego, jak rzadko będzie je odwiedzał.

– Wyobraziłam sobie wszystkie te miasta słów – powiedziała – i mojego sąsiada przechadzającego się ich ulicami, maleńką postać pośród strzelistych budowli. Powiedziałam, że ten obraz kojarzy mi się z pisaniem, tyle że sztuka bardziej przypomina dom niż miasto. I przypomniałam sobie, że dawniej dawało mi to poczucie niezwykłej siły: zbudować dom, oddalić się od niego, a potem obejrzeć się za siebie i zobaczyć, że nadal stoi. W tej samej chwili, w której przypomniałam sobie to uczucie – powiedziała – opanowała mnie absolutna pewność, że nigdy nie napiszę kolejnej sztuki. Nawet nie potrafiłam przywołać z pamięci tego, jak pisałam pierwszą, jakie kroki podjęłam, z jakich materiałów korzystałam. Wiedziałam, że teraz napisanie sztuki będzie dla mnie równie niewykonalne jak zbudowanie pływającego domu, będąc zanurzoną w wodzie.

– Mój sąsiad powiedział wtedy coś, co mnie zaskoczyło – ciągnęła.
– Wyznał, że od pół roku, od kiedy zamieszkał w Atenach, nie zrobił

żadnych postępów w nauce greckiego. Starał się, jak mógł, nawet zatrudnił prywatnego nauczyciela, który codziennie przyjeżdżał do ambasady na dwie godziny, ale zupełnie nic mu nie zostawało w głowie. Jak tylko korepetytor wychodził, wszystko, czego się nauczył, wyparowywało. Na rautach, na spotkaniach, w sklepach i restauracjach otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale w głowie miał kompletną pustkę, wypełniającą czaszkę niczym wielka preria. Coś takiego przydarzyło mu się po raz pierwszy w życiu, toteż nie miał pojęcia, kogo lub co należało obciążyć winą: odpowiedzialność ponosił on sam czy może, jakimś sposobem, ten język, którego nie mógł się nauczyć? Powiedział, że może się to wydawać zabawne, ale przekonanie o sile własnego doświadczenia nie pozwala mu wykluczyć tej drugiej możliwości.

– Zapytałam – opowiadała dalej – czy jego żona i dzieci też napotkały podobne trudności w nauce języka. Wtedy przyznał, że rodzina została w Kanadzie, ponieważ jej życie na dobre zrosło się z tym krajem. Żona ma tam swoją pracę i przyjaciół; dzieci nie chciały zostawić szkoły i kolegów. Rodzina rozdzieliła się po raz pierwszy. Nie umiał wyjaśnić, dlaczego od razu mi tego nie powiedział. Być może nie spodziewał się, że będzie to miało jakiegokolwiek znaczenie.

– Spytałam go – ciągnęła – czy przyszło mu do głowy, że ta niezdolność nauczania się greckiego może mieć związek z nieobecnością rodziny. Nie musiało wcale chodzić o sentymenty, po prostu zmieniły się warunki, w jakich zwykle osiągał sukces. Zamyślił się i po chwili odparł, że do pewnego stopnia to prawda. Ale w głębi duszy uważał, że przyczyną jest to, iż nie uznaje greckiego za przydatny język. Greka nie jest międzynarodową mową, wszyscy w świecie dyplomacji porozumiewają się po angielsku, uczenie się jej jest w sumie stratą czasu.

– W jego słowach było coś tak ostatecznego – mówiła – że zrozumiałam, iż nasza rozmowa dobiegła końca. I rzeczywiście: choć lot trwał jeszcze pół godziny, żadne z nas nie odezwało się już ani słowem. Siedziałam obok tego mężczyzny i czułam moc jego milczenia. Czułam się niemal tak, jakby udzielił mi reprimendy.

A przecież stało się tylko to, że odmówił wzięcia na siebie odpowiedzialności za własne niepowodzenie i odrzucił moją próbę nadania temu pewnego znaczenia – znaczenia, na którego wyłożeniu, jak zauważył, bardzo mi zależało. Było to niemal jak konflikt charakterów: jego dyscyplina kontra moje emocje; rozdzielał nas jedynie podłokietnik. Czekałam, aż sąsiad zada mi jakieś pytanie – tak nakazywałaby grzeczność – ale nie zrobił tego, mimo że szczegółowo wypytałam go o jego życie. Zamknął się szczelnie w skorupie własnego poglądu na życie – nie bacząc, że może mnie tym urazić – bo wiedział, że pogląd ten został zagrożony.

Siedziała więc i myślała o swoim zwyczaju usprawiedliwiania się i o sile milczenia, która sprawia, że ludzie stają się dla siebie niedostępni. Ostatnio, od incydentu – kiedy wszystko stało się trudniejsze do wytłumaczenia, objaśnienia zaś surowsze i bardziej ponure – nawet jej przyjaciele zaczęli prosić, żeby wreszcie dała temu spokój, tak jakby wciąż o tym opowiadając, podtrzymywała istnienie incydentu. Jeśli jednak ludzie milczą na temat tego, co im się przytrafia, to czyż nie dochodzi do pewnego rodzaju zdrady, nawet jeśli zdradzonym jest tylko to ich wcielenie, które zostało doświadczone? Nie mówi się przecież, że nie powinno się rozmawiać, dajmy na to, o historii; przeciwnie, tu milczenie jest równoznaczne z zapominaniem, tego zaś ludzie najbardziej się boją: ryzyka, że zapomniana może zostać ich własna historia. Historia jest tak naprawdę niewidzialna, choć jej pomniki nadal stoją. Wznoszenie pomników to jeszcze nie wszystko, ważna jest interpretacja. Istnieją jednak rzeczy gorsze niż zapomnienie, a mianowicie: błędna interpretacja, stronniczość, wybiórczość. Prawdę trzeba przedstawić, nie może reprezentować samej siebie – Anne sprawę zdarzenia pozostawiła w rękach policji i właściwie została odsunięta na bok.

Spytałam, czy mogłaby opowiedzieć mi o incydencie, i nagle przez jej twarz przemknął niepokój. Położyła dłoń na szyi, na której pulsowały dwie niebieskie żyły.

– Facet wyskoczył z krzaków – zageęła. – Próbował mnie udusić.

Ma nadzieję, że zrozumie, dodała, że pomimo tego, co

powiedziała wcześniej, stara się nie wracać do tematu. Próbuje go podsumować. Powiedzmy, że tamtego dnia dramat stał się dla niej czymś bardzo prawdziwym, wyznała. Przestał być czystą teorią, wewnętrzną strukturą, w której mogła się skryć i wyglądać na świat. W pewnym sensie tym, co wyskoczyło z krzaków i zaatakowało ją, było jej własne dzieło.

Wydaje mi się, powiedziałam, że na pewnym etapie wielu ludzi odczuwa coś podobnego, niekoniecznie w odniesieniu do własnych dzieł albo pracy, ale w związku ze swoim życiem.

Siedziała przez chwilę w milczeniu, kiwając głową i trzymając dłonie złożone na brzuchu. Potem zapytała, kiedy wyjeżdżam. Odparłam, że mam lot za kilka godzin.

– Szkoda – powiedziała. – Cieszy się pani na powrót?

W pewnym sensie, odrzekłam.

Spytała, czy moim zdaniem w Atenach znajduje się coś, co koniecznie powinna zobaczyć podczas pobytu. Wiedziała, że w mieście jest pełno miejsc o wielkim znaczeniu kulturowym, ale z jakiegoś powodu trochę ją to przytłaczało. Chętnie obejrzałaby coś mniejszego, co osobiście bym poleciła.

Powiedziałam, że może pójść na Agorę obejrzeć bezgłowe pomniki bogiń na kolumnadzie. Jest tam chłodno i spokojnie, a wielkie marmurowe ciała, ubrane w szaty, które wyglądają na miękkie w dotyku, są anonimowe i nieme, i przy tym osobiście pokrzepiające. Kiedyś spędziłam w Atenach trzy tygodnie sama z dziećmi, powiedziałam. Utknęliśmy, ponieważ odwołano wszystkie loty. Podobno nad miastem unosiła się ogromna chmura popiołu, choć wcale nie było jej widać. Obawiano się, że drobinki żwiru mogą uszkodzić silniki samolotów. Ten niedostrzegalny i uzależniony od wiary obłok, powiedziałam, skojarzył mi się z apokaliptycznymi wizjami średniowiecznych mistyków. Zostaliśmy więc na miejscu, a ponieważ nie powinno nas tu być, czułam się, jakbyśmy stali się w pewnym sensie niewidzialni. Przez ten czas nie widywaliśmy się z nikim spoza naszego kręgu i z nikim nie rozmawialiśmy, mimo że mam w Atenach znajomych, do których mogłam przecież zadzwonić. A jednak nie zrobiłam tego; poczucie

niewidzialności okazało się zbyt silne. Często odwiedzaliśmy Agorę, powiedziałam, miejsce, które w swojej historii przeżyło liczne najazdy, zniszczenia i odbudowy, aż w końcu, w dzisiejszych czasach, doczekało się ratunku i konserwacji. Dość dobrze ją poznaliśmy, dodałam.

Aha, podsumowała. Jeśli miałabym ochotę zobaczyć Agorę raz jeszcze i jeśli mam czas, to może wybrałybyśmy się razem. Nie wiedziała, czy sama poradzi sobie ze znalezieniem drogi. Poza tym przydałby jej się spacer – może wtedy nie myślałaby o jedzeniu.

Powiedziałam, że powinna spróbować suwlaki i już nigdy nie będzie głodna.

Suwlaki, powtórzyła. Tak, chyba słyszałam o tym.

Zadzwoił mój telefon, odebrałam i z głośnika popłynął radosny i entuzjastyczny głos mojego sąsiada z samolotu.

Wyraził nadzieję, że dobrze się czuję. I że nie popsuły mi nastroju żadne inne incydenty. Zauważył, że nie odpowiadam na jego wiadomości, więc postanowił, że po prostu zadzwoni. Myślał o mnie; zastanawiał się, czy przed wyjazdem znajdę czas na jeszcze jedną wycieczkę łódką.

Odparłam, że raczej nie – dodałam, że mam nadzieję, iż spotkamy się, kiedy znów przyleci do Londynu, ale w tej chwili nie mogę się spotkać, bo umówiłam się z kimś na zwiedzanie.

Wobec tego, powiedział, spędzę ten dzień w sromotności.

Chyba w samotności, poprawiłam.

Najmocniej przepraszam, powiedział. Oczywiście chodziło mi o samotność.

¹ Robert Frost, *Śmierć najmity*, w: *55 wierszy*, przełożył Stanisław Barańczak, Kraków 1992, s. 60.

² W angielskim słowie *homesickness* (tęsknota za domem) *home* oznacza dom, zaś *sickness* – chorobę, dolegliwość żołądkową, nudności (przyp. tłum.).

Przekład: Jacek Żuławnik
Redakcja: Ewa Rojewska-Olejarczuk
Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Katarzyna Skwark

Projekt okładki, ilustracja wykorzystana na I stronie okładki: to/studio – Aleksandra Nałęcz-
Jawecka

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3258-3

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo